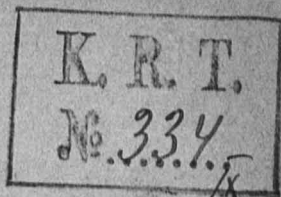


Michał Ślesicki

HISTORYA
REWOLUCYI FRANCUSKIEJ.

M. MIGNET.



HISTORIA
REWOLUCYI FRANCUSKIEJ

OD ROKU 1789 DO 1814.

Przekład

J. F.

TOM PIERWSZY.

Wydawnictwo
Książki

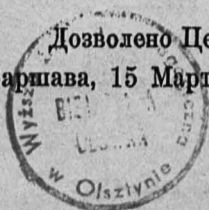
(*Bezpłatny dodatek do „PRAWDY”.*)

WARSZAWA.

Druk. K. KOWALEWSKIEGO, ul. Królewska N. 29.

—
1890.

Дозволено Цензурою
Варшава, 15 Марта 1890 года.



63481

K/7/45

W S T Ę P.

Charakter Rewolucyi francuskiej; jej skutki, i przebieg. — Formy następne monarchii. — Ludwik XIV i Ludwik XV, — Stan umysłów, skarbu, władzy i potrzeb publicznych przy wstąpieniu na tron Ludwika XVI. — Charakter Ludwika XVI. — Maurepas, pierwszy minister; jego taktyka. — Wybór ministrów popularnych i reformatorskich; w jakim celu. — Turgot, Malesherbes, Necker; ich zamiary; zetknięcie się z oporem dworu i uprzywilejowanych; ich niepowodzenie. — Śmierć Maurepasa. — Wpływ królowej Maryi Antoniny. — Ministrowie dworscy zastępują ministrów popularnych. — Calonne i jego system; Brienne, jego charakter, jego usiłowania. — Nędza w skarbie; opozycja zgromadzenia notablów, opozycja parlamentu; opozycja prowincyj. — Odprawa Brienna; powtórne ministeryum Neckera. — Zwołanie Stanów generalnych. — Co spowodowało rewolucję.

Zamierzam skreślić pobieżnie historję Rewolucyi francuskiej, która rozpoczyna w Europie erę nowych społeczeństw, tak jak rewolucya angielska rozpoczęła erę nowych rządów. Rewolucya ta nie tylko przekształciła władzę polityczną, ale zmieniła cały wewnętrzny byt narodu. Średniowieczny układ społeczny trwał jeszcze. Ziemia była podzielona na prowincye nieprzyjazne sobie; ludzie rozpadli się na klasy współzawodniczące z sobą. Szlachta straciła już całą swą potęgę, jakkolwiek zachowała swe odznaczenia; lud nie posiadał żadnych praw; władza królewska nie miała wcale ograniczenia i Francya rzuconą była w zamęt samowoli ministeryalnej, rządów stronnicych oraz zgromadzeń uprzywilejowanych. Ten nieprawy porządek rzeczy Rewolucya zamieniła na bardziej zgodny ze sprawiedli-

wością i bardziej przystosowany do naszych czasów. Samowolę zastąpiła prawem, przywilej równością; wyzwoliła ludzi z różnic klasowych, a ziemię—z rozgraniczeń prowincjonalnych, przemysł—z pęt stowarzyszeń cechowych i ich sądów przysięgłych, rolnictwo—ze służebności feodalnej i z ucisku dziesięcin, a własność—z przymusu spadkowego, słowem, sprowadziła wszystko do jednego stanu, do jednego prawa, do jednego narodu.

Dla dokonania tak wielkich przeobrażeń, Rewolucya zwyciężyć musiała wiele przeszkód, co wywołało przejściowe bezprawia, obok jej trwałych dobrodziejstw. Uprzywilejowani pragnęli jej zapobiedz, Europa usiłowała ją ujarzmić, lecz zniewolona do starcia nie potrafiła ani wysiłków jej obliczyć, ani zwycięstwa osłabić. Opór wewnętrzny doprowadził do wszechwładztwa tłumu, a napad zewnętrzny do przewagi wojska. Pomimo wszakże tak anarchii, jak despotyzmu, cel osiągniętym został: dawną społeczność zniszczyła Rewolucya, nową ustaliło cesarstwo.

Skoro pewna reforma stanie się potrzebną i nadejdzie chwila przeprowadzenia jej, nie jej nie powstrzyma, a wszystko jej służy. Szczęśliwi byliby wówczas ludzie, gdyby potrafili się porozumieć. Gdyby jedni ustąpili tego, czego mają za wiele, drudzy zadowolili się tem, na czem im zbywa — rewolucye dokonywałyby się sposobem polubownym, a dziejopis nie potrzebowałby wspominać o bezprawiach i klęskach; opowiadałby tylko, że ludzkość stała się szczęśliwszą, mędrszą i swobodniejszą. Dotąd wszelako roczniki narodów nie podały żadnego przykładu podobnie przezornej ofiarności: ci, którzy ją pełnić powinni, uchylają się, a pożądaną narzucają ją i dobro zarówno jak zło dokonywa się za pomocą i przy gwałtach przywłaszczenia. Słowem, nie było dotychczas innego władcy nad siłę.

Kreśląc rys tego ważnego okresu, od otwarcia Stanów generalnych aż do 1814 r., zamierzam wyjaśnić różne przełomy Rewolucyi, przedstawiając jednocześnie jej przebieg. Zobaczymy, skutkiem czyjej winy, rozpoczęta pod tak pomyslną wróżbą, znieprawiała się tak gwałtownie; jakim spo-

sobem przeistoczyła Francję na rzeczpospolitą i jak na gruzach tejże wzniosła cesarstwo. Te różnorodne jej przemiany były nieledwie koniecznymi, tak nieprzeparłą potęgę posiadały wypadki sprowadzające je! Za śmiałem wszakże byłoby twierdzić, iż postać rzeczy nie mogła stać się odmienną, lecz pewnem jest, że Rewolucya, wraz z przyczynami, które ją wywołały i namiętnościami, któremi się posługiwała lub które budziła, musiała mieć taki przebieg i zakończenie. Zanim przerzucimy jej karty, obaczmy, co spowodowało zwołanie Stanów generalnych, których następstwem było wszystko, cokolwiek dalej zaszło. Mam nadzieję wykazać w tym oto wstępie do Rewolucyi, że zarówno nie było możebnem uniknąć jej, jak nią pokierować.

Monarchia francuska od czasu swego założenia nie posiadała ani formy stałej, ani prawa publicznego, trwałego i uznanego. Za czasu szczepów pierwotnych tron był obieralny; naród był wszechwładny, król zaś tylko prostym wodzem wojennym, zależnym od wspólnych obrad nad przeprowadzeniem postanowień i wykonaniem przedsięwzięć. Naród wybierał sobie wodza i sam na polach Marsowych piastował władzę prawodawczą pod przewodnictwem króla, a na zgromadzeniach cywilnych władzę sądowniczą pod kierunkiem jednego ze swych urzędników. Ta demokracya królewska ustąpiła miejsca arystokracji królewskiej za rządów feodalnych. Władza wzniosła się, możni odarli z niej lud, a niedługo znowu książę ich ogołocił. W tym właśnie okresie panujący stał się dziedzicznym, nie jako król, lecz jako posiadacz gruntów lennych; władza prawodawcza należała do wielkich panów w obrębie ich rozległych posiadłości oraz w zgromadzeniach baronów, zaś władza sądownicza — do lenników po trybunałach pańskich. Nakoniec władza zesrodkowała się jeszcze bardziej i przeszedłszy z rąk narodu do małej garstki, znalazła się następnie w posiadaniu jednostki. W przeciągu kilku wieków nieustających usiłowań królowie Francyi zdołali podkopać gmach feudalizmu i wzniesć się na jego szczątkach. Zagarnęli dobra lenne, podbili lenników, znieśli zgromadzenia baronów,

unieważnili lub też o władnęli sądami panów, nadali sobie władzę prawodawczą, oraz rozkazali sprawować we własnym imieniu władzę sądowniczą na zgromadzeniach prawodawców.

Stany generalne, składające się z trzech warstw narodu, to jest duchowieństwa, szlachty i stanu trzeciego, a zwolowane wrazach nagłych dla uchwalania zasiłków, nie miały nigdy ściśle określonego bytu. Powstawszy w okresie wznoszących przywilejów królewskich, były one naprzód przez nie opanowane, a następnie zniesione. Najsilniejszy i najbardziej zawzięty opór, jaki spotykali panujący w swych zamiarach rozszerzenia potęgi, pochodził nie tyle od tych zgromadzeń, których losy i władza były na ich łasce, ile od magnatów, broniących naprzód swojego możnowładztwa, a następnie znaczenia politycznego. Od Filipa Augusta do Ludwika XI walczyli oni o zachowanie władzy osobistej; od Ludwika XI do Ludwika XIV o to, ażeby zostać wykonawcami władzy królewskiej. Frona była ostatnim zamachem arystokracji. Albowiem pod Ludwikiem XIV samowładztwo ustaliło się ostatecznie i zapanowało bezspornie.

Rządy we Francji, od wstąpienia na tron Ludwika XIV aż do Rewolucyi, były bardziej samowolne, niż despotyczne, ponieważ monarchowie mogli o wiele więcej, aniżeli czynili. Słabe zaledwie zapory powstrzymywały wylew tej niezmiernej władzy. Głowa ukoronowana samodzielnie rozporządzała wolnością osobistą, przywłaszczała sobie cudze dobra i zabierała dochody w podatkach. Co prawda, niektóre zgromadzenia posiadały środki obronne, zwane przywilejami, ale przywileje te były rzadko szanowane. Parlament naprzykład mógł zatwierdzić lub odrzucić podatki, król wszakże zniewalał go do uległości swą obecnością na posiedzeniu, a członków jego karał wygnaniem. Szlachta wolną była od podatków, duchowieństwo znów opodatkowywało się samo, składając dary dobrowolnie; niektóre prowincye miały podatek stały, inne dopełniały same jego rozkładu. Takie były skromne rękojmie Francji, a je-

szcze obracały się wszystkie na korzyść klas uposażonych z uszczerbkiem ludu.

Ta Francya, tak dalece ujarzmiona, była nadto bardzo źle urządzoną; nadużycia społeczne stały się jeszcze nieznosniejsze przez niesprawiedliwy swój rozkład. Naród, podzielony na trzy stany, rozpadające się znów na kilka klas każdy, wystawiony był na wszystkie ciosy despotyzmu i wszystkie cierpienia nierówności społecznej. Szlachta składała się: z dworaków, żyjących na łasce książęcej, to jest kosztem ludu — udziałem ich były wielkorządztwa prowincyi lub też wyższe stopnie wojskowe; dorobkiewiczów uszlachconych, którzy kierowali zarządem państwa, dostawali intendentury i urzędy cywilne; prawników, dzierżących sprawiedliwość, którzy wyłącznie posiadali dostojęstwa sądowe; oraz z właścicieli ziemskich, uciskających wioski na mocy własnych praw feodalnych, które przeżyły prawa polityczne. Duchowieństwo dzieliło się na dwie klasy, z tych jedna zagarniała biskupstwa i opactwa z ich bogatymi dochodami, druga znosiła trudy i nędzę apostołstwa. Stan trzeci, uciskany przez dwór, upokarzany przez szlachtę, rozpadał się także na cechy, oparte na interesach wyłącznych i usposobione względem siebie nieprzyjaźnie. Posiadał on zaledwie trzecią część gruntów, z których obowiązany był opłacać czynsze feodalne panom, dziesięciny duchowieństwu i podatki królowi. W zamian za tyle ofiar nie korzystał z żadnych praw politycznych, nie brał wcale udziału w rządzie i nie był dopuszczany do urzędów.

Ludwik XIV nadużył sprężyn monarchii samowładnej, wyteżając je zbyt długo i posługując się nimi zbyt gwałtownie. Podrażniony wstrząśnieniami młodości, rozmiłowany we władzy, skruszył wszelkie zapory, wzbrowił wszelkiej opozycyi, objawiającej się wśród arystokracji buntami, w parlamencie — wypowiedaniem przestrog, a u protestantów — wolnością sumienia, którą Kościół chrzciał mianem herezyi, a król — rokoszu; Ludwik XIV pokonał panów, powołując ich na dwór, gdzie w zamian niezależności otrzymywali uciechy i łaski. Parlament, który dotąd był narzę-

dziem korony, a zapragnął stać się jej przeciwwagą, zmuszony został wyniosłe przez księcia do poddania się i sześćdziesięcioletniego milczenia. Odwołanie edyktu nantejskiego było dopełnieniem tego dzieła despotyzmu. Rząd samowładny nie tylko nie znosi oporu, lecz żąda jeszcze uznania i chce być naśladowanym. Zapanowawszy nad postępkami, prześladowuje przekonania, a skoro mu zbraknie przeciwników politycznych, szuka swych ofiar pomiędzy innowiercami religijnymi. Olbrzymia potęga Ludwika XIV zwracała się wewnątrz kraju przeciw heretykom, a na zewnątrz wylewała przeciwko Europie. Ucisk znalazł w ludziach żądnych chwały doradców, w dragonach—wykonawców, a w powodzeniach — zachętę; wawrzynami pokryto rany Francji, a jęki jej zagłuszono hymnem zwycięzkim. Lecz w końcu ludzie genialni wymarli, zwycięstwa ustały, przemysł wyniósł się z kraju, pieniądze zniknęły i przekonano się, że despotyzm wyczerpuje swe środki przez zbytne powodzenie, niweczając zgóry swą przyszłość.

Śmierć Ludwika XIV stała się hasłem zwrotu: przetruciono się nagle z nietolerancyi do niedowiarstwa, z posłuszeństwa—do rozpraw. Podczas regencyi stan trzeci nabral znaczenia przez pomnożenie swych bogactw oraz oświaty i zyskał na powadze i wpływie to, co straciła szlachta i duchowieństwo. Za panowania Ludwika XV dwór prowadził wojny wcale nieświetne i bardzo wyczerpujące; wdał się w głuchą walkę z opinią, a jawną—z parlamentem. Bezprawie zakradło się do jego wnętrza, rządy dostały się w ręce królewskich kochanek, władza przedstawiała zupełny upadek i opozycya wzrastała z dniem każdym.

Parlamenty zmieniły postawę i system. Władzę, którą im nadała monarchia, zwróciły teraz przeciwko niej. Z chwilą upadku arystokracji pod ciosami wspólnych usiłowań, sprzymierzeńcy poróżnili się, jak to zwykle bywa po zwycięstwie. Korona usiłowała zniweczyć narzędzie, które jej zagrażało, przestawszy być użytecznem, a parlament dążył do opanowania korony. Walka korzystna dla monarchy za Ludwika XIV, waząca się w tę i ową stronę za Ludwi-

ka XV, zakończyła się dopiero z początkiem Rewolucyi. Z porządku rzeczy wypływało, że parlamentem posługiwa-
no się tylko jako narzędziem. Ponieważ przywileje i po-
czucie godności jako ciała skłaniały go do przeciwstawie-
nia się silnym a wspomagania słabych, więc też na prze-
mian popierał koronę wojującą z arystokracją i naród
z koroną. To zjednało mu taką popularność za Ludwika XV
i Ludwika XVI, pomimo że nacierał na dwór jedynie przez
współzawodnictwo. Opinia nie pytała o jego pobudki; przy-
klaskiwała nie jego ambicyi, lecz oporowi, podtrzymywała
go, ponieważ jej bronił. Ośmielony taką zachętą, stał się
groźnym dla władzy. Po obaleniu testamentu króla naj-
bardziej dumnego i najwięcej słuchanego, po podniesieniu
głosu przeciw wojnie siedmioletniej, po otrzymaniu nadzo-
ru nad czynnościami skarbu i pokonaniu jezuitów, opór
parlamentu stał się tak silnym i częstym, że dwór, spotyka-
jąc się z nim wszędzie, zrozumiał, iż należy go słuchać lub
zwyciężyć. Wykonano tedy plan rozwiązania parlamentu,
przedstawiony przez kanclerza Maupeou. Śmiały ten czło-
wiek, który ofiarował się, według swego wyrażenia, „usu-
nąć koronę z sali sądowej,“ zastąpił ten wrogi parlament
innym, przyjaznym, a nie poprzestając na tem, narzucił po-
dobneż losy magistraturze całej Francyi, która poszła za
przykładem Paryża.

Ale minęły już czasy zamachów stanu. Samowola bu-
dziła taką odrazę, iż król dopuszczał się jej z niedowierza-
niem i spotykał się nawet z naganą swego dworu. Wytwo-
rzyła się nowa potęga opinii publicznej, która, chociaż nie-
uznana, była niemniej wpływową i której wyroki zaczyna-
ły się stawać wszechwładne. Naród, dotychczas nie niezna-
czący, powracał powoli do swoich praw; nie brał udziału
w rządzie, lecz nań oddziaływał. Jest to zwykły pochód ka-
żdej wznoszącej się potęgi: zanim zostanie przypuszczoną
do władzy, czuwa nad nią z zewnątrz, poczem przechodzi
z prawa nadzoru do współdziałania. Epoka, w której stan
trzeci miał wziąć udział w panowaniu, wreszcie nadeszła.
Robił on kiedyindziej usiłowania bezowocne, bo przedwzecz-

sne. Zaledwie usamowolniony, nie posiadał jeszcze tego, co nadaje wyższość i pomaga w zdobyciu potęgi, albowiem prawo otrzymuje się tylko siłą. Pozostał też tylko stanem trzecim, zarówno w rokoszach, jak i w zgromadzeniach Stanów generalnych; wszystko robiło się z jego współdziałaniem, lecz nie dla niego. Pod uciskiem feudalizmu służył królom przeciw magnatom; za czasów despotyzmu ministerjalnego i skarbowego służył możnym przeciw królowi; lecz w pierwszym wypadku był narzędziem korony, a w drugim — arystokracji. Wypowiedziana walka toczyła się nie w jego sferze i nie dla jego interesów. Kiedy podczas Frondy panowie zostali ostatecznie pobici, złożył broń, co najlepiej dowodzi, jak podrzędną była jego rola.

Nakoniec, po całowiekowym zupełnem poddaństwie, znów wstąpił w szranki, lecz już na własny rachunek. Przeszłość nie wraca, i tak niepodobnem było dla szlachty dźwignąć się z upadku, jak obecnie dla monarchii samowładnej. Dwór spotkał nowego przeciwnika, gdyż znajdzie się zawsze jakiś — ubiegających się bowiem o władzę nie zbraknie nigdy. Stan trzeci, którego siła, bogactwa, skupienie i oświata wzrastały z dniem każdym, przeznaczony był do pokonania i wywłaszczenia go. Parlament nie tworzył klasy, lecz zgromadzenie i w tej nowej walce mógł pomódz do przeniesienia władzy, lecz nigdy zatrzymać jej przy sobie.

Dwór sam sprzyjał rozwojowi stanu trzeciego i przyłożył się do rozszerzenia jednej z najglówniejszych jego dźwigni — oświaty. Najbardziej samowładczy z monarchów dopomagał ruchowi umysłowemu i stworzył opinię publiczną mimowoli. Zachęcając do pochwał, przygotowywał grunt dla nagany; boć niepodobna uniknąć sądów niekorzystnych, jeśli się wywoływało pochlebne. Skoro się wyczerpały pieśni, rozpoczęły się rozprawy i po literatach siedemnastego wieku nastąpili filozofowie osiemnastego. Wszystko stało się przedmiotem ich badań i ich rozmyślań, a więc religia, ustawy i nadużycia. Odkrywali prawa, wykazywali potrzeby, zaznaczali niesprawiedliwości. Wytworzyła się opinia publiczna silna i światła, której głosu rząd

nie śmiał przytłumić, chociaż i jego dosięgała. Nawracała tych nawet, których napadała: dworacy przez nasładownictwo, władza z konieczności poddały się jej wyrokowi i wystąpił na widownię wiek przewrotów, przygotowany przez wiek filozofii, jak ten przygotowanym był przez okres sztuk pięknych.

Takim był stan Francji, gdy Ludwik XVI wstąpił na tron dnia 11 maja 1774 r. Skarb, którego nie mogło uratować ani pełne zabieглиwości ministeryum kardynała Fleury, ani bankructkie ministeryum opata Terray, władza podkopana, parlamenty niesforne, opinia publiczna rozstrzygająca — oto trudności, odziedziczone przez rząd nowy po rządach poprzednich. Ze wszystkich panujących Ludwik XVI przez swe dobre chęci i cnoty najlepiej odpowiadał potrzebom epoki. Samowola znużyła już wszystkich, a on był skłonny do zrzeczenia się jej, uciążliwa rozwiązłość dworu Ludwika XV drażniła, a on był obyczajów czystych i potrzeb skromnych; wymagano niezbędnych ulepszeń, on rozumiał niedostatki ogółu i szukał chluby w zadośćuczynieniu im. Lecz równie było trudnem dobrze czynić, jak trwać dalej w złem, gdyż trzeba było mieć siłę zmusić uprzywilejowanych do reform lub poddać naród nadużyciom, a Ludwik XVI nie był ani odnowicielem, ani despota. Brak mu było tej woli nieugiętej, która jedynie dokonywa wielkich przewrotów w państwach i surowości niezbędnej monarchom, chcącym ograniczyć swą władzę, jak i tym, którzy ją pragną rozszerzyć. Ludwik XVI miał umysł sprawiedliwy, serce prawe i dobre, lecz pozbawiony był siły charakteru i wytrwałości w postępowaniu. Zamierzone przez niego ulepszenia napotkały przeszkody, których nie przewidział i nie umiał pokonać. Zgubiły go własne usiłowania ulepszeń, jak innego zgubiłaby ich odmowa. Panowanie jego, aż do zwołania Stanów generalnych, przedstawia cały szereg zacnych, ale bezowocnych dążeń.

Wybór, jaki uczynił Ludwik XVI przy wstąpieniu na tron, oddając tekę pierwszego ministra w ręce Maurepasa, przyłożył się głównie do nadania jego panowaniu cechy

chwiejności. Młody, przejęty poczuciem obowiązków i nieufny w swe siły, polegał na doświadczeniu siedemdziesiąt trzechletniego starca, który popadł był w niełaskę u Ludwika XV za opór królewskim kochankom. Niestety, zamiast mędrca, znalazł w nim dworaka, którego wpływ zgubny odbił się na całym jego życiu. Maurepas mało się zajmował dobrem Francji i chwałą swego pana, a troszczył się jedynie o jego łaskę. Pomieszczony w pałacu Wersalskim, w pokojach łączących się z królewskimi, przewodnicząc w radzie, uczynił umysł Ludwika XVI niepewnym, a charakter chwiejnym. Przyzwyczaił go do półśrodków, do zmiany systemów, do nierozważnego działania, a przede wszystkim nauczył go wyręczać się zawsze drugimi. Maurepas wybierał sam ministrów. Ci zaś zachowywali się względem niego tak, jak on względem króla. Z obawy narażenia swej wziętości, usunął od ministeryum ludzi, potężnych otaczających ich stronnictwem, a mianował nowych, którzy potrzebowali jego poparcia dla utrzymania się i przeprowadzania swoich reform. Powoływał tedy z kolei do kierowania nawą państwową Turgota, Malesherbesa i Neckera, a ci próbowali wprowadzać ulepszenia, każdy w dziele spraw, będących bardziej wyłącznym przedmiotem jego badań.

Malesherbes, pochodzący z rodziny urzędniczej, odziedziczył po niej cnoty, a nie przesady parlamentarne. Obok duszy pięknej posiadał umysł najbardziej wolnomysłny. Pragnął powrócić wszystkim ich prawa: oskarżonym — wolność obrony, protestantom — wolność sumienia, literatom — wolność prasy, każdemu francuzowi — bezpieczeństwo jego osoby; zaprojektował zniesienie tortury, przywrócenie edyktu nantejskiego, usunięcie doraźnych rozkazów uwięzienia (*lettres de cachet*), oraz cenzury. Turgot, obdarzony umysłem śmiałym i szerokim, charakterem pewnym i niezwykle silnym, dążył do przeprowadzenia zamysłów jeszcze rozleglejszych. Połączył się z Malesherbesem, ażeby z jego pomocą zaprowadzić urządzenia wewnętrzne, mające przywrócić jedność w rządzie i równość w państwie. Cnotliwy ten

obywatel pracował bez przerwy nad polepszeniem losu ludu: przedsięwziął sam to, czego dokonała później Rewolucya, to jest zniesienia wszelkich służebności i przywilejów. Wniósł projekt uwolnienia wiosek od pańszczyzny, prowincyj—od zamykających je granic, handlu—od cel wewnętrznych, przemysłu—z krępujących go więzów, nadto chciał jeszcze skłonić szlachtę i duchowieństwo do wzięcia udziału, na równi ze stanem trzecim, w płaceniu podatków. Ten wielki minister, o którym Malesherbes powiedział, że „ma głowę Bacona, a serce L'Hôpitala,“ pragnął za pośrednictwem zgromadzeń prowincjonalnych przyzwyczaić naród do życia publicznego i przygotować go do przywrócenia Stanów generalnych. Gdyby się był mógł utrzymać, gotów był nakazać rewolucję. Lecz wobec przywilejów prywatnych i niewoli powszechnej, wszelkie zamysły, dotyczące dobra ogółu, stawały się niewykonalnymi. Turgot naraził się dworakom przez swe usiłowania ulepszeń; rozgniewał parlament zniesieniem pańszczyzny, sądów cechowych i cel wewnętrznych; w końcu zatrwożył starego ministra wpływem, jaki jego cnotliwość wywierała na Ludwika XVI. Ludwik XVI opuścił go, nie przestając powtarzać, że Turgot i on pragnęli dobra narodu.

Turgota zastąpił 1776 r. w głównej kontroli skarbu Clugny, dawny wielkorządca w San-Domingo, którego znów po upływie sześciu miesięcy zastąpił Necker. Necker był cudzoziemcem, protestantem, bankierem i raczej dobrym zarządcą, niż mężem stanu: więc też jego reformatorskie plany były daleko mniej rozległe, niż Turgota, ale przeprowadzał je z większem umiarkowaniem i okoliczności sprzyjały mu. Zamianowany ministrem, ażeby dostarczyć pieniędzy dworowi, posługiwał się jego potrzebami dla wyjednania ludowi swobody. Uporządkował stan skarbu i w umiarkowany sposób dopuścił prowincye do udziału w jego zarządzie. Zamiany Neckera były mądre i sprawiedliwe: polegały na zrównoważeniu przychodów z rozchodami, ograniczając te ostatnie do posługiwania się podatkami w zwykłych warunkach, a zaciągania długów wówczas, kiedy

grożące okoliczności nakazywały opodatkowanie przyszłości na równi z terażniejszością; na rozkładaniu podatków przez zgromadzenia prowincjonalne i na ustanowieniu, dla ułatwienia pożyczek, zdawania rachunków. System ten opierał się na naturze pożyczki, która potrzebując kredytu, wymaga jawności zarządu i na naturze podatku, który potrzebując przyzwolenia, wymaga podziału zarządu. Ilekroć rząd znajduje się w niedostatku i czeka na zasilki, jeżeli udaje się do pożyczających, winien wykazać im swój bilans, a jeżeli do opodatkowanych — przypuścić ich do współdziałania w administracyi. To też zaciąganie długów spowodowało składanie rachunków, a podatki — zwolanie Stanów generalnych; pierwszy z tych wypadków poddał władzę pod sąd opinii, drugi — pod sąd ludu. Necker, pomimo że był dużo cierpliwszym w przeprowadzeniu reform, niż Turgot, pomimo że pragnął tylko naprawiać nadużycia, które tamten chciał całkiem zniweczyć, nie był jednak od niego szczęśliwszym. Zaprowadzone oszczędności nie w smak poszły dworakom; prace zebrań prowincjonalnych źle były widziane przez parlamenty, które pragnęły zachować przy sobie wyłączność oporu; a pierwszy minister nie mógł mu wybaczyć pozoru wziętości. Musiał opuścić swe stanowisko w 1781 r., wkrótce po ogłoszeniu owych sławnych *Comptes rendus* o stanie skarbu, które nagle wtajemniczyły Francję w sprawy państwa i raz na zawsze uniemożliwiły powrót rządów samowładnych.

Śmierć Maurepasa zaszła wprędce po usunięciu się Neckera. Królowa zastąpiła go przy Ludwiku XVI i odziedziczyła cały wpływ nad nim. Dobry ten, ale słaby książę potrzebował kierunku. Więc żona jego, piękna, czynna i dumna, opanowała go w zupełności. Przyznać jednak należy, że córka Maryi Teresy pamiętała za wiele lub też za mało o swej matce; łącząc lekkomyślność z chęcią panowania, po to tylko używała władzy, ażeby nią obdarzać ludzi, którzy sprowadzili zgubę państwa i jej własną. Maurepas, niedowierzający ministrom dworakom, dobierał zawsze ministrów popularnych, co prawda nie umiał ich popierać; ale

też jeśli dobra nie przysporzył — i zła nie powiększył. Po jego zejściu ministrów popularnych zastąpili ministrowie dworacy, a błędy ich uczyniły nienniknionym przełom, który tamci pragnęli zażegnać przez reformy. Ta różnica w wyborze jest bardzo znacząca, sprowadziła bowiem ze zmianą ludzi zmianę systemu w zarządzie. Od tej to daty rozpoczyna się Rewolucya; zaniechanie wszelkich ulepszeń i powrót nieporządków przyspieszyły jej zbliżenie i powiększyły gwałtowność.

Calonne z intendentury przeszedł do głównej kontroli skarbowej. Urzędowanie to, najważniejsze wówczas, było najtrudniejszym do obsadzenia; Necker miał już dwóch następców, z których żaden nie mógł go zastąpić, zatem zwrócono się do Calonne'a. Calonne był śmiały, wykwintny, wymowny, w obejściu łatwy, umysł miał lekki i płodny. Bądź przez omyłkę, bądź przez wyrachowanie, przyjął w administracyi system wręcz przeciwny temu, jakiego się trzymał jego poprzednik. Necker zalecał oszczędność, Calonne pochwalał rozrzutność; Necker upadł przez dworaków, Calonne chciał utrzymać się przez nich. Hojnością popierał swe fałszywe rozumowania, królowę ujął zabawami, panów nadmierną opłatą zasług, a utrzymując w ciągłym ruchu finanse, chciał dowieść słuszności swych zasad liczbą i łatwością operacyj. Zdolał nawet zwieść kapitalistów, będąc zrazu akuratnym w wypłatach. Pó zawarciu pokoju, zaciągał dalej pożyczki i wyczerpał kredyt, zapewniony rządowi mądrym postępowaniem Neckera. Wówczas, pozbawiony środka, którego nie potrafił używać oględnie, chcąc się utrzymać na stanowisku, musiał uciec się do podatków. Do kogoż miał się jednak zwrócić? Lud nie mógł już nic więcej płacić, wybrańcy nie ofiarować nie chcieli. Z tem wszystkiem trzeba było coś postanowić i Calonne, ufając bardziej pomysłom nowym, zwołał zgromadzenie notablów, które rozpoczęło posiedzenia w Wersalu 22 lutego 1787 r. Ale odwołanie się do cudzej ofiarności musiało położyć kres systemowi marnotrawstwa. Minister, który się wznosił rozdawaniem, nie mógł się utrzymać, żądając zasiłków.

Członkowie zgromadzenia notablów, wybierani przez rząd z wyższych warstw narodu, byli ciałem ministeryalnym nieposiadającym ani samoistności, ani mandatu. To też jedynie aby pominąć parlamenty i Stany generalne, Calonne odwołał się do zgromadzenia bardziej zależnego i bardziej, jak sądził, powolnego. Lecz ono, składając się z uprzywilejowanych, nie było skłonem do poświęceń. A stało się jeszcze obojętniejszem, spostrzegłszy przepaść, wykopaną tym pożerczym systemem. Z trwogą dowiedziano się, iż w krótkim przeciągu czasu dług państwa wzrósł do olbrzymiej cyfry miliarda sześciuset czterdziestu sześciu milionów, a w dochodach powstał deficyt roczny stu czterdziestu milionów. Odkrycie to było hasłem upadku Calonne'a. Nie mógł on utrzymać się dłużej i zastąpiony został przez arcybiskupa z Sens, Loménie de Brienne, swego przeciwnika w zgromadzeniu. Ten sądził, iż większość towarzyszy jest mu oddaną, ponieważ połączyli się z nim dla obalenia Calonne'a. Uprzywilejowani jednak nie okazali się skłonniejszymi do ofiar dla Brienne'a, niż dla jego poprzednika; popierali jego wystąpienie, ponieważ leżało to w ich interesie, nie jego chęć wyniesienia się, która była im obojętną.

Arcybiskup z Sens, któremu zarzucano brak planu, nie mógł go posiadać. Nie wolno było dalej przeciągać rozrzutności Calonne'a, a za późno było powrócić do ograniczeń Neckera. System oszczędności, zbawienny w okresie poprzednim, nie był już nim obecnie. Potrzeba było albo podatków, lecz parlament im się sprzeciwiał, albo pożyczek, kredyt zaś był wyczerpany, albo ofiarności możnych, a ci jej odmawiali. Brienne, który całe życie ubiegał się o tekę ministeryalną, a który do trudności położenia dołączył słabość środków, próbował wszystkiego nadaremnie. Był to umysł czynny, lecz bezsilny, charakter zuchwały, ale bez wytrwałości. Śmiały w postanowieniach, a niepewny po dokonaniu czynu, upadł przez swą chwiejność, nieprzezorność i zmienność środków. Pozostały mu wprawdzie do wyboru same złe przedsięwzięcia, lecz nie umiał nawet zdecydować się na jedno z nich i przeprowadzić go.

Zgromadzenie notablów okazało się niepodległym i bardzo skąpem. Po zatwierdzeniu zebrań prowincjonalnych, ustawy o handlu zbożowym, zniesienia pańszczyzny i nowego podatku od stempla, rozeszło się 25 maja 1787 r. Rozniosło ono po całej Francji poczynione odkrycia o niedostatkach tronu, błędach ministrów, marnotrawstwie dworu i nędzy nieuleczalnej ludu. Brienne, pozbawiony tego otoczenia, uciekł się do podatków, jako do źródła ratunku, zaniechanego od dość dawna. Zażądał wniesienia do rejestrów dwóch postanowień o stemplu i o zapomodze gruntowej. Ale parlament, będący wówczas w całej sile swego rozwoju, w całym zapale ambicyi, któremu kłopoty pieniężne rządu dawały możność zwiększenia swej władzy, odmówił zarejestrowania. Usunięty do Troyes, znużył się wygnaniem, i minister przywołał go pod warunkiem przyjęcia rzeczonych rozporządzeń. Było to wszakże tylko chwilowem zawieszeniem broni; wymagania korony uczyniły niezadługo walkę jeszcze gwałtowniejszą i bardziej zajadłą. Minister musiał zażądać znów pieniędzy; istnienie jego zależało od udania się kilku kolejnych pożyczek aż do czterechset czterdziestu milionów. Chodziło o uzyskanie zarejestrowania.

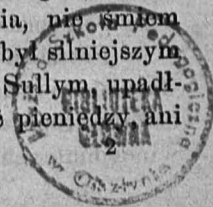
Brienne był pewnym odmowy parlamentu. Postarał się tedy o zarejestrowanie tego edyktu na posiedzeniu pod prezydencją króla, a dla złagodzenia sądownictwa i opinii przywrócono jednocześnie prawa protestantom, i Ludwik XVI przyrzekł ogłaszać doroczne sprawozdania z rachunków skarbowych oraz powołać Stany generalne przed upływem lat pięciu. Ustępstwa te nie były jednak już dostateczne: parlament odmówił zarejestrowania i podniósł głos przeciw samowoli ministeryalnej. Kilku z jego członków, między innymi księcia Orleańskiego, skazano na wygnanie. Parlament doraźnym wyrokiem zaprotestował przeciw listom gończym (lettres de cachet) i zażądał powrotu swych członków. Król unieważnił ten wyrok, parlament zatwierdził go ponownie. Walka zajęta się coraz bardziej. Sądy paryskie popierane były przez sądownictwo całej Francji i zachęcane przez opinię publiczną. Obwołały

one prawa narodu, swoją nieodpowiedniość w sprawach podatkowych i stawszy się wolnomyślnymi z interesu a wspaniałomyślnymi przez ucisk, wystąpiły przeciw dowolnym aresztowaniom, oraz domagały się systematycznego zwolywania Stanów generalnych. Po tem dziele odwagi, postanowiły dożywotność swych członków i nieważność wdzierania się w ich czynności. To śmiałe oświadczenie stało się powodem aresztowania dwóch osobistości z parlamentu, d'Eprémessnila i Goislarda, reformy ciała i ustanowienia sądów koronnych (cour plénière).

Brienne zrozumiał, iż opozycya parlamentu stawiała się systematyczną i że się powtórzy za każdym zażądaniem zasilków lub upoważnieniem zaciągnięcia pożyczki. Wygnanie było środkiem chwilowym, który zawieszał opozycyę, ale jej nie tłumil. Zamierzył tedy ograniczyć to ciało do czynności sądowych i w tym celu połączył się z kanclerzem Lamoignon. Lamoignon jakby stworzonym był do zamachów stanu. Przy zuchwałości łączył z niugiętą wytrwałością Maupeou'a większe poważanie i prawosć. Lecz pomylił się co do siły władzy i nie obliczył z tem, co było możebnem za jego czasów. Maupeou przeistoczył parlament, zmieniając jego członków; Lamoignon chciał go rozwiązać. Pierwszy z tych środków, gdyby się był powiodł, zapewniłby spokój tymczasowy, a drugi miał wytworzyć zupełny, ponieważ znosił władzę, którą tamten zamyslał tylko przemieścić; lecz reforma Maupeou'a nie trwała długo, a Lamoignon na nie mogła dojść do skutku. Wykonanie tej ostatniej było jednak dość dobrze przeprowadzonym. W ciągu jednego dnia całe sądownictwo Francyi poszło na wygnanie, ażeby nowa organizacya sądowa mogła być przeprowadzona. Kanclerz państwa pozbawił parlament paryski jego praw politycznych, ażeby je nadać sądowi koronnemu (cour plénière), utworzonemu ministeryalnie i ograniczył jego kompetencyę sądowniczą na korzyść sądów okręgowych, których władzę rozszerzył. Postępek ten oburzył opinię, wywołał protest trybunału, zwanego Châtelet, prowincye powstały, a sąd koronny nie mógł ani się wytworzyć.

rzyć, ani działać. Zamieszki wybuchły w Delfinacie, w Bretanii, w Prowancyi, we Flandryi, w Langwedocyi, w Bearn; ministerstwo, zamiast opozycyi pojedynczej parlamentów, napotkało opozycyę żywszą i ogólniejszą. Szlachta, stan trzeci, stany prowincjonalne, nawet i duchowieństwo przyłączyło się do niej. Brienne, przyciśnięty gwałtowną potrzebą pieniędzy, zwołał nadzwyczajne zgromadzenie duchowieństwa, które natychmiast zaniósło prośbę do dworu o zniesienie sądów koronnych i szybkie przywrócenie Stanów generalnych: one bowiem jedne mogły odtąd zaprowadzić ład w skarbie, zabezpieczyć dług publiczny i położyć koniec zatargom o władzę.

Arcybiskup z Sens skutkiem sporów z parlamentem, odroczył zawikłania skarbowe, tworząc trudności władzy. Lecz gdy te ustały, wyszły na jaw pierwsze i spowodowały jego usunięcie. Nie otrzymując ani podatku, ani pożyczki, nie mogąc zużytkować sądów koronnych, a nie chcąc przywrócić parlamentów, Brienne chwycił się ostatniego środka i przyrzekł zwołanie Stanów generalnych. Lecz to właśnie przyspieszyło jego koniec. Powierzono mu finanse, ażeby zaradził kłopotom, które zwiększył, ażeby wynalazł pieniądze, których otrzymać nie zdołał. Przeciwnie, rozjątrzył naród, wzburzył władze państwowe, skompromitował powagę rządu i nieuchronnym uczynił, najgorszy według dworu, środek zdobycia pieniędzy — Stany generalne. Ustąpił dnia 25 sierpnia 1788 roku. Z powodu jego upadku wstrzymano wypłatę procentów państwowych, co było początkiem bankructwa. Minister ten został najbardziej zniesławionym, ponieważ był ostatnim. Odziedziczywszy błędy i kłopoty przeszłości, musiał walczyć z trudnościami swego położenia, przy nader słabych środkach. Próbował intrygi, ucisku; skazał na wygnanie parlament, zawiesił go, zdeorganizował: wszystko było mu przeszkodą, a nie pomocą. Po długiej walce upadł ze znużenia i wyczerpania, nie siłą, nie powiedziąc z nieudolności, bo gdyby nawet był silniejszym i zręczniejszym, gdyby był Richelieum lub Sullym, upadłby również. Nikt już by nie zdołał otrzymać pieniędzy, ani



uciemieżyć. Przyznać trzeba na jego usprawiedliwienie, iż nie był twórcą stanowiska, któremu nie umiał podolać, był tylko zarozumiałym, że je przyjął. Zginał skutkiem błędów Callonné'a, który znów skorzystał z zaufania pozyskanego przez Neckera, aby puścić wodze marnotrawstwu. Jeden zburzył kredyt, drugi, chcąc go siłą przywrócić, podkopał władzę.

Stany generalne stały się jedynym narzędziem rządu i ostatnią ucieczką tronu. Na wyścigi domagał się ich parlament i parowie królestwa 13 lipca 1787 r., stany Delfinatu — na zgromadzeniu w Vizille, duchowieństwo—na swem zgromadzeniu w Paryżu. Stany prowincjonalne przygotowały po temu umysły, rolę zwiastunów odegrali notable. Król, który d. 18 grudnia 1787 obiecywał zwołanie ich za lat pięć, d. 8 sierpnia 1788 r., oznaczył termin ich otwarcia na 1 maja 1789 r. Wezwano napowrót Neckera, przywrócono parlament, sąd koronny został zniesiony, sądy zw. *bailliages* usunięte, prowincye zaspokojone i nowy minister przygotował wszystko do wyboru posłów i posiedzenia Stanów.

W tym czasie zaszła wielka zmiana w opozycyi, która dotąd była jednomyślną. Ministryum za Brienna doznawało oporu wszystkich władz państwa, ponieważ chciało je uciskać. Za Neckera spotkało opór tychże samych ciał, pragnących władzy dla siebie, a niewoli dla ludu. Z despotycznego stało się narodowem, a mimo to miało je przeciw sobie. Parlament prowadził walkę więcej o znaczenie, aniżeli o dobro publiczne; szlachta połączyła się ze stanem trzecim bardziej przeciwko rządowi, niż w interesie ludu. Każda z tych partyj upominała się o Stany generalne w nadziei: parlament, że je opanuje jak w 1614 r., szlachta — że odzyska wpływ utracony; to też magistratura proponowała dla Stanów generalnych z 1789 r. taką formę, jaką miały w roku 1614, przeciw czemu obruszyła się opinia; szlachta nie zgadzała się na podwójne przedstawicielstwo stanu trzeciego i nastąpił rozdział między temi dwiema warstwami narodu.

Potrzeba reform i znaczenie nabyte przez stan trzeci, stały się powodem, iż ówczesni ludzie światli żądali tej podwójnej reprezentacyi. Przyjętą już była w zebraniach prowincjonalnych. Brienne przed ustąpieniem z ministryum

odwołał się do pisarzy o radę, jaka najodpowiedniejsza byłaby forma składu i posiadzeń Stanów generalnych? Między pracami sprzyjającymi ludowi ukazała się słynna broszura Sieyèsa *O stanie trzecim* i druga Entraiguèsa *O stanach generalnych*. Opinia stawała się z każdym dniem wyraźniejszą. Necker, chcąc ją zadowolić, a nie mając śmiałości, pragnąc przytem pogodzić wszystkie partye i uzyskać uznanie wszystkich, zwołał drugie zgromadzenie notablów 6 listopada 1788 r. dla naradzenia się nad składem Stanów generalnych i wyborem ich członków. Sądził, iż zgromadzenie to zgodzi się na zdwojenie liczby przedstawicieli stanu trzeciego, lecz się omylił i był zmuszony rozstrzygać wbrew woli notablów to, co powinien był postanowić bez nich. Necker nie posiadał daru unikania sporów, usuwając wszelkie trudności w zawiązku. Tak w tym wypadku, jak również i w kwestyi głosowania według stanów lub osób, nie zrobił pierwszego kroku. Kiedy zebrały się już Stany generalne, rozwiązanie tego drugiego punktu, od którego zależał los władzy i ludu, pozostawione było sile.

Bądź co bądź, Necker, nie zyskawszy zezwolenia notablów na podwojenie liczby przedstawicieli stanu trzeciego, skłonił do tego radę państwa. Rozkaz królewski, ogłoszony d. 27 listopada, postanowił, że zgromadzenie Stanów generalnych powinno się składać co najmniej z tysiąca osób, oraz że liczba posłów stanu trzeciego powinna dorównać liczbie posłów szlachty włącznie z duchowieństwem. Nadto Necker wyjednał wciągnięcie proboszczów w szeregi duchowieństwa, a protestantów do stanu trzeciego. Zgromadzenia okręgowe były też powołane do wyborów. Każdy starał się o zamianowanie członków swego stronnictwa i ułożenia instrukcyi (cahier) według swego mniemania. Parlament miał mały wpływ na wybory, dwór nie miał żadnego. Szlachta wybrała kilku posłów popularnych, ale po większej części oddanych jej interesom i równie przeciwnych stanowi trzeciemu, jak możnowładztwu wielkich rodzin, otaczających dwór. Duchowieństwo wysłało biskupów i opatów, przywiązanych do przywilejów, oraz proboszczów, sprzyjających sprawie ludowej, która była zarazem ich sprawą; na-

reszcie stan trzeci wybrał ludzi światłych, nieugiętych i zgodzających się w życzeniach. Poselstwo szlachty składało się z 242 szlachciców i 28 członków parlamentu; duchowieństwa z 48 arcybiskupów i biskupów, z 35 opatów i dziekanów, oraz 208 proboszczów; wreszcie poselstwo gmin z 2 duchownych, 12 szlachciców, 18 urzędników sądowych miejskich, 102 członków sądów zwanych „bailliages,” 212 adwokatów, 16 doktorów, 218 kupców i rolników. Otwarcie Stanów generalnych oznaczono na 5 maja 1789 r.

W taki to sposób powstała Rewolucya: dwór napróżno usiłował jej zapobiedz, a następnie ją unicestwić. Pod przewodnictwem Maurepasa król mianował ministrów popularnych i próbował zaprowadzić reformy; pod wpływem królowej otoczył się ministrami dworującymi i usiłował powrócić do samowładztwa. Zarówno nie udała się przemoc, jak i próby dobrej woli. Napróżno kołatał do wspaniałomyślności dworaków o zasiłki, do parlamentu o podatki, do kapitałów o pożyczki, więc odszukał nową klasę ludzi do opodatkowania i odwołał się do uprzywilejowanych. Zażądał od zgromadzenia notablów, składającego się ze szlachty i duchowieństwa, wzięcia udziału w ciężarach państwa, czego odmówili. Wtedy to dopiero zwrócił się do całej Francji i zwołał Stany generalne. Układał się z władzami, zanim rozpoczął układy z narodem, dopiero po odmowie pierwszych odwołał się do kraju, którego wmieszania i pomocy obawiał się. Przekładał zgromadzenia oddzielne, gdyż, jako odosobnione, musiały być słabsze — nad zgromadzenie ogólne, które łącząc wszystkie interesy, skupiało całą potęgę. Aż do nadejścia tej wielkiej epoki widziano z każdym rokiem wzrastające potrzeby rządu i wzmagający się opór. Opozycya przeszła od parlamentów do szlachty, od szlachty do duchowieństwa, a od nich wszystkich do ludu. Każdy stan, w miarę jak władza królewska zasięgała jego rady, zaczynał od opozycyi, aż wszystkie te poszczególne opozycye zlały się w opozycyę narodową lub przed nią zamilkły. Stany generalne zatwierdziły tylko Rewolucyę, już dokonaną.

REWOLUCYA FRANCUSKA.

ROZDZIAŁ I.

Od dnia 5 maja 1789 roku, aż do nocy 4 sierpnia.

Otwarcie Stanów generalnych. — Opinia dworu, ministeryum i innych władz państwowych, tycząca się ich — Sprawdzanie upoważnień. — Sprawa głosowania według stanów lub osób. — Gminy przekształcają się na zgromadzenia narodowe. — Dwór każe zamknąć salę obrad; przysięga w Kręgielni. — Większość duchowieństwa przyłącza się do gmin. — Posiedzenie królewskie 23 czerwca, jego beużyteczność. — Zamiary dworu; wypadki z 12, 13 i 14 lipca; odprawa Neckera; powstanie w Paryżu; utworzenie gwardyi narodowej; oblężenie i zdobycie Bastylli. — Ciąg dalszy 14 lipca. — Wyroki nocy 4 sierpnia. — Charakter dokonanej rewolucyi.

Dzień 5 maja 1789 r. wyznaczono na otwarcie Stanów generalnych. Poprzedził je w wigilię obchód religijny. Król, jego rodzina, ministrowie, posłowie trzech stanów udali się w uroczystej procesyi z kościoła Panny Maryi do kościoła św. Ludwika, aby wysłuchać mszy otwarcia. Z upojeniem radosnem witano powrót tej uroczystości narodowej, której Francya pozbawiona była tak długo. Wyglądała odświętnie. Niezliczone tłumy napłynęły zewsząd do Wersalu; pogoda była przepiękna, okazałość ozdób niepamiętna. Dźwięki muzyki, dobrotliwe i zadowolone oblicze króla, wdzięk i szlachetna uroda królowej, a nadto wspólne nadzieje unosiły wszystkich. Z przykrością tylko zauważono etykiety, ubiory i rozdział klas, z czasu Stanów 1614 roku. Duchowieństwo w biretach, sutannach i wielkich płaszczach, lub też szatach fioletowych i rokitach, zajmowało pierwsze

miejsce. Za niem postępowała szlachta w czarnych sukniach, w kamizelach i wyłogach przetykanych złotem, w koronkowych żabotach i kapeluszach z białymi piórami, podwiniętymi na wzór Henryka IV. W końcu skromny stan trzeci uszykował się na ostatku, ubrany czarno, w płaszczach krótkich, w żabotach muslinowych, w kapeluszach bez piór i bez pętlic. W kościele toż samo wyróżnienie stanów było zachowane.

Nazajutrz posiedzenie królewskie odbyło się w sali zwanej „des Menus.“ Ławy ustawione w półkole napelniły się widzami. Przywoływano posłów i wprowadzano według porządku ustanowionego w r. 1614. Duchowieństwo zajęło prawą stronę, szlachta lewą, a gminy pomieszczono w głębi sali, wprost tronu. Żywe oklaski powitały posłów z Delfinatu, z Crépi en Valois, wśród których znajdował się książę Orleański, i z Prowancyi. Wchodzący Necker obudził również powszechny zapach. Publiczność obdarzała względami wszystkich tych, którzy przyczynili się do zwołania Stanów generalnych. Skoro posłowie i ministrowie zajęli swe miejsca, ukazał się król, za nim postępowała królowa, księżęta oraz świetny orszak. Z jego wejściem w sali zagrzmiały oklaski. Ludwik XVI zasiadł na tronie i gdy tylko włożył kapelusz, wszystkie stany nakryły głowy jednocześnie. Gminy, wbrew zwyczajowi dawnych czasów, naśladowały bez namysłu duchowieństwo i szlachtę; minęła już epoka, w której stan trzeci winien był stać z odkrytą głową i przemawiać na klęczkach. Oczekiwano w najgłębszem milczeniu na królewskie słowo. Każdy był spragniony dowiedzieć się, jakim było rzeczywiste usposobienie rządu względem stanów. Czy zechce postawić na równi nowe zgromadzenie z dawnymi, czy też przyzna mu taką rolę, jakiej potrzeby kraju i ważność okoliczności wymagały?

„Panowie! — przemówił król ze wzruszeniem — nadszedł nareszcie dzień, przez serce moje tak oczekiwany i widzę się otoczonym przedstawicielami narodu, któremu panować jest dla mnie chwałą. Długa przerwa dzieli nas od ostatnich posiedzeń Stanów generalnych; a chociaż zdawało

się, iż zwolywanie tych zgromadzeń wyszło całkiem z użycia, nie wahałem się przywrócić zwyczaju, z którego królestwo może zaczerpnąć nowych sił i który może odkryć narodowi nowe źródło szczęścia.“ Po tym wstępie, obiecującym wiele, nastąpiły jedynie wyjaśnienia, dotyczące się długu i zapowiedzi oszczędności w wydatkach. Król, zamiast nakreślić stanom rozumny plan postępowania, zachęcał je do zgody między sobą, wspominał o braku pieniędzy, o obawach innowacyj i skarżył się na niepokój umysłów, nie mówiąc o żadnym środku uspokojenia ich. Wzbudził jednak wielkie objawy zadowolenia, gdy kończąc owo przemówienie, wyrzekł następne słowa, malujące naleźycie dobre jego chęci: „Wszystkiego, czego oczekiwać można od najtkliwszego współczucia dla szczęścia ogółu, wszystkiego, czego można żądać od panującego, pierwszego przyjaciela swych ludów, możecie i powinniście spodziewać się po mnie. Pánowie, oby długa zgoda zapanowała wśród tego zgromadzenia i dzień dzisiejszy upamiętnił się na zawsze dla szczęścia i pomyślności kraju! Jest to pragnienie serca mojego, jest to najgorętsze z moich życzeń, jest to wreszcie nagroda, jakiej się spodziewam po prawości moich zamiarów i za miłość dla moich ludów.“

Z kolei mówił kanclerz Barentisse; mowa jego była przewleklą gadaniną o Stanach generalnych i dobrodziejstwach króla. Po długiej przemowie przystąpił nakoniec do spraw bieżących: „Jego Królewska Mość — wyrzekł — zezwalając na podwojenie liczby przedstawicieli grona najliczniejszego z trzech stanów, tego, na którym głównie spoczywa ciężar podatków, nie zmienił bynajmniej formy dawnych obrad. Chociaż głosowanie na głowy, prowadząc do jednego tylko wyniku, zdaje się posiadać przewagę lepszego wyrażenia woli ogółu, wszelako król pragnął, aby ta reforma wprowadzoną była za dobrowolną zgodą Stanów generalnych i z przyzwoleniem Jego Królewskiej Mości. Ale jakikolwiek byłby sposób rozstrzygnięcia tej kwestyi, jakikolwiek byłyby różnice do przeprowadzenia między rozmaitemi sprawami, mającemi się stać przedmiotem obrad, nie należy

wą tpić, że najzupełniejsza zgoda połączy wszystkie stany w sprawie podatkowej.“ Rząd nie był przeciwnym głosowan iu na głowy w kwestyach pieniężnych, bowiem odbywało się szybciej, podczas gdy w kwestyach politycznych os wiadczał się za głosowaniem stanami, które bardzo się nadawało do powstrzymania nowych porządków. Chciał tym sposobem osiągnąć swój cel, zasiłki pieniężno, a nie dozwolić narodowi dojść do swego, to jest do reform. Sposób, w jaki kanclerz określił prawa Stanów generalnych, uwydatnił jeszcze bardziej zamiary dworu. Ograniczył niejako ich działalność do rozpatrzenia podatków, aby je uchwalić, do rozpraw nad prawem o prasie, ażeby jej swobodę ścięśnić i do zaprowadzenia reform w prawodawstwie cywilnem i kryminalnem. Zresztą odrzucił wszelkie inne zmiany i zakończył w te słowa: „Sprawiedliwym żądaniom uczyniono zadość; króla nie wstrzymały szemrania nierozważne; raczył być na nie wyrozumiałym; przebaczył nawet wygłaszanie tych fałszywych i zgubnych zasad, w imię których chciałyby zastąpić niewzruszone podstawy monarchii szkodliwymi mrzonkami. Odrzucicie panowie z oburzeniem te niebezpieczne pomysły, które nieprzyjaciele dobra publicznego chcieliby zlać w jedno z koniecznymi i szczęśliwymi zmianami, jakie mają sprowadzić to odrodzenie—najpierwsze z życzeń Jego Królewskiej Mości.“

Dowodziło to słabej znajomości pragnień narodu, albo też chęci otwartego pokonania ich. Zgromadzenie niezadowolone zwróciło się do Neckera, od którego spodziewało się całkiem innej przemowy. Był on ministrem popularnym, wyjednał podwójne przedstawicielstwo, więc oczekiwano po nim, iż uzna głosowanie na głowy, które jedynie pozwalało stanowi trzeciemu korzystać ze swej przeważnej liczby. Mówił wszakże jako kontroler generalny i człowiek przezorny; mowa jego, trwająca trzy godziny, była długim wywodem nad położeniem skarbu, a gdy znużywszy zgromadzonych, poruszył przedmiot zajmujący wszystkie umysły, zbył go wymijająco, ażeby się nie narazić ani dworowi, ani ludowi.

Rząd powinien był lepiej zrozumieć ważność Stanów generalnych. Sam ich powrót zwiastował wielkie wstrząśnienie. Naród pokładał w nich całą nadzieję; powracały w chwili, kiedy dawna monarchia była bezsilną i kiedy one jedne mogły przetworzyć państwo i zarządzić potrzebom królestwa. Ciężkie czasy, natura ich mandatu, wybór ich członków — wszystko zapowiadało, iż zwołano je już nie jako stanowiące podatki, lecz jako ciało prawodawcze. Prawo odrodzenia Francji przyznawała im opinia, zalecały instrukcje (cahier), a siłę do podjęcia i spełnienia tak wielkiego zadania czerpać miały w ogromie nadużyć i w zachęcie ogółu.

Król winien był przyłożyć rękę do tego dzieła. Byłby w ten sposób odbudował swą władzę i tworząc sam rewolucję, zasłoniłby się przed jej gwałtami. Gdyby pierwszy rozpoczynając reformy, ustalił z mocą, ale i ze sprawiedliwością, nowy porządek rzeczy; gdyby, urzeczywistniając życzenia Francji, określił prawa obywateli, atrybucyo Stanów generalnych, granice władzy królewskiej; gdyby się był rzekł samowoli dla siebie, nierówności dla szlachty, przywilejów dla korporacyj; nakoniec gdyby był dokonał wszystkich tych reform, o które upominała się opinia i których dopełniło Zgromadzenie ustawodawcze, odwaga jego byłaby zapobiegła tym zgubnym rozterkom, jakie wybuchły później. Rzadko spotyka się księcia, przystającego na podział władzy i który byłby dość rozumny, aby się rzec tego, co zmuszonym będzie utracić. Jednakże Ludwik XVI byłby to uczynił, gdyby słuchał własnego natchnienia i mniej ulegał swemu otoczeniu. Ale w radzie królewskiej panował najstraszniejszy bezład. Kiedy się zebrały Stany generalne, nie powzięto żadnego postanowienia, niczego nie uradzono, coby mogło zapobiedz sporom. Ludwik XVI, niezdecydowany, wahał się pomiędzy zdaniem ministerium, z Neckerem na czele, i dworu, kierowanego przez królową oraz kilku książąt z rodziny.

Necker, zadowolony z otrzymania podwójnej liczby przedstawicieli stanu trzeciego, obawiał się chwężności kró-

ła i niezadowolenia dworu. Nie umiając ocenić właściwie ważności przełomu, który uważał raczej za pieniężny, niż za społeczny, czekał na wypadki, ażeby działać i pochlebiał sobie, że nimi kieruje, nie zrobiwszy nic dla ich przygotowania. Czuł on, że dawny ustroj stanów nie mógł się nadal utrzymać, że istnienie trzech stanów, z których każdy miał prawo odmowy, sprzeciwiało się dokonaniu reform i rozwojowi zarządu wewnętrznego. Po wypróbowaniu tej potrójnej opozycji miał nadzieję ograniczyć liczbę stanów i narzucić formę rządu angielską, łącząc duchowieństwo i szlachtę w jedną Izbę, a stan trzeci w drugą. Nie przewidział, że skoro walka raz się rozpocznie, jego wzmieszanie się będzie nadaremne; że półśrodki nie zadowolą nikogo; że słabsi przez upór, a silniejsi przez uniesienie odrzucą ten umiarkowany system. Ustępstwa zadawałają tylko przed zwycięstwem.

Dwór nie życzył sobie bynajmniej uregulowania Stanów generalnych, lecz pragnął ich zniesienia. Przekładał opozycję przypadkową wielkich ciał państwowych nad podział władzy ze Zgromadzeniem nieustającym. Rozdział stanów dogadzał jego widokom; zamierzał podżegać ich niesnaski i przeszkadzać działaniu. Stany generalne nie doprowadziły niczego do skutku z powodu swego wadliwego ustroju; dwór tem bardziej obliczał, że w dalszym ciągu powtórzy się to samo, ponieważ pierwsze dwa stany nie były wcale usposobione do ustępstw dla reform, które zalecał ostatni. Duchowieństwo chciało zachować swoje przywileje i swe dostatki; trafnie przewidywało, iż więcej ponieść musi ofiar, niż osiągnie korzyści. Szlachta również, powracając do swobody politycznej, od tak dawna utraconej, wiedziała, że więcej musi ustąpić ludowi, niż otrzymać może od władzy królewskiej. Nowy zatem przełom miał prawie wyłącznie posłużyć interesom stanu trzeciego, a oba pierwsze były skłonne połączyć się z dworem przeciwko niemu, jak niegdyś połączyły się z nim przeciw dworowi. Interes wyłącznie kierował tą zmianą stanowisk i stany te zarówno bez przywiązania dla monarchy sprzymierzały się z nim,

jak znów broniły ludu, nie troszcząc się o dobro publiczne.

Nie oszczędzono niczego, aby utrzymać szlachtę i duchowieństwo w tem usposobieniu. Posłowie tych dwóch stanów byli przedmiotem uprzejmości i ciągłych zabiegów. Komitet, do którego należały najznakomitsze osobistości, zbierał się u hrabiny de Polignac; główni ich członkowie byli u niej przyjmowani. Tam to pozyskano d'Éprémésnila i d'Entraiguesa, dwóch najzarliwszych obrońców wolności w parlamencie, oraz przed zwołaniem Stanów generalnych, którzy dotąd stali się jawnymi jej przeciwnikami. Tam to określono ubiory dla posłów stanów odmiennych, które starano się koniecznie rozdzielić naprzód etykieta, następnie intrygą i w końcu siłą. Wspomnienie dawnych Stanów generalnych oładnęło dworem: zdawało mu się, że może on terazniejszość urządzić według przeszłości, powściągać Paryż przez wojsko, a posłów mieszczańskich — przez szlacheckich, opanować stany, różniąc klasy społeczne, a dla rozdzielenia tych klas wskrzesić stare zwyczaje, podnoszące szlachtę, a poniżające gmin. W taki to sposób sądzono po pierwszym posiedzeniu, że zapobieżono wszystkiemu, nie przyznając nic.

Dnia 6 maja, nazajutrz po otwarciu Stanów, szlachta i duchowieństwo udały się do swych oddzielnych komnat, gdzie się ukonstytuowały. Stan trzeci dla swej podwójnej reprezentacyi otrzymał salę Stanów, jako najobszerniejszą i tam oczekiwał dwóch innych; uważał on swoje położenie za tymczasowe, swoich członków za posłów domniemanych, więc przyjął system bezwładności do czasu, póki szlachta i duchowieństwo z nim się nie złączą. Wtedy zaczęła się pamiętna walka, której koniec miał rozstrzygnąć, czy Rewolucya wybuchnie, czy będzie powstrzymana. Cała przyszłość Francyi zawisła była od rozłączenia się lub skupienia warstw społecznych. Ważną tę kwestyę poruszył wniosek sprawdzenia upoważnień. Posłowie ludowi utrzymywali słusznie, że akt ten powinien być dokonany wspólnie, ponieważ, nawet w razie rozłączenia się stanów, niepodobna było

zaprzeczyć, że każdy z nich miał interes zbadania pełnomocnictwa innych. Posłowie klas uprzywilejowanych utrzymywali przeciwnie, że skoro każdy stan ma występować odrębnie, więc i sprawdzenia dokonać należy oddzielnie. Czuli oni aż nadto dobrze, że jedna czynność wspólna unieвозмоżliwi wszelką rozłąkę na przyszłość.

Gminy postępowały z wielką przezornością, dojrzałością i stałością. Po całym szeregu usiłowań, połączonych z pewnem niebezpieczeństwem, powolnych i małoważnych powodzeń, odradzających się walk, doszły w końcu do swego celu. Systematyczna bezczynność, której się trzymały od początku, była stanowiskiem najmądrzejszem i najpewniejszym: są wypadki, w których należy tylko umieć czekać, aby zwyciężyć. Gminy postępowały jednomyślnie a liczebnie wynosiły połowę Stanów generalnych; szlachta posiadała w swem łonie popularnych dysydentów; większość duchowieństwa składała się z kilku biskupów lubiących spokój i z liczego grona proboszczów, którzy sami będąc stanem trzecim Kościoła, czuli się dla gmin dobrze usposobieni. Znużenie miało tedy dokonać połączenia; tego się właśnie spodziewał stan trzeci a obawiali biskupi i to ich skłoniło do ofiarowania się na pośredników dnia 13 maja. Ale pośrednictwo to nie odniosło skutku, gdyż szlachta nie życzyła sobie głosowania według głów, a gminy—według stanów. To też obrady pojednawcze, przedłużające się napróżno aż do 27 maja, zostały zerwane przez szlachtę, która się oświadczyła za oddzielnem sprawdzeniem pełnomocnictw.

Dnia następnego po tem nieprzyjaznem postanowieniu, gminy, zdecydowane do obwołania siebie Zgromadzeniem narodowem, zawezwały: *w imię Boga, pokoju i dobra publicznego*, duchowieństwo do połączenia się z niemi. Dwór, przerażony tym krokiem, wmieszał się, zalecając powtórzenie obrad. Pierwszem posłannictwem delegacyi pojednawczej było załagodzenie rozterek pomiędzy delegatami. Skutkiem tego stany zależały od komisji, która za rozjemcę miała radę królewską. Ale te ponowne obrady nie skończyły się pomyślniej od pierwszych: przewlekały się, a tym-

czasem żaden stan nie chciał nie ustąpić drugiemu i ostatecznie zorwała je szlachta, zatwierdzając wszystkie swoje postanowienia.

Ta bezużyteczna gadanina pochłonęła pięć tygodni czasu. Stan trzeci, widząc, że nadeszła chwila ukonstytuowania się i że dłuższa zwłoka mogłaby źle przeciwko niemu usposobić naród, który, po odmownej odpowiedzi stanów uprzywilejowanych, w nim całą swoją ufność położył — postanowił działać, wykazując znów przy tej sposobności równą stanowczość i równe umiarkowanie, jak podczas okresu swej bezczynności. Mirabeau oznajmił, że poseł z Paryża miał do postawienia wniosek, i Sieyès, który posiadał charakter lękliwy a umysł przedsiębiorczy, który był wielce poważany za swe idee i lepiej niż ktokolwiek umiał uzasadniać postanowienia, dowiódł niemożliwości zgody, naglącej potrzeby sprawdzenia upoważnień, słuszności żądania, aby ono dokonaniem było pospołu, wreszcie wyjednał uchwałę Zgromadzenia, ażeby szlachta i duchowni zostali *zawezwani* do sali Stanów dla wzięcia udziału w sprawdzeniu, mającym się odbyć *bądź w ich obecności, bądź też bez nich*.

Po tej uchwale sprawdzenia ogólnego nastąpiła druga, jeszcze energiczniejsza. Gminy, załatwiwszy się ze sprawdzeniem, za radą Sieyèsa dnia 17 czerwca ukonstytuowały się jako Zgromadzenie narodowe. Tym śmiałym krokiem, przez który stan najliczniejszy i jedyny, mający uprawnione pełnomocnictwo, przyznał sobie przedstawicielstwo Francji i zaprzeczył go dwu innym do czasu poddania się sprawdzeniu, przecięto sprawę dotąd nierozstrzygniętą i zmieniono Zgromadzenie stanów na Zgromadzenie narodowe. Ustrój stanów znikł w ich funkcjach politycznych i był to wstęp do zniesienia klas w ustroju prywatnym. Pamiętna ta uchwała z d. 17 czerwca zamykała w sobie noc 4 sierpnia; lecz należało bronić tego, co się ośmielono postanowić, a zachodziła obawa, czy się da utrzymać podobne postanowienie.

Pierwszy występ Zgromadzenia narodowego był aktem wszechwładztwa. Ogłaszając niepodzielność władzy

prawodawczej, poddało ono, rzec można, uprzywilejowanych pod zależność od siebie. Pozostawało mu jeszcze utrzymać na wodzy dwór przez podatki. Uznało tedy ich nieprawność, uchwaliło jednak, że tymczasowo mają być pobierane przez ciąg jego trwania, ale ustać, skoro ono zostanie rozwiązaniem; uspokoiło kapitalistów, zabezpieczając dług państwa i zadość uczyniło potrzebom ludu, mianując komitet wyżywienia.

Ta stałość i ta przezorność wzbudziły zapal w narodzie. Ale kierujący dworem poczuli, że rozbrat, wzniecony w stanach, chybił celu; że, aby ten cel osiągnąć, trzeba się było uciec do innego środka. Władza królewska zdawała im się najsposobniejszą do nadania stanom tej postawy, której opozycja szlachty już podtrzymać nie mogła. Skorzystano z wyjazdu Ludwika XVI do Marly, aby usunąć go z pod wpływu przezornych i spokojnych rad Neckera i nakłonić do wrogich zamiarów. Panujący ten, zarówno skłonny do usłuchania dobrych, jak i złych podszeptów, otoczony dworem opanowanym przez ducha stronnictwa, błagany w imię dobra korony, w imię religii, aby powstrzymał buntowniczy pochód gmin, dał się pozyskać i obiecał wszystko. Postanowiono, że się uda uroczyście do Zgromadzenia, obali jego uchwały, nakaże rozdział Stanów, jako wypływający (constitutive) z monarchii i oznaczy sam wszelkie reformy, jakie Stany generalne przeprowadzić mają. Odtąd tajna rada opanowała rząd i nie skrycie, jak przedtem, ale jawnie działać zaczęła. Kanclerz Barentin, hrabia d'Artois, książę de Condé, książę de Conti, przeprowadzili sami projekty, które ułożyli. Necker utracił wszelki wpływ: zalecał on królowi plan pojednania, który mógł być się udać, zanim walka doszła do takiego stopnia rozjątrzenia, ale który obecnie był już bezskutecznym. Doradzał on przecież nowe posiedzenie królewskie, na którym miało być uchwalone głosowanie według głów w sprawie podatkowej, a głosowanie według stanów w sprawach prywatnych i dotyczących przywilejów. Środek ten, który był niekorzystny dla gmin, ponieważ dążył do utrzymania nadużyć, dając szlachcie i du-

chowieństwu prawo przeszkodzenia usunięciu złego, miał być połączony z ustanowieniem dwu izb na następne zgromadzenie Stanów generalnych. Necker lubił półśrodki i chciał przez stopniowe ustępstwa przeprowadzić zmianę polityczną, która musiała być dokonana od jednego zamachu. Nadeszła chwila albo przyznania narodowi wszystkich praw, albo pozwolenia, aby sam je zdobył. Jego projekt posiedzenia królewskiego, bynajmniej niewystarczający, zamieniony został przez nową radę na zamach stanu. Koło to sądziło, że nakazy z tronu zastraszą Zgromadzenie i że Francya zadowoli się obietnicami kilku reform. Nie wiedziała, że ostatniem ryzykiem, na które trzeba narazić władzę królewską, jest nieposłuszeństwo.

Zwykle zamachy stanu wybuchają niespodziewanie i spadają z nienacka na tych, w których mają uderzyć. Tym razem inaczej się stało: przygotowania sprawiły to, że się nie udał. Obawiano się, aby większość duchowieństwa, łącząc się ze Zgromadzeniem, nie uznała go i chcąc uprzędzić ten krok stanowczy, zamiast przyspieszyć posiedzenie królewskie, zamknęto salę Stanów, ażeby zawiesić czynności Zgromadzenia aż do tego dnia. Przygotowania, jakich wymagała obecność króla, posłużyły za pozór temu niestosownemu i niezręcznemu postępkowi. Zgromadzeniu przewodniczył wówczas Bailly. Cnotliwy ten obywatel, nie szukając zaszczytów, otrzymał wszelkie od budzącej się swobody. Był pierwszym prezydentem Zgromadzenia, zarówno jak pierwszym posłem Paryża i następnie pierwszym jego merem. Miłowany przez swoich, szanowany przez przeciwników, światły i łagodny, posiadał w wysokim stopniu odwagę w spełnianiu obowiązku. Uwiadomiony też przez kancelerza, w nocy dnia 20 czerwca, o zawieszeniu obrad, okazał się wiernym woli Zgromadzenia i nie cofnął się przed nieposłuszeństwem względem dworu. Nazajutrz w oznaczonej godzinie udał się do sali Stanów, a znalazłszy ją zajętą przez siłę zbrojną, zaprotestował przeciwko temu despotycznemu czynowi. Podczas tego zajścia nadeszli posłowie, zgiełk się powiększył; wszyscy postanowili stawić

czoło niebezpieczeństwu i zgromadzić się. Najbardziej oburzeni chcieli się udać do Marly i prowadzić obrady przed oknami króla; jakiś głos wspomniał o Kręgielni; pomysł przyjęto i posłowie pospieszyli tam w całym orszaku. Bailly znajdował się na ich czele; lud uniesiony zapalem postępował za nimi; żołnierze sami utworzyli przy nich straż i tam to w nagiej sali posłowie gmin, stojący z rękami wzniesionymi do góry, z sercem przepelnionem świętością swego posłannictwa, przysięgli wszyscy, z wyjątkiem jednego, że się nie rozłączą, póki Francyi nie dadzą konstytucyi.

Ta uroczysta przysięga, złożona dnia 20 czerwca wobec narodu, poprzedziła ważne zwycięstwo z dnia 22. Zgromadzenie, wciąż pozbawione miejsca obrad, nie mogąc się zbierać w Kręgielni, którą książęta kazali zająć, ażeby go nie dopuścić, udało się do kościoła św. Ludwika. Na tem to właśnie posiedzeniu większość duchowieństwa połączyła się z niem wśród wielce patryotycznych uniesień. Tak więc ostrożności, przedsięwzięte dla zastraszenia posłów, podniosły ich odwagę i przyspieszyły połączenie się, któremu miały zapobiedz. Dwie zatem porażki dworu poprzedziły owo sławne posiedzenie królewskie z dnia 23 czerwca.

Zebrało się nareszcie. Liczna straż otoczyła salę Stanów generalnych; przed posłami otworzono drzwi, które zamknięto dla publiczności. Król ukazał się otoczony całym przepychem władzy. Wbrew zwyczajowi przyjęto go ponurem milczeniem. Wypowiedziana przezeń mowa spotęgowała ogólne niezadowolenie wyniosłym tonem, z jakim zalecał środki, potępiane przez opinię i przez Zgromadzenie. Król uskarżał się na niezgodę, którą sam dwór podniecał; potępił postępowanie Zgromadzenia, które uznał tylko za przedstawicieli stanu trzeciego; obalił wszystkie jego uchwały, przepisał sposób zachowania się klasom społecznym, narzucił reformy i określił ich granice, oraz nakazał Stanom generalnym przyjęcie ich; nadto dodał, że w razie napotkanej raz jeszcze opozycyi rozwiąże Zgromadzenie i sam będzie czuwał nad dobrem królestwa. Po odegraniu tej sceny

władztwa, tak źle zastosowanej do okoliczności i tak niezgodnej z jego sercem, Ludwik XVI opuścił salę, dając posłom rozkaz rozejścia się. Duchowni i szlachta byli mu posłuszni. Posłowie ludu, nieruchomi, milczący, oburzeni, nie ruszyli się z miejsc swoich i przez czas jakiś nie zmieniali postawy. Nagle Mirabeau, przerywając milczenie, zawołał: „Panowie, przyznaję, że to, coście usłyszeli, mogłoby się stać zbawieniem ojczyzny, gdyby podarunki despotyzmu nie były zawsze niebezpieczne. Czemże jest ta obelżywa dyktatura? Pompą wojskową, zgwałceniem świątyni narodowej, nakazującym, abyscie byli szczęśliwymi! I kto wam daje ten rozkaz? Wasz pełnomocnik. Kto wam nadaje prawa tonem wyniosłym? Wasz pełnomocnik, on, który rozkazy od was odbierać powinien, od nas, panowie, przyodzianych kapłaństwem politycznym i nietykalnym, od nas nareszcie, od których dwadzieścia pięć milionów ludzi oczekuje szczęścia pewnego, to jest takiego, któreby było przyznane, dane i otrzymane przez wszystkich. Ale swoboda waszych obrad jest w więzach; siła zbrojna otacza Zgromadzenie. Gdzież są nieprzyjaciele narodu? Czy Katylna jest u wrót naszych? Żądam od was, abyscie, osłonięci własną godnością, waszą władzą prawodawczą, zamknęli się w religii wazszej przysięgi, która nie pozwala nam rozejść się aż po ułożeniu konstytucyi.“ Wielki mistrz ceremonii, widząc, że Zgromadzenie nie rozchodzi się wcale, przypomniał mu rozkaz królewski: „Idź i powiedz swemu panu — wykrzyknął Mirabeau — że my tu jesteśmy z rozkazu ludu i nie wyjdziemy chyba tylko wyparci bagnietami.“ „Jesteście dzisiaj — dodał ze spokojem Sieyès — tem, czem byliście wczoraj; radźmy dalej.“ Ze stanowczością i majestatem Zgromadzenie przystąpiło do narad. Na wniosek Camusa zatwierdziło wszystkie swoje postanowienia, a na wniosek Mirabeau ogłosiło nietykalność swych członków.

Z dniem tym władza królewska upadła. Inicyatywa praw i potęga moralna przeszły od monarchy do Zgromadzenia. Doradcy, którzy sami wywołali ten opór, nie śmieli go ukarać. Necker, którego odprawa była postanowiona

zrana, usłyszał wieczorem gorące prośby z ust króla i królowej, aby nadal pozostał. Minister ten nie pochwalał posiedzenia królewskiego i odmawiając swego w niem udziału, fodzyskał ufność Zgromadzenia, którą utracił przez chwiejność. Czas niełaski był dla niego czasem popularności: opozycya, stawiana królowi, czyniła go sprzymierzeńcem Zgromadzenia, które go podtrzymywało. Każda epoka wymaga człowieka, któryby mógł służyć za wodza, a nazwisko jego za sztandar stronnictwu; póki Zgromadzenie musiało toczyć walki z dworem, człowiekiem takim był Necker.

Na pierwszym posiedzeniu owa część duchowieństwa, która połączyła się ze Zgromadzeniem w kościele św. Ludwika, znalazła się znów wśród niego; po upływie dni kilku, czterdziestu siedmiu członków ze stanu szlacheckiego, pomiędzy którymi znajdował się i książe Orleański, naśladowało ten przykład, tak, że dwór widział się zmuszonym nakazać pozostałej większości szlachty i mniejszości duchowieństwa, aby zaniechały bezużytecznego odszczepieństwa. Dnia 27 czerwca obrady stały się ogólnemi; Stany przestały istnieć prawnie, a wkrótce zniknęły faktycznie. Zachowały one nawet w sali gmin osobne miejsca, lecz z czasem pomieszały się całkiem; czece wynoszenia się ciał poszły w niwecz wobec powagi narodowej.

Dwór, który daremnie usiłował przeszkodzić utworzeniu się Zgromadzenia, nie miał innego wyjścia, jak połączyć się z niem, aby módz kierować jego czynnościami. Mógł on jeszcze, działając z przezornością i dobrą wiarą, naprawić swe błędy, oraz wykreślić z pamięci swe zaczepki. Bywają chwile, w których następuje się sposobność do dobrowolnych ofiar, bywają inne, w których pozostaje tylko zdobyć się na zasługę przyjęcia ich. Przy otwarciu Stanów generalnych król mógł sam ułożyć konstytucyę, dziś musiał ją otrzymać z rąk Zgromadzenia; gdyby był uległ temu położeniu, byłby je niechybnie polepszył. Ale doradcy Ludwika XVI, ochłonawszy po wrażeniach pierwszej porażki, postanowili uciec się do bagnetów wtedy, kiedy władza jego

osłabła. Wmówili w króla, że poniewierka Stanów, bezpieczeństwo tronu, utrzymanie królestwa, a nawet pomysłność jego ludu wymagały po nim, aby zmusił Zgromadzenie do posłuszeństwa; że ono umieszczone w Wersalu, sąsiadujące z Paryżem, które to miasta oświadczyły się za niem, powinno być poskromione siłą; że należałoby albo przenieść je gdzieindziej, albo rozwiązać; że postanowienie to było naglącem, aby ten sejm wstrzymać w dalszym pochodzie i że chcąc je wykonać, trzebaby jaknajspieszniej przywołać wojsko, które nastraszy Zgromadzenie, a powściągnie Wersal i Paryż.

Podczas knowania tych spisków, posłowie narodu rozpoczęli swe czynności prawodawcze i przygotowywali tę tak niecierpliwie oczekiwaną konstytucję, której, jak sądzili, nie powinni już byli opóźniać. Otrzymywali dziękczynienia z Paryża i z główniejszych miast królestwa; winszowano im ich mądrości i zachęcono do dalszej pracy nad odrodzeniem Francji. Tymczasem nadięgały wojska w znacznej liczbie: Wersal przybierał pozór obozu; salę Zgromadzenia otoczono strażą, obywatelom wzbroniono wejścia do niej; Paryż okrzyły dokoła liczne oddziały zbrojne, które zdawały się po to tam ustawione, aby według potrzeby służyły do oblężenia lub osaczenia go. Te przygotowania wojenne na tak wielką skalę, artylerya sprowadzona z granic państwa, obecność pułków zagranicznych, których posłuszeństwo było bezmierne — zwiastowały złowrogie zamiary. Lud był niespokojny i poruszony; Zgromadzenie chciało objaśnić monarchę i prosić o odwołanie wojska. Na wniosek Mirabeau wniosło dnia 9 lipca podanie do króla, pełne szacunku, ale i stanowczości, które jednak nie odniosło żadnego skutku. Ludwik XVI oznajmił, że sam jest sędzią w sprawie, kiedy ma wojsko ścigać a kiedy odsyłać; zapewnił, że czyni to jedynie przez ostrożność, aby zapobiedz zaburzeniom i strzedz Zgromadzenia; nadto zalecił mu przenieść się do Noyon lub Soissons, co znaczyło, umieścić się między dwiema armiami i pozbawić podparcia ludu.

Paryż był w najwyższym stopniu podniecony; ogromne to miasto jednomyślnie oddało się Zgromadzeniu. Niebezpieczeństwo, zagrażające przedstawicielom narodu i jemu samemu, oraz brak żywności usposabiały go do powstania. Kapitaliści, z interesu i obawy przed bankructwem, ludzie światli i cała średnia klasa przez patriotyzm, lud przyciśnięty nędzą, czyniący odpowiedzialnymi za swe cierpienia uprzywilejowanych i dwór, a cheiwy rozruchów i zmian — słowem, wszyscy oddali się z zapalem sprawie rewolucyi. Trudno wyobrazić sobie ruch, wstrząsający stolicą Francyi. Ocknąwszy się ze spoczynku i cichej uległości, zaskoczona znienacka nowością położenia, upajała się swobodą i szałem. Prasa zagrzewała umysły, dzienniki rozpowszechniały rozprawy Zgromadzenia, czyniąc przez to wszystkich niemal uczestnikami posiedzeń; roztrząsano pod gołym niebem, na placach publicznych sprawy, poruszane w jego łonie. Głównie w Palais-Royalu zbierała się stolica. Ogród zalegały tłumy nieustanne, gdyż odnawiające się ciągle. Stół służył za mównicę, pierwszy lepszy obywatel za mówcę; tam to rozprawiano o niebezpieczeństwach ojczyzny i pobudzano się do oporu. Już raz nawet, na wniosek zrobiony w Palais-Royalu, zdobyto więzienie Opactwa (Abbaye), skąd wyprowadzono w tryumfie grenadyerów gwardyi francuskiej, osadzonych tam za to, że nie chcieli strzelać do ludu. Zaburzenie to nie miało następstw; wysłano poselstwo, oddające oswobodzonych pieczy Zgromadzenia, które też poleciło ich łasce królewskiej; wrócili oni do więzienia i tam otrzymali przebaczenie. Niemniej jednak pułk ten, jeden z najliczniejszych i najdzielniejszych, został już pozyskanym dla sprawy ludowej.

Takie było usposobienie Paryża, kiedy dwór, obsadzwszy już wojskiem Wersal, Sévres, Champ-de-Mars, Saint-Denis, uznał, że może przystąpić do wykonania swego planu. Rozpoczął od wygnania Neckera dnia 11 lipca i zupełnej zmiany ministeryum. Marszałek de Broglie, Galissonnière, książę de la Vauguyon, baron de Breteuil i intendent Foulon byli mianowani zastępcami Puységura, Montmorrina,

la Luzerne'a, Saint-Priesta i Neckera. Ten ostatni, siedząc przy obiedzie w sobotę 11 lipca, otrzymał kartkę od króla, polecającą mu natychmiastowe opuszczenie Francji. Do końca spokojnie obiadu, nie wspominając nic o rozkazie, który otrzymał, wsiadł następnie do powozu z panią Necker, jak gdyby zamierzał udać się do Saint-Ouen i odjechał do Brukselli.

Nazajutrz, w niedzielę dnia 12 lipca, około godziny czwartej po południu, dowiedziano się w Paryżu o usunięciu Neckera i jego wyjeździe na wygnanie. Środek ten uznano za wprowadzenie w czyn spisku, do którego przygotowania dostrzegano. W kilka chwil całe miasto było w największym wzburzeniu, zbiegowiska tworzyły się wszędzie, przeszło dziesięć tysięcy osób, poruszonych tą wieścią, gotowych na wszystko, ale niewiedzących co począć na razie, udało się do Palais-Royalu. Pewien młody człowiek, śmielszy od innych, zwykły mówca ludowy, Kamil Desmoulin, wskakuje na stół z pistoletem w rękę, wołając: „Obywatele, nie mamy ani jednej chwili do stracenia; wygnanie Neckera jest hasłem do nocy św. Bartłomieja dla patriotów! Dziś wieczorem wszystkie pulki szwajcarskie i niemieckie wyruszą z Pola Marsowego dla wyrznięcia nas! Nie mamy innej ucieczki, jak pochwyć za broń!“ Przyjęto tę myśl okrzykami zgody. Wtedy on wnosi, ażeby poprząpinało sobie kokardy dla rozpoznawania się i wzajemnej pomocy. „Czy wolicie — pyta — barwę zieloną, kolor nadziei, czy też czerwoną, kolor wolnego stanu Cyncynata? — Zieloną! zieloną!“ — odpowiada tłum. Mówca schodzi ze stołu i przypina do kapelusza liść uszozknięty z drzewa: wszyscy go naśladują; kasztany około pałacu pozostają prawie ogołoczone z liści, a cała ta masa ludzi bieży w nieładzie do rzeźbiarza Curtiusa.

Pochwycono popiersia Neckera i księcia Orleańskiego, ponieważ rozeszła się pogłoska, że i ten miał być skazany na wygnanie; okryto je krepą i uniesiono tryumfalnie. Orszak przebywa ulicę Saint-Martin, Saint-Denis, Saint-Honoré, zwiększając się co krok. Lud każe odkrywać glo-

wę każdemu, kogo zobaczy. Straże konne, spotykane po drodze, przybiera sobie za eskortę. Przybywszy na plac Vandôme, orszak obnosi oba popiersia wkoło posągu Ludwika XIV. Nadbiega oddział królewsko-niemiecki dla rozproszenia go, ale przyjęty gradem kamieni, umyka, a tłum kroczy dalej i dociera do placu Ludwika XV. Tu znów zostaje napadnięty przez dragonów księcia Lambesc; opiera się czas jakiś, ale idzie w rozsypkę; jeden z ludzi niosących popiersie i jeden żołnierz z gwardyi francuskiej padają zabici; lud rozprasza się, jedna część ucieka na wybrzeża (quais), inna cofa się na bulwary, reszta rzuca się do Tuileriów przez most Tournant. Księżę de Lambesc ściga ich aż do ogrodu z obnażonym mieczem na czele swej jazdy i wpada na publiczność bezbronną, nienależącą wcale do orszaku, która spokojnie używała przechadzki. W tem natarciu jakiś starzec został skaleczony cięciem szabli; publiczność zaczyna się bronić krzesłami, wchodzi na tarasy; oburzenie staje się powszechnem, a okrzyk: „do bronii!“ wkrótce rozlega się wszędzie, w Tułieriach, Palais-Royalu, mieście i przedmieściach.

Pułk gwardyi francuskiej był — jak już wspomnieliśmy — dobrze usposobiony dla ludu, to też skonsygnowano go w koszarach. Księżę de Lambesc w obawie, aby pomimo to nie wziął on udziału w buncie, wysłał sześćdziesięciu dragonów z rozkazem ustawienia się naprzeciw jego posterunku, położonego na Chaussée-d'Antin. Żołnierze gwardyi, niezadowoleni już z tego, że ich trzymano jak więźniów, oburzają się na widok tych cudzoziemców, z którymi na kilka dni przedtem mieli zwadę. Chcieli natychmiast za broń pochwycić i oficerowie zaledwie zdolali ich powstrzymać, używając kolejno groźby i prośby. Ale skoro paru z nich przyniosło wiadomość o starciu w Tułieriach i o śmierci jednego z ich towarzyszków, nie chcieli słuchać niczego. Chwycili za broń, wyłamali kraty, uszykowali się do boju przed koszarami wprost dragonów i wykrzyknęli: „Kto idzie? — Królewsko-niemiecki (Royal-Allemand). — Czy trzymacie za stanem trzecim? — Trzymamy z tymi, którzy

nam wydają rozkazy.“ Wówczas gwardya francuska uderzyła na nich, zabiła im dwóch ludzi, zraniła trzech, a resztę zmusiła do ucieczki. Udała się następnie w szyku bojowym z wysuniętymi bagnetami na plac Ludwika XV, rozciągnęła się pomiędzy Tuilieriami i Polami Elizejskimi, to jest między ludem i wojskiem, zajmując to stanowisko przez całą noc. Żołnierze z Pola Marsowego odebrali natychmiast rozkaz wymarszu. Kiedy przybyli na Pola Elizejskie, gwardya francuska powitała ich wystrzałami z karabinów. Kazano nacierać na nią, ale żołnierze odmówili posłuszeństwa: oddział szwajcarski (les Petits Suisses) dał pierwszy ten przykład, który naśladowały inne. Oficerowie zrozpaczeni zakomenderowali odwrot; wojsko cofnęło się ku sztachetom Chaillot, skąd zawróciło wkrótce na Pole Marsowe. Odstępstwo gwardyi francuskiej i odmowa wojska, nawet cudzoziemskiego, które zarówno jak i krajowe nie chciało iść na stolicę, obróciły w niwecz zamiary dworu.

Tegoż wieczoru lud udał się do Ratusza, zażądał uderzenia w dzwony na trwozę, a także, żeby zebrano okręgi i uzbrojono obywateli. Kilku wyborców znalazło się też w Ratuszu i ci ujeli władzę w swe ręce. Podczas tych dni powstania oddali oni wielkie usługi swoim współobywatelom i sprawie wolności przez swą odwagę, przezorność i czynność; ale w pierwszym zamęcie rokoszu nikt ich nie słuchał. Zamieszanie dochodziło do ostatecznego kresu, każdy szedł tylko za popędem swej namiętności. Obok obywateli ożywionych najlepszymi chęciami, pełno było ludzi podejrzanym, którzy w rozruchach szukali sposobności do rabunku i nieporządków. Gromady robotników, używanych przez rząd do robót publicznych, po większej części ludzi bez dachu, popaliły rogatki, zaległy ulice i zrabowały kilka domów; ich to nazwano rozbójnikami (brigands). Noc z 12 na 13 lipca przeszła w zamieszaniu i trwodze.

Wyjazd Neckera, który zbuntował miasto, nie mniejsze wywarł wrażenie w Wersalu, jak i w Zgromadzeniu. Tam też zapanowało równe zdziwienie i niezadowolenie. Posłowie wczesnym rankiem udali się do sali Stanów; ponure

mieli oblicza, ale smutek ich pochodził raczej ze zgrozy, nie z przygnębienia. „Przy otwarciu posiedzenia — mówi jeden z posłów — Zgromadzenie bardziej zajęte własnymi myślami, niż tem, co mu czytano, wysłuchało w posepnem milczeniu pism (adresów), których autorowie zawiadamiali o przyłączeniu się do dekretów.“ Następnie głos zabrał Mounier; obwieścił odwołanie ministrów miłych narodowi, radził wnieść podanie do króla z prośbą o przywrócenie usuniętych, przedstawić mu niebezpieczeństwo gwałtownych środków, nieszczęścia, jakie musi spowodować zbliżenie się wojska, nadto zapowiedzieć, że Zgromadzenie stanowczo się nie zgadza na tak ohydne bankructwo. Po tych słowach, powstrzymywane dotąd wzruszenie wybuchło okrzykiem zgody i oklaskami. Lally-Tollendal, przyjaciel Neckera, przybliżył się smutny, poprosił o głos i wypowiedział długą, wymowną pochwałę wygnanego ministra. Słuchano go z największem zajęciem; boleść jego godziła się z powszechną żalobą, sprawa Neckera była sprawą ojczyzny. Nawet szlachta połączyła się w tej sprawie z członkami stanu trzeciego, bądź że widziała wspólne niebezpieczeństwo, bądź że się obawiała takiej nagany, jaka spotkała dwór, jeśli nie potępi jego zachowania, bądź też dlatego, że się dała porwać ogólnemu uniesieniu.

Hrabia de Virieu, poseł ze szlachty, dał przykład, odzywając się w te słowa: „Zgromadzeni dla ułożenia konstytucyi, układajmyż ją: zacieśnijmy wzajemne węzły, odnowmy, zatwierdźmy, uświęćmy chlubne postanowienia z 17 czerwca; połączmy się ze słynną uchwałą zapadłą w dniu 20 tegoż miesiąca. Zaprzysięgnijmy wszyscy, tak wszyscy, wszystkie zgromadzone stany, że będziemy wierni tym znakomitym ustawom, które dziś jedynie tylko mogą zbawić królestwo.“ „*Konstytucya będzie ułożona* — dodał książę de la Rochefoucauld — *albo nas nie będzie.*“ Porozumienie stało się jeszcze ściślejszem, skoro oznajmiono Zgromadzeniu o powstaniu Paryża, o nadużyciach, które były jego następstwem, o spalonych rogatkach, o wyborcach zebranych w Ratuszu, o zamieszaniu panującym w stolicy, o niebez-

pieczeństwie jej mieszkańców, zagrożonych natarciem zbrojnym lub gotowych do rzezi pomiędzy sobą. Wówczas zabrzmiał w sali jeden okrzyk: „Niech zaginie pamięć naszych chwilowych nieporozumień! Połączmy nasze wysiłki dla uratowania ojczyzny!“ Wysłano natychmiast do króla deputację, składającą się z osiemdziesięciu członków, pomiędzy którymi znajdowali się wszyscy deputowani Paryża. Arcybiskup z Vienne, prezes Zgromadzenia, stanął na jej czele. Miała ona przedstawić królowi niebezpieczeństwo grożące stolicy i całemu państwu, konieczność oddalenia wojska i powierzenia straży miasta milicyi mieszczańskiej; w razie zgody króla na te żądania, postanowiono wyprawić bezzwłocznie poselstwo do Paryża, dla oznajmienia tych pocieszających wieści. Niestety, członkowie powrócili wkrótce z odpowiedzią bynajmniej niezadawalającą.

Zgromadzenie przekonało się oczywiście, że tylko na siebie liczyć powinno, gdyż zamiary dworu były nieodwołalnie powzięte. Ale nie upadło ono wcale na duchu; przeciwnie, nabrało większej stanowczości. Natychmiast jednomyślnością głosów uchwalono odpowiedzialność ministrów obecnych oraz doradców królewskich *wszelkiego stopnia i stanu*; wyraziło żal po Neckerze i ministrach w nielase; oświadczyło, że nie przestanie nalegać na oddalenie wojska i ustanowienie milicyi mieszczańskiej; powierzyło dług państwa opiece prawości francuskiej i zatwierdziło wszystkie swoje dawniejsze ustawy. Po tych środkach przedsięwzięło ono jeden, niemniej niezbędny: obawiając się zajęcia nocą sali przez wojsko dla rozproszenia Zgromadzenia, ustanowiło się nieustającym, aż do nowego rozporządzenia; uchwalono zatem, aby jedna część Zgromadzenia zasiadała w nocy, a druga przychodziła ją zmienić wczesnym bardzo rankiem. Chcąc oszczędzić trudu nieustannego przewodniczenia czeigodnemu arcybiskupowi z Vienne, obrano wice-prezesa, który miał go zastępować w tych chwilach nadzwyczajnych. Wybór padł na Lafayette'a, który też odbył posiedzenie nocne. Przeszło ono bez rozpraw, posłowie siedzieli na swych miejscach milczący, ale spokojni i zdecyd-

wani. Przez te wnioski, przez zale publiczne, uchwały, przez ten zapal jednomyślny, rozsadek miarkowany, przez swe niewzruszone postępowanie Zgromadzenie podnosiło się coraz wyżej, póki nie stanęło na wysokości swego zadania i niebezpieczeństw.

W Paryżu dnia 13 powstanie przybrało charakter bardziej prawidłowy. Od samego rana lud zebrał się przed Ratuszem; uderzono na trwogę tak tu, jak i we wszystkich kościołach, a biciem w bębny na ulicach zwoływano obywateli. Gromadzono się na placach publicznych; tworzyły się oddziały ochotników, nadając sobie nazwy: z Palais-Royalu, Tuileriów, Basoche (stowarzyszenie), Arquebuse (rusznikarzew). Okręgi zgromadziły się; każdy z nich zobowiązał się wystawić dwustu ludzi na swoją obronę. Brakło tylko broni; szukano jej wszędzie, gdzie tylko spodziewano się znaleźć; zabrano ją od puszkarzew i płatnerzew, zostawiając im pokwitowania. Zgłoszono się też po nią do Ratusza; wyborcy, ciągle tam zebrani, nadaremnie odpowiadali, że jej nie posiadają; chciano ją dostać przebojem. Wyborcy zawezwawali tedy naczelnika miasta, de Flessellesa, starszego zgromadzenia kupców, który znał najlepiej stan wojenny stolicy i którego popularność mogła oddać wielką usługę w tak trudnych okolicznościach. Przybył powitany oklaskami tłumów: „Moi przyjaciele — rzekł — jestem waszym ojcem, będziecie zadowoleni.“ Utworzono w Ratuszu komitet nieustający w celu obmyślenia środków publicznego ratunku.

Jednocześnie przyniesiono wieść, że dom Łazarytów, posiadający duże zapasy zboża, został zniszczony, że włamano się do magazynu i zabrano broń starą, oraz że sklepy puszkarzy zostały zrabowane. Obawiano się większych nadużyć ze strony motłochu; był on rozpasany i zdawało się rzeczą bardzo trudną opanować jego gwałtowność. Ale znajdował on się w chwili bezinteresownego uniesienia. Rozbrajał sam ludzi podejrzanych; zboże zabrane w domu Łazarytów odniesiono do hali; nie złupiono ani jednego domu; wozy i wózki naładowane produktami żywności, sprzętami domowymi i kuchennymi, zatrzymane u wrót miasta, za-

prowadzono na plac Grève, zamieniony na wielki skład. Tłum gromadził się tam coraz liczniejszy, wołając ciągle: *broni!* Działo się to około godziny pierwszej. Starszy zgromadzenia kupców zapowiedział szybkie dostarczenie dwunastu tysięcy karabinów z fabryki w Charleville, po których miało wkrótce przybyć jeszcze trzydzieści tysięcy.

Zapewnienie to uspokoiło chwilowo ludność i komitet mógł się z większym nieco spokojem zająć urządzeniem milicyi mieszczańskiej. W ciągu niespełna czterech godzin plan był ułożony, rozebrany, przyjęty, wydrukowany i porozlepiany. Postanowiono, że do dalszego rozporządzenia straż paryska składać się będzie z czterdziestu ośmiu tysięcy ludzi. Wszyscy obywatele zostali zaproszeni do zapisania się, ażeby być do niej wcieleni; każdy okręg miał swój batalion, a każdy batalion swych dowódców; ofiarowano komendę nad tem wojskiem mieszczańskiem księciu d'Aumont, który zażądał dwudziestu czterech godzin do namysłu. Tymczasem markiz de la Salle został mianowany dowódcą drugiego stopnia. Kokardę zieloną zastąpiono czerwono-niebieską, były to bowiem barwy miasta. Wszystkiego tego dokonano w ciągu kilku godzin. Okręgi dawały swoje przyzwolenie na środki, postanowione przez komitet nieustający. Urzędnicy (clerics) Châteletu i z pałacu, studenci medycyny, żołnierze ze straży, a co najważniejsza — gwardziści francuscy, nieśli w ofierze swe usługi Zgromadzeniu. Zaczęły się tworzyć patrole i przebiegać ulice.

Lud oczekiwał z niecierpliwością spełnienia obietnic starszego kupców; karabiny nie przybywały, wieczór się zbliżał, obawiano się w nocy napadu wojska. Przypuszczano nawet zdradę, dowiedziano się bowiem, że lud na rogatkach pochwyił pięć tysięcy funtów prochu, które wywieziono tajemnie z Paryża. Wkrótce jednak nadciągnęły skrzynie z nadpisem: *artylerya*. Widok ten uspokoił wzburzonych; odstawiono je do Ratuśza, w tem mniemaniu, że zawierają karabiny oczekiwane z Charleville: otworzono je i okazało się, że były napełnione starą bielizną i kawałkami drzewa. Wówczas lud zaczął krzyczeć na zdradę, dały się słyszeć

głośne szemrania i groźby przeciw komitetowi i starszemu kupców. Ten usprawiedliwiał się, mówił, że go oszukano i chcąc zyskać na czasie, czy też może pozbyć się tłumu, posłał go po broń do Chartreux. Ale tam nie znaleziono niczego i tłum powrócił bardziej nieufny i bardziej rozwścieczony. Komitet wpadł na pomysł, że niema innego sposobu uzbrojenia Paryża i uleczenia ludu z podejrzeń, jak kazać dla niego kuć włócznie; polecił więc przygotować ich pięćdziesiąt tysięcy i natychmiast zabrano się do roboty. Aby uniknąć nadużyć przeszłej nocy, miasto było uiluminowane oraz patrole przebiegały je we wszystkich kierunkach.

Nazajutrz lud, który nie mógł dostać w przeddzień broni, przyszedł już o brzasku upominać się o nią u komitetu, czyniąc mu przytem wyrzuty za odmowę i wybiegi wczorajsze. Komitet napróżno czynił poszukiwania; broń nie nadeszła z Charleville; nie znaleziono jej w Chartreux; arsenał nawet był pusty.

Lud, który dnia tego nie zadawał się żadnemi wymówkami i który sądził, że jest coraz bardziej zdradzany, pociągnął całą masą do pałacu Inwalidów, gdzie się znajdował znaczny skład broni. Nie okazał żadnej obawy przed wojskiem zalegającym Pole Marsowe, wtargnął do pałacu, pomimo usilnych próśb zarządcy, de Sombreuila, znalazł dwadzieścia osiem tysięcy karabinów ukrytych w piwnicach, zabrał je, również jak szable, szpady, armaty i uniósł w tryumfie wszystkie te zbroje. Armaty umieszczono u wejścia do przedmieść, w pałacu Tuileries, na wybrzeżach, na mostach, dla obrony stolicy przeciw wtargnięciu wojska, którego się spodziewano lada chwila.

Tegoż poranku wzniecono popłoch, donosząc, że pułki, stojące w Saint-Denis, wyruszyły, oraz że armaty Bastylli są zwrócone na ulicę Saint-Antoine. Komitet postanowił natychmiast przekonać się, czy tak jest w istocie, ustawił obywateli dla obrony tej części miasta i posłał do gubernatora Bastylli z prośbą, aby cofnął armaty i nie rozpoczynał kroków nieprzyjacielskich. Ten popłoch, obawa, jaką budziła twierdza, nienawiść dla nadużyć, które osłaniała, potrzeba

zajęcia tego punktu tak ważnego, aby go nie zostawiać nieprzyjaciolom w chwili powstania, skierowały na ten cel uwagę ludu. Od godziny dziewiątej rano do drugiej po południu nie było z końca w koniec Paryża innego hasła nad to jedno: „Do Bastylli! do Bastylli!“ Obywatele ze wszystkich dzielnic podzieleni na plutony, uzbrojeni w karabiny, piki i pałasze, podążali ku niej. Tłum, który ją otaczał, był już bardzo znaczny; na placach postawiono warty, a mosty pozwodzono, jak w czasie wojny.

Posel z okręgu Sain-Louis de la Culture, nazwiskiem Thuriot de la Rosière, zażądał posłuchania u gubernatora Delaunaya. Dopuszczony do niego, wyraził życzenie, aby zmieniony został kierunek działań. Gubernator odpowiedział, że działa od wieków stoją na wieżach i że on nie jest w prawie ściągać ich stamtąd; że zresztą, uwiadomiony o niepokoju paryżan, kazał je cofnąć o kilka kroków i wyjąć ze strzelnic. Thuriot z trudnością wyjednał sobie pozwolenie posunięcia się w głąb dla przekonania się, czy stan twierdzy był istotnie tak uspokajającym dla miasta, jak utrzymywał gubernator. Na wstępie ujrzał trzy armaty wycelowane na kilka ulic placu, gotowe zmieść tych, którzyby wazyli się go zająć. Około czterdziestu szwajcarów i osiemdziesięciu inwalidów stało pod bronią. Thuriot nalegał na nich, równie jak na oficerów, w imię honoru i ojczyzny, aby się nie okazali nieprzyjaciółmi ludu; oficerowie i żołnierze przyśięgli mu, że nie użyją broni, jeśli nie będą zaczepieni. Następnie Thuriot wszedł na wieżę; stamtąd ujrzał nieprzeliczone tłumy, które ściągały zewsząd, i przedmieście Saint-Antoine, które całe zdawało się posuwać naprzód. Na zewnątrz zaczęto już niepokoić się o niego, gdy nie wracał i domagać się go krzykami. Dla uspokojenia ludu ukazał się na krużganku twierdzy, powitany oklaskami z ogrodu arsenału. Zeszedłszy na dół, połączył się ze swoimi, zdał im sprawę ze swego posłannictwa, poczem udał się do komitetu.

Ale niecierpliwy tłum żądał poddania się twierdzy. Od czasu do czasu odzywały się z pośród niego słowa: „Chcemy

Bastylli! Chcemy Bastylli!“ Dwaj jacyś ludzie, odważniejsi od innych, występują nagle z tłumu, rzucają się na odwach i zaczynają uderzać siekierami łańcuchy wielkiego mostu. Żołnierze wołają, aby się oddalili, grożąc, że dadzą ognia; ale ci rąbią dalej, zrywają łańcuchy, spuszczając most, na który rzucają się wraz z tłumem. Posuwają się do drugiego mostu, aby i ten spuścić. Wtedy załoga wypaliła z muszkietów i rozproszyła ich. Wkrótce jednak podjęli szturm na nowo i przez kilka godzin wszystkie ich wysiłki były skierowane na ten drugi most, do którego dostęp był broniony przez nieustający ogień karabinowy z placu. Lud, do ostateczności doprowadzony tym twardym oporem, próbował bramy rozbić siekierami i podpalić odwach; ale załoga sygnęła kartaczami, które wielu z oblegających położyły trupem, a wielu raniły. To wszakże tylko spotęgowało jego zapalczywość; podniecany odwagą i stałością takich śmiałków, jak Hélie i Hulin, stojących na czele, prowadził dalej swe dzieło z zaciętością.

Komitety w Ratuszu były do najwyższego stopnia zaniepokojony. Obleżenie Bastylli wydawało mu się przedsięwzięciem zanadto zuchwałem. Odbierał raz po raz wieści o klęskach zaszłych pod twierdzą. Z jednej strony groziło mu niebezpieczeństwo od wojska, jeśli zwycięży, a z drugiej od tłumów, które wołały o amunicję, by nie przerywać obleżenia. Ponieważ nie mógł dostarczyć tego, czego nie posiadał, zarzucano mu zdradę. Wysłał dwie deputacje, aby zaprzestano kroków nieprzyjacielskich i aby nakloniono gubernatora do powierzenia straży placu obywatelom; ale wśród zgiełku, hałasu i ciągłej strzelaniny, nie mogły one przyjść do głosu. Wysłał trzecią z doboszem i sztandarem, chcąc ją uczynić widoczniejszą, lecz i tej nie powiodło się lepiej: z obu stron nie chciano słyszeć o niczem. Pomimo swych usiłowań i swej działalności, Zgromadzenie w Ratuszu było narażone na podejrzenia ludu. Zwłaszcza starszy stowarzyszenia kupców wzbudzał największą nieufność. „On już nas dziś zwiódł kilka razy — mówił jeden. Obiecuje — powiadał drugi — zrobić przekop, a chce tylko

zyskać na czasie, byśmy nasz stracili. — Towarzysze! — zawołał jakiś starzec — co my tu mamy do roboty z tymi zdrajcami? Pójdźcie za mną, w dwie godziny Bastylla będzie zdobytą.“

Od czterech przeszło godzin oblegano ją, gdy nadciągnęła z działami gwardya francuska. Przybycie jej zmieniło postać walki. Załoga sama nalegała na gubernatora, aby się poddał. Nieszczęśliwy Delaunay, obawiając się losu, który go czekał, chciał twierdzę wysadzić w powietrze i zagrzebać się pod gruzami jej i całego przedmieścia. Zrozpaczony pochwyił w rękę lont zapalony i zbliżył się do składu prochu. Załoga wstrzymała go, zatknęła białą flagę na tarasie i opuściła karabiny lufami ku dołowi na znak pokoju. Lecz oblegający, wciąż walcząc, posuwali się naprzód z krzykiem: „Spuście mosty!“ Jakiś oficer szwajcarski oznajmił przez strzelnicę, że chcą się układać i wyjść z honorami wojskowymi. „Nie, nie!“ — wykrzyknął tłum. Ten sam oficer przyrzekł broń złożyć, jeśli ich wypuszczą żywych i całych. „Spuście mosty — odpowiedzieli najbliżej stojący — nic wam się nie stanie.“ Po tem zapewnieniu otworzono bramy, spuszczone mosty i oblegający rzucili się do wnętrza Bastylli. Idący na czele tłumu chcieli przed zemstą współstwa zasłonić gubernatora, szwajcarów i inwalidów, ale tłum wołał: „Wydajcie nam ich, wydajcie; oni strzelali do swych współobywateli, zasługują na powieszenie!“ Gubernatora, kilku szwajcarów i kilku inwalidów wydarła z rąk obrońców nieubłagana tłuszcza i nielitościwie pomordowała.

Komitet nieustający nic nie wiedział, jakie było zakończenie walki. Salę posiedzeń napełnił rozjuszony tłum, który groził starszemu stowarzyszeniu kupców i wyborcom. Flesselles zaczynał się lękać o siebie: był błądy i pomieszany; wystawiony na wyrzuty i najgwałtowniejsze groźby, zmuszony był przejść z sali komitetu do sali Zgromadzenia generalnego, gdzie się natłoczyło niezliczone mnóstwo obywateli. „Niech przyjdzie, niech się uda za nami!“ — krzyczano ze wszystkich stron. „Tego już zanadto — odpowiedział Flesselles — pójdźmy, skoro tego pragną, pójdźmy

tam, gdzie mnie oczekują.“ Zaledwie jednak przybył do wielkiej sali, uwaga tłumu zwróciła się na krzyki dolatujące z placu Grève: „Zwycięztwo! zwycięztwo! wolność!“ W ten sposób oznajmiono przybycie zwycięzców Bastylli. Ukazali się wkrótce i oni sami w sali, przedstawiając widok uroczystości możliwie gminnej i przerażającej. Tych, którzy się najwięcej odznaczyli, niesiono w tryumfie uwieńczonych wawrzynami. Otaczało ich przeszło półtora tysiąca ludzi z palającymi oczami, z włosami w nieładzie, uzbrojonych różnorodnie, popychających się wzajem, aż posadzki pękały pod ich krokami. Jeden niósł klucze i sztandar Bastylli, drugi — regulamin zawieszony na bagnecie karabinu, trzeci — o, zgrozo! trzymał w skrwawionej ręce sprzączkę od kołnierza gubernatora. Z takimi to oznakami zwycięstwa orszak zdobywców Bastylli, otoczony olbrzymim tłumem, zalegającym place i wybrzeża, wtargnął do sali ratuszowej, aby oznajmić komitetowi swój tryumf i rozstrzygnąć losy pozostałych więźniów. Niektórzy chcieli powierzyć komitetowi sąd nad nimi; natomiast inni wołali: „Niema przebaczenia dla więźniów! Niema przebaczenia dla tych, którzy strzelali do swych współobywateli!“ Dowódca Lasalle, wyborca Moreau de Saint Méry i odważny Hélie zdołali przecieć uspokoić tłum i uzyskać od niego ogólne ulaskawienie.

Teraz nadeszła kolej na nieszczęśliwego Flessellesa. Utrzymują, że list znaleziony przy Delaunayu dowodził zdrady, o którą go już posądzano. „Zabawiam paryżan — pisał on — kokardami i obietnicami; trzymajcie się do wieczora; otrzymacie posiłki.“ Lud tłoczył się około stołu. Najumiarkowańsi żądali, aby go pochwycono i osadzono w więzieniach Châteletu, ale inni sprzeciwiali się temu, twierdząc, że należało zaprowadzić go do Palais-Royalu, aby tam był sądzony. To ostatnie życzenie stało się powszechnem. „Do Palais-Royalu! do Palais-Royalu!“ — krzyczano ze wszech stron. „A więc dobrze, panowie — ożwał się tonem dość spokojnym Flesselles — idźmy do Palais-Royalu.“ I po tych słowach zszedł z wzniesienia, przecisnął się przez tłum, który otworzył mu drogę i nie czyniąc mu nic złego,

postępował za nim. Dopiero na rogu wybrzeża (quai) Pelletier jakiś niezajomy przybliżył się do niego i wystrzałem z pistoletu położył go trupem.

Po tych scenach uzbrojenia, zamętu, walki i zemsty, paryżanie oczekujący w nocy napadu, który zdawał się nieuchronnym, przygotowywali się na przyjęcie nieprzyjaciela. Cała ludność zabrała się do roboty, ażeby oszańcować miasto. Powznoszono barykady, utworzono okopy, rozbrukowano ulice, kuto włócznie, lano kule; kobiety znosiły kamienie na wyższe piętra domów, by razić nimi żołnierzy; gwardya narodowa rozebrała pomiędzy siebie warty; Paryż podobnym się stał do olbrzymiego warsztatu i wielkiego obozu, a całą tę noc przebył pod bronią w oczekiwaniu starcia.

Podczas kiedy powstanie w Paryżu przybierało te cechy gniewu, trwałości i powodzenia — co porabiano w Wersalu? Dwór przygotowywał się do przeprowadzenia swych zamiarów względem stolicy i względem Zgromadzenia. Noc z dnia 14 na 15 była przeznaczona na wykonanie ich. Baron de Breteuil, prezes ministeryum, przyrzekł w przeciągu trzech dni przywrócić władzę królewską. Dowódca wojska, zgromadzonego pod Paryżem, marszałek de Broglie, otrzymał władzę nieograniczoną pod każdym względem. Deklaracya z dnia 23 czerwca miała być powtórzona 13, król zamierzał zmusić Zgromadzenie do przyjęcia jej, a następnie je rozwiązać. Przygotowano czterdzieści tysięcy egzemplarzy tej deklaracyi dla rozesłania po całej Francyi; aby przyjść z pomocą pilnym potrzebom skarbu, odbito przeszło na sto milionów biletów państwowych. Rozruchy w Paryżu nie tylko nie drażniły dworu, ale przeciwnie dogadzały jego widokom. Do ostatniej chwili traktował je jako zaburzenie przejściowe, łatwe do poskromienia; nie wierzył ani w jego trwałość, ani w powodzenie i nie uważał za rzecz prawdopodobną, aby ludność miasta mogła oprzeć się wojsku.

Zgromadzenie wiedziało o tych wszystkich zamiarach. Od dwóch dni obradowało nieustannie wśród niepokoju

i popłochu. Nieznane mu były w znacznej części zajścia paryskie. Raz donoszono, że powstanie stało się powszechnem i że Paryż ciągnie na Wersal, to znów, że wojska wyruszają przeciwko stolicy. Każdemu się zdawało, że słyszy huk dział i przykładano uszy do ziemi, chcąc się o tem przekonać. Dnia 14 wieczorem rozpuszczono pogłoskę, że król ma w nocy wyjechać i że Zgromadzenie zostanie na łasce pułków zagranicznych. Ta ostatnia obawa nie była bez podstawy; powóz stał ciągle zaprzężony, a gwardya przyboczna od dni kilku nie przebierała się nawet. Zresztą w Oranżeryi odbywały się sceny naprawdę zatrważające: rozdawaniem wina i zachętą przysposabiano wojsko cudzoziemskie do wyprawy. Wszystko kazało przypuszczać, że chwila stanowcza nadeszła.

Mimo zbliżającego się i wzmagającego niebezpieczeństwa, Zgromadzenie pozostawało niewzruszone i nie odstępowało od swych pierwszych postanowień. Mirabeau, który pierwszy zażądał oddalenia wojsk, nakłonił do wysłania nowej deputacyi. Zaledwie wyruszyła, gdy przybyły z Paryża poseł, wice-hrabia de Noailles, oznajmił Zgromadzeniu o postępach, jakie uczyniło powstanie, o zrabowaniu Inwalidów, o uzbrojeniu się ludu i oblężeniu Bastylli. Inny poseł, Wimpfen, dodał do tej wieści opowiadanie o osobistych niebezpieczeństwach, które mu groziły i zapewnił, że zajadłość ludu wzrasta wraz ze wzmagającą się dlań grozą. Zgromadzenie postanowiło zaprowadzić gońców, aby otrzymywać co pół godziny świeże wiadomości.

Tymczasem dwaj wyborcy, Ganilh i Bancal des Issarts, wysłani przez komitet z Ratusza do Zgromadzenia, potwierdzili wszystkie te wiadomości. Oznajmili mu o powziętych przez wyborców postanowieniach, mających na celu utrzymanie porządku i obronę stolicy, o nieszczęściach u stóp Bastylli, o bezużyteczności układów z gubernatorem, dodając nadto, że ogień karabinowy załogi usłał trupami okolice twierdzy. Po tem opowiadaniu okrzyk zgromadzenia podniósł się w Zgromadzeniu, które wysłało natychmiast do króla drugą deputacyę, mającą mu ponieść te bolesne nowi-

ny. Pierwsza tymczasem powróciła z odpowiedzią wcale niepomysłną. Była godzina dziesiąta wieczorem. Król, dowiedziawszy się o tych okropnych wypadkach, zapowiadających ważniejsze jeszcze, zdawał się być wzruszonym. Walczył z postanowieniem, które mu narzucano. „Opowiadaniem swem o nieszczęściach Paryża rozdzieracie coraz bardziej moje serce — rzekł do posłów. Niepodobna uwierzyć temu, aby rozkazy wydane wojsku stały się ich przyczyną. Znacnie odpowiedź, daną przeze mnie waszej poprzedniej deputacyi; nie mam nic więcej do dodania.“ Odpowiedź ta zawierała obietnicę cofnięcia z pod Paryża wojsk znajdujących się na Polu Marsowem, oraz rozkaz wydany generałom, aby objęli dowództwo nad strażą mieszczańską. Podobne środki nie były wystarczające na zaradzenie groźnemu położeniu, w jakim się znajdowano; to też Zgromadzenie nie zostało ani zadowolone, ani uspokojone.

Wkrótce potem posłowie d'Ormesson i Dupont przybyli zawiadomić Zgromadzenie o wzięciu Bastylli, o śmierci de Flessellesa i Delaunaya. Chciano wysłać trzecią deputację do króla i ponownie żądać oddalenia wojska. „Nie — rzekł Clermont-Tonnere — zostawmy im noc do namysłu; potrzeba, aby królowie, zarówno jak i inni ludzie nabywali doświadczenia.“ W takim to stanie Zgromadzenie przebyło noc. Rano nowi wysłańcy udać się mieli do Ludwika XVI, aby mu przedstawić, co za klęski sprowadzić może dalsza odmowa. Wtedy to Mirabeau, zatrzymując ich na wyjeździe, zawołał: „Powiedzcie mu, powiedzcie, że hordy cudzoziomskie, któremi jesteśmy osaczeni, przyjmowały wczoraj odwiedziny książąt, księżniczek, ulubieńców i ulubienic, ich pieśszoty, napomnienia i podarki; powiedzcie mu, że przez noc całą ci obcy poplecznicy, opchani winem i złotem, przepowiadali w swych piosnkach bluźnierczych ujarzmienie Francyi; że ich życzenia brutalne domagały się za głady Zgromadzenia narodowego; powiedzcie mu, że w jego własnym pałacu dworacy mieszały swe tańce z dźwiękami tej muzyki nieludzkiej i że takim był przedwstęp do nocy św. Bartłomieja; powiedzcie mu, że ten Henryk, którego

pamięć świat błogosławi, ten z jego przodków, którego on za wzór chciał sobie stawić, przepuszczał żywność zbuntowanemu Paryżowi, który sam osobiście oblegał, oraz że dziś okrutni jego doradcy zwracają z drogi mąkę, którą handlarze przywożą wiernemu a zgłodniałemu Paryżowi.“

Ale w tej właśnie chwili król udawał się do Zgromadzenia. Książę de Liancourt, korzystając z przystępu, jaki mu do niego dawał urząd wielkiego szatnego, zawiadomił go w nocy o odstępstwie gwardyi francuskiej, o napadzie na Bastyllę i o zdobyciu jej. Wysłuchawszy tych wiadomości, które doradcy skrywali przed nim, monarcha zdumiony zawołał: „Ależ to bunt! (*revolte*).“ „Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział książę de Liancourt — to rewolucya! (*revolution*).“ Ten zacny obywatel przedstawił królowi całe niebezpieczeństwo, na jakie narażały go zamiary jego dworu, obawy i rozjątrzenie ludu, złe usposobienie wojska, a następnie nakłonił go, aby się udał osobiście do Zgromadzenia i uspokoił je co do swoich zamysłów. Więść ta wywołała naprzód objawy radości. Lecz Mirabeau wytłomaczył swoim towarzyszym, że nie należy cieszyć się przedwcześnie. „Czekajmy — rzekł on — aż Jego Królewska Mość sam nas upewni o swem dobrem usposobieniu, które nam w jego imieniu zapowiadają. Krew naszych braci płynie w Paryżu. Jako przedstawiciele nieszczęśliwego ludu, powinniśmy na wstępie poważnym smutkiem powitać jego monarchę: milczenie narodów jest nauką dla królów.“ I Zgromadzenie przybrało tę ponurą postawę, której od trzech dni nie porzucało. Król ukazał się bez straży i bez innego otoczenia, prócz swych braci. Przyjęto go naprzód głębokiem milczeniem; dopiero gdy powiedział, że „stanowi jedność z narodem,“ że licząc na miłość i wierność swych poddanych, wydał wojskom rozkaz oddalenia się z Paryża i Wersalu; gdy usłyszano z ust jego te rzewne słowa „A więc teraz ja się powierzam wam!“ — zabrzmiały ogólne oklaski; całe Zgromadzenie jednym mimowolnym ruchem powstało i odprowadziło króla do zamku.

Wiadomość o tem przepelnila uciechą Wersal i Paryż, gdzie ludność uspokojena przerzuciła się nagle z niechęci do wdzięczności. Ludwik XVI, powrócony sam sobie, czuł, jak wiele zależało na tem, aby osobiście uciszył stolicę, odzyskał jej przywiązanie i pojednał się z potęgą ludową. Kazał oznajmić Zgromadzeniu, że przyzywa napowrót Neckera i że ma zamiar udać się nazajutrz do Paryża. Zgromadzenie wybrało deputacyę, złożoną ze stu członków, która poprzedziła króla do stolicy. Przyjęto ją z zapalem. Bailly i Lafayette, należący do jej składu, zostali zamianowani — jeden merem Paryża, a drugi dowódcą gwardyi mieszczańskiej. Zawdzięczali oni swe odznaczenie popularności, jaką Bailly zjednał sobie długiem i mozolnem piastowaniem urzędu prezesa Zgromadzenia, a Lafayette — chwalebne i patryotyczne postępowaniem. Przyjaciel Washingtona, oraz jeden z twórców niepodległości amerykańskiej, po powrocie do ojczyzny pierwszy wyrzekł imię Stanów generalnych, przystąpił do Zgromadzenia z mniejszością szlachty i odtąd pozostał jednym z najgorliwszych stronników Rewolucyi.

Oi dwaj nowi urzędnicy wyruszyli dnia 27 na czele municypalności i straży paryskiej na spotkanie króla. „Najjaśniejszy Panie — rzekł do niego Bailly — przynoszę Waszej Królewskiej Mości klucze od Waszego poczciwego miasta Paryża: są to te same, które wręczono Henrykowi IV; on odzyskał swój lud, a dziś lud odzyskuje swojego króla.“ Od placu Ludwika XV aż do Ratusza król posuwał się między szeregami gwardyi narodowej, ustawionej w trzy lub cztery rzędy i uzbrojonej w strzelby, piki, lance, kosy, a nawet kije. Na twarzach odbijała się jeszcze jakaś ponurość i słyhać było tylko często powtarzany okrzyk: „Niech żyje naród!“ Lecz skoro Ludwik XVI wysiadł z powozu, kiedy wziął z rąk Baillego trójkolorową kokardę i bez straży, otoczony tłumem, wszedł z ufnością do Ratusza, oklaski i wołania: „Niech żyje król!“ dały się słyszeć zewsząd. Pojednanie było zupełne—Ludwik XVI otrzymywał dowody miłości. Zatwierdziwszy nowomianowanych urzę-

dników i pochwaliwszy wybór ludu, odjechał do Wersalu, gdzie go oczekiwano w niepokoju, z powodu poprzednich rozterek. Zgromadzenie narodowe powitało go w alei Paryskiej i towarzyszyło mu do samego zamku, gdzie królowa wyszedszy z dziećmi, rzuciła się w jego objęcia.

Ministrowie przeciwni Rewolucyi, a również i twórcy zamysłów, które chybiły, opuścili dwór. Hr. d'Artois i jego obaj synowie, książę de Condé, książę de Conti, rodzina Polignac z licznem otoczeniem wydalili się całkiem z Francyi. Osiedli wszyscy w Turynie, gdzie z hrabią d'Artois i księciem de Condé połączył się wkrótce Calonne, który został ich agentem. Taki był początek pierwszej emigracyi. Książęta wychodźcy niedługo wywołali wojnę domową w królestwie i związek europejski przeciwko Francyi.

Necker powrócił w tryumfie. Była to najpiękniejsza chwila jego życia i mało jest ludzi, którzy mieli podobną. Minister narodu, który wpadł w niełaskę za niego i przywołany został dla niego, podczas całej swej podróży z Bazylei do Paryża odbierał dowody wdzięczności i powszechnego upojenia. Jego wjazd do Paryża był uroczystością. Ale też ten dzień, który był dlań szczytem popularności, stał się niemal jej końcem. Tłum ciągle rozjątrzony przeciw tym, co wzięli udział w projektach z dnia 14 lipca, ze straszliwą wściekłością, której nie zdołano niczem powstrzymać, zamordował Foulona, mianowanego ministrem i jego siostrzeńca Berthiera. Oburzony temi zabójstwami, obawiając się, aby i inni nie padli ich ofiarą a chcąc przedewszystkiem ocalić również uwięzionego barona de Besenval, dowódcę wojsk paryskich pod marszałkiem de Broglie, Necker prosił o ogólne ulaskawienie i otrzymał je od zgromadzenia wyborców. Ten krok wspaniałomyślny był nieopatrzny w chwili nieufności i podniecenia; Necker nie znał ludu, nie wiedział, z jaką łatwością podejrzywa on swoich przywódców i obala swoje bożyszcza. Lud ten sądził, że chcą zasłonić jego wrogów przed zasłużoną karą; zebrały się okręgi, uznano za nieprawomocne ulaskawienie wydane przez Zgromadzenie, wcale do tego nieupoważnione i wyborcy

sami odwołali je. Zapewne, należało doradzać ludowi spokój i nawoływać go do miłosierdzia; ale najślusniej było zamiast uwolnienia oskarżonych, zażądać jakiegoś trybunału, któryby ich osłonił przed morderczym sądem motłochu. W pewnych wypadkach to, co jest najbardziej ludzkim, może właśnie nie wydawać się takim. Necker, nie uzyskawszy nic, rozparzył przeciwko sobie lud, a przeciw wyborcom — okręgi; odtąd zaczął walczyć z tą Rewolucją, którą miał nadzieję opanować, dlatego, że na króciutko stał się jej bohaterem. Ale jednostka wobec rewolucyi, wstrząsającej masami ludzi, jest drobiną; ruch unosi ją lub porzuca; musi ona albo iść naprzód, albo uleść. Nigdy jaśniej nie uwidoczniła się zależność ludzi od rzeczy: rewolucye używają wielu przywódców, lecz jeśli się oddają, to tylko jednemu.

Następstwa 14 lipca były niezmierzone. Ruch paryski udzielił się prowincjom; lud, naśladując mieszkańców stolicy, organizował wszędzie rady miejskie, aby nim rządziły, oraz strażę narodowe, aby go broniły. Zarówno władza, jak i siła zmieniły swe miejsce; król stracił je przez swe porażki, a naród je zdobył. Tylko nowe urzędy były potężne i słuchane; dawne stały się przedmiotem nieufności. Po miastach buntowano się przeciwko nim, jako też i przeciw uprzywilejowanym, których nie bez słusności posądzono o niechęć dla zmian dokonanych. Po wsiach palono zamki i chłopci rzucali w ogień dokumenty swych panów. Rzadko się zdarza, aby w chwilach zwycięstwa nie nadużywano siły. Dla uspokojenia ludu należało znieść nadużycia, ażeby on sam uwalniając się od nich, nie pomięszał przywilejów z prawami własności. Podział na stany już zniknął; samowola była zniszczoną; towarzysząca im nierówność miała być usuniętą. Wszystko to trzeba było zrobić przed ustanowieniem nowego porządku rzeczy; tymczasem przedwstępy te stały się dziełem jednej nocy.

Zgromadzenie rozesłało do ludu odezwy, mające na celu przywrócenie spokoju. Przekształcenie Châteletu na trybunał, umocowany do sądzania spiskowców z 14 lipca,

zadawalając tłumy, przyczyniło się też do ustalenia porządku. Pozostawał jeszcze do przedsięwzięcia jeden ważniejszy środek — zniesienie przywilejów. Wieczorem d. 4 sierpnia wicehrabia de Noailles dał pierwsze do tego hasło: rzucił myśl odkupu praw feodalnych i zniesienia poddaństwa osobistego. Wniosek ten otworzył cały szereg poświęceń ze strony uprzywilejowanych: rozpoczęło się pomiędzy nimi współzawodnictwo w ofiarach i patriotyzmie. Zapal ogarnął wszystkich; w ciągu kilku godzin zatwierdzono zniesienie wszelkich nadużyć. Książę Châteletu zaprojektował wykup dziesięcin i zamienienie ich na opłatę pieniężną; biskup z Chartres — zniesienie prawa wyłącznego polowania; hrabia de Virieu — prawa do małych i wielkich gołębników. Usunięcie sądów pańskich, sprzedażności urzędów, uwolnienia od ciężarów pieniężnych, nierówności podatków, przypadkowych dochodów proboszczowskich, annat dworu rzymskiego, prawa posiadania kilku beneficjów, pensyj pobieranych bez żadnego tytułu — wszystkie te wnioski przychodziły pod obrady kolejno i były uchwalane. Po tych ofiarach, złożonych przez ludzi pojedynczych, przyszła kolej na ciała, miasta i prowincye. Zniesiono również instytucje przysięgłych korporacyj (jurandes) i godności majstrów (matrises). Poseł z Delfinatu, markiz de Blacons, zrzekł się uroczyście w imieniu prowincyi wszelkich jej przywilejów. Inne prowincye naśladowały Delfinat, a miasta poszły za ich przykładem. Odbito medal na wieczną pamiątkę dnia tego, a Zgromadzenie przyznało Ludwikowi XVI tytuł *Odnowiciela wolności francuskiej*.

Ta noc, którą jakiś nieprzyjaciel Rewolucyi nazwał nocą św. Bartłomieja dla własności, była nadewszystko nocą św. Bartłomieja dla nadużyć. Oczyszciała ona kraj z gruzów feudalizmu, wyzwoliła ludzi z resztek służalstwa, ziemię — z zależności od panów, własność włościańską — z rabunku myśliwych i zdzierstwa dziesięcin. Znosząc sądy pańskie, te resztki władzy prywatnej, wprowadziła do ustroju państwowego władze publiczne: znosząc sprzedażność urzędów, zapowiedziała sprawiedliwość bezpłatną. Noc ta

stanowiła przejście między porządkiem rzeczy, w którym wszystko należało do ludzi prywatnych, a innym, w którym wszystko miało należeć do narodu. Noc ta zmieniła postać królestwa, uczyniła wszystkich francuzów równymi sobie; wszyscy mogli dojść do urzędów, ubiegać się o własność i uprawiać przemysł. W końcu noc ta była rewolucją równie ważną, jak powstanie z 14 lipca, z którego wynikła. Uczyniła ona lud panem społeczeństwa, tak jak pierwsza uczyniła go panem rządu i pozwoliła mu budować nową konstytucję na zwaliskach dawnej.

Rewolucya miała nadzwyczaj szybki przebieg i w krótkim przeciągu czasu osiągnęła wielkie rezultaty; byłaby ona nie tak szybką i nie tak zupełną, gdyby jej nie napa-stowano. Z każdej odmowy odnosiła zwycięstwo, zniweczyła intrygi, oparła się władzy, przemogła siłę; a w okresie, do któregośmy doszli, cały gmach samowładnej monarchii runął z winy jej przywódców. Dzień 17 czerwca ujrzał zagładę trzech warstw społecznych oraz zamianę Stanów generalnych na Zgromadzenie narodowe; dzień 23 czerwca był zakończeniem wpływu moralnego władzy królewskiej; dzień 14 — kresem jej materyalnej potęgi; Zgromadzenie odziedziczyło jedną, a lud drugą; wreszcie dzień 4 sierpnia był dopełnieniem tej pierwszej Rewolucyi. Epoka, którą przebiegliśmy, różni się od innych uderzająco; podczas krótkiego jej trwania siła zmieniła swoje miejsce i wszystkie zmiany przedwstępne spełniły się. W epoce następnej obradowano nad nowym ustrojem, ustanowiono go i Zgromadzenie z burzącego stało się twórczem (constituante).

ROZDZIAŁ II.

Od nocy 4 sierpnia do dnia 5 i 6 października 1789 r.

Stan zgromadzenia konstytucyjnego (constituante). — Stronnictwo wyższego duchowieństwa i szlachty. — Maury i Cazalès. — Stronnictwo ministerjum i dwu izb: Mounier, Lally-Tollendal. — Stronnictwo ludowe: tryumwirat złożony z Barnave'a, Duporta i Lametha; jego stanowisko; wpływ Sieyèsa. — Mirabeau naczelnikiem Zgromadzenia w tej epoce. — Co należy sądzić o stronnictwie orleańskim. — Prace konstytucyjne: deklaracya praw; trwanie i jedność ciała prawodawczego; sankcya królewska; wzburzenie zewnętrzne, które spowodowała. — Zamiar dworu; ucztą gwardyi przyboecznej; powstanie dnia 5 i 6 października; król osiedla się w Paryżu.

Zgromadzenie narodowe, składające się z wyborowych pierwiastków narodu, było bardzo światłe, pełne czystych zamiarów i przejęte dbałością o dobro publiczne. Występowały w niem wszakże stronnictwa i odmiany; ale chociaż całość nie pozostawała pod władzą ani jakiejś idei, ani pojedynczego człowieka, ono według zawsze swobodnego a często naturalnie wypływającego przekonania rozstrzygało spory i stanowiło o popularności. Poniżej wykazemy, jakie zachodziły wśród niego różnice poglądów i interesów.

Dwór w Zgromadzeniu miał swoje stronnictwo, partycję uprzywilejowanych, która milcząc przez czas jakiś, wzięła spóźniony udział w obradach. Stronnictwo to składało się z tych, którzy podczas sporu Stanów oświadczyli się przeciw zjednoczeniu. Pomimo chwilowej zgody z gminami w ostatnich wypadkach, klasy arystokratyczne posiadały interesy przeciwne interesom stronnictwa narodowego.

To też szlachta i wyższe duchowieństwo, przedstawiające prawicę w Zgromadzeniu, były z niem w ustawicznej opozycji, z wyjątkiem niektórych dni uniesienia. Ci nieprzyjaciele Rewolucyi, którzy nie zdołali jej przeszkodzić za pomocą ofiar, ani zatrzymać przez połączenie się z nią, potępiali systematycznie prawie wszystkie jej reformy. Głównymi wśród nich działaczami byli dwaj ludzie, niezajmujący pierwszorzędnych stanowisk, ani z urodzenia, ani z dostojenstw, tylko odznaczających się wyższością uzdolnień. Maury i Cazalès przedstawiali poniekąd — jeden duchowieństwo, a drugi szlachtę.

Ci dwaj mówcy uprzywilejowanych, działając w zamiarach swego stronnictwa, które nie wierzyło w trwałość zmian, nie tyle się bronili, ile protestowali; w swych rozprawach usiłowali oni raczej stawiać zawady Zgromadzeniu, niż je oświecać. Każdy z nich włożył w swą rolę właściwości swego rozumu i swego charakteru: Maury miał mowy rozwlekłe, Cazalès robił żywe wycieczki. Pierwszy zatrzymywał na trybunie przyzwyczajenia kaznodziei i akademika: rozprawał o kwestyach prawodawstwa, nie zawsze je rozumiejąc, rzadko chwycił rdzeń sprawy lub istotną korzyść swego stronnictwa. Okazywał odwagę, zręczność, różnorodność środków, błyskotliwą łatwość słowa, obrotność dowcipu, ale nigdy głębokości przeświadczenia, stałości sądu oraz prawdziwej wymowy. Ksiądz Maury mówił tak jak żołnierze się biją. Nikt nie potrafił przeczyć tak często i tak długo, jak on, ani też tak zastępować słusznych rozumowań sofizmatami i cytatami, a porywów duszy krasomówczymi zwrotami. Chociaż obdarzony dużym talentem, nie posiadał tego, co talent ożywia — prawdy. Cazalès stanowiął przeciwieństwo względem księdza Maury; miał umysł bystry i prawy; jego wymowa była również łatwą, ale bardziej ożywioną; w poruszeniach jego przebijała się szczerłość, a dowody, które przytaczał, były zawsze najlepsze. Żaden retor, brał on zwykle w sprawach obchodzących jego partyę stronę słuszności, pozostawiając księdzu Maury stronę deklamatorską. Obok jasności poglądów, zapalał

w charakterze i umiejętności zużytkowywania swego talentu, człowiek ten nie posiadał nadto nic w sobie fałszywego, prócz chyba stanowiska; kiedy przeciwnie Maury do błędów swego umysłu dołączał błędy nieodłączne od jego sprawy.

Necker i ministeryum mieli również swoje stronnictwo, ale było ono mniej liczne, niż tamto, ponieważ należało do umiarkowanych. Francya dzieliła się wówczas na dawnych uprzywilejowanych, którzy się sprzeciwiali Rewolucyi i na takich, którzy podtrzymywali interesy ogólne ludu, żądając rewolucyi całkowitej. Nie było jeszcze miejsca pomiędzy nimi dla stronnictwa, któreby przyjęło na siebie rolę pośrednika. Necker stanowczo się oświadczał za konstytucyą angielską, a wszyscy, podzielający jego zdanie, bądź przez wiarę, bądź przez ambycyę, przyłączyli się do niego. W ich liczbie znajdowali się: Mounier, umysł stały, charakter nieugięty, który uważał ten system jako typ rządów reprezentacyjnych; Lally-Tollendal, również jak on przekonany, a bardziej przekonujący; Clermont-Tonnerre, przyjaciel i towarzysz ich obu; nareszcie mniejszość szlachty i część biskupów, którzy mieli nadzieję zostać członkami Izby wyższej, gdyby idee Neckera zostały przyjęte.

Przywódcy tego stronnictwa, przezwanego następnie stronnictwem *monarchistów* (*monarchiens*), chcieliby byli zrobić rewolucyę przez porozumienie się i wprowadzić do Francyi rząd reprezentacyjny całkiem gotowy, to jest angielski. W każdej epoce zwracali się oni do mocniejszych z prośbą, aby się układali ze słabszymi. Przed 14 lipca żądali, żeby dwór i klasy uprzywilejowane zadość uczyniły gminom; potem znów chcieli, żeby gminy przyjęły poddanie się dworowi i klas uprzywilejowanych. Mniemali oni, że należało każdemu zachować jego działalność w państwie, że stronnictwa nie na swoim miejscu będące są to stronnictwa niezadowolone i że trzeba im stworzyć byt legalny pod groźbą narażenia się na nieskończone walki z ich strony. Nie dostrzegali wszakże niemożności swych idei w chwili wyjątkowego roznamiętnienia. Walka była rozpoczęta, wal-

ka, która miała zapewnić tryumf systemowi, a nie prowadzić układy. Zwycięztwo to zamieniło trzy stany w jedno zgromadzenie i niełatwą było rzeczą rozerwać jedność tego zgromadzenia i następnie dojść do rządu o dwu izbach. Umiarkowani nie mogli otrzymać takiego rządu od dworu; nie otrzymali go również od narodu: pierwszemu wydawał się zanadto ludowym, dla drugiego był zanadto arystokratycznym.

Reszta Zgromadzenia tworzyła stronnictwo narodowe. Nie dostrzegano w niem jeszcze ludzi takich, jak Robespierre, Petion, Buzot itd., którzy później chcieli rozpocząć drugą rewolucję, gdy pierwsza była już skończoną. W tym czasie do najbardziej krańcowych należeli: Dupont, Barnave i Lameth, składający tryumwirat, którego opinie przygotowywał pierwszy, a podtrzymywał drugi i którego postępowaniem kierował trzeci. Było coś dziwnego i ujawniającego ducha równości tego okresu w owym serdecznem połączeniu adwokata, należącego do klasy średniej, radcy, należącego do parlamentu i pułkownika, należącego do dworu, którzy zrzekli się interesów swojego stanu dla sprzymierzenia się w interesie dobra publicznego i popularności. Stronnictwo to zajęło odrazu stanowisko o wiele dalej naprzód posunięte od tego, do którego dotarła Rewolucya. Dzień 14 lipca był tryumfem klasy średniej: konstytuanta była — jej zgromadzeniem; straż narodowa — jej siłą zbrojną; merowstwo — jej władzą ludową. Mirabeau, Lafayette, Bailly oparli się na tej klasie i zostali — jeden trybunem, drugi generałem, a trzeci urzędnikiem. Stronnictwo Duporta, Barnave'go i Lametha miało zasady i podtrzymywało interesy tej epoki rewolucyjnej; ale złożone z ludzi młodych, zagorzałych patriotów, którzy wnosili do spraw publicznych dużo wyższych przymiotów, piękne talenty, wydatne stanowiska i u których żądza wolności łączyła się z chęcią odegrania pierwszorzędnej roli — stronnictwo to prześcignęło nieco zaraz w początkach Rewolucję z dnia 14 lipca. Znalazło ono punkt oparcia wśród członków krańcowej lewicy Zgromadzenia, po za jego obrębem — w klubach, a w narodzie

pośród tej partji, która brała udział w wypadkach 14 lipca i która nie życzyła sobie, aby samo mieszczaństwo odniosło korzyść ze zwycięstwa. Stojąc na czele tych, którzy nie mieli przywódców i którzy znajdując się po za granicami rządu, pragnęli doń wejść, niemniej należało ono ciągle do tego pierwszego okresu Rewolucji. Tylko wytworzyło rodzaj opozycji demokratycznej w klasie średniej, różniąc się od jej przywódców w punktach małej wagi, a głosując z nimi w większej części spraw. Pomiędzy tymi ludźmi popularnymi istniało raczej współzawodnictwo patriotyczne, niż rozdwojenie stronnictwa.

Dupont, posiadający tęgą głowę i umiejętność kierowania namiętnościami politycznymi, przedwcześnie nabytą podczas walk, staczanych pomiędzy parlamentem a ministerjum, któremi w części on sam dyrygował, wiedział, że lud, raz zdobywszy swe prawa, wypoczywa, oraz że wypoczywając, słabnie. Aby utrzymać w ciągłym ruchu zarządzających Zgromadzeniem, merowstwem i milicją, aby zapobiedz zwolnieniu działalności publicznej i aby utrzymać w pogotowiu lud, który mógł być kiedyś znów potrzebnym, Dupont wymyślił i wprowadził sławne stowarzyszenie klubów. Instytucja ta, jak wszystko, cokolwiek budzi wielkie ożywienie w narodzie, miała swoje złe i dobre strony. Krępowała ona władzę legalną, skoro ta okazała się wystarczającą; ale również nadawała olbrzymią siłę Rewolucji, gdy ta zewsząd zagrożona mogła uratować się tylko za pomocą najgwałtowniejszych środków. Zresztą założyciele tego stowarzyszenia nie obliczyli wszystkich jego następstw. Według nich miało ono być po prostu systemem kół, mającym podtrzymywać i bez niebezpieczeństwa wzmacniać ruch maszyny publicznej, jeśliby chciała swój bieg zwolnić, albo też stanąć; nie myśleli oni wcale pracować na korzyść społeczeństwa. Po ucieczce Varennesa opuścili oni stronnictwo krańcowo-ludowe, które stało się zbyt groźnym i zbyt wymagającym, oparli się przeciw niemu na masie Zgromadzenia i na klasie średniej, mającej opróżnione kierownictwo przez śmierć Mirabeau. W tym czasie zależało im bardzo

na tem, aby szybko ugruntować rewolucyę konstytucyjną; przewlekanie jej bowiem prowadziło do rewolucyi republikańskiej.

Całość Zgromadzenia, o czem już wspominaliśmy, obfitowała w umysły sprawiedliwe, wyćwiczone, a nawet wyższe. Przywódcami jego byli dwaj ludzie, całkiem obcy stanowi trzeciemu, tylko przezeń przybrani. Bez księdza Sieyès Zgromadzenie konstytucyjne nie byłoby może doszło do takiej zgodności działania, a bez Mirabeau — do takiej energii w postępowaniu.

Sieyès należał do tego rodzaju ludzi, którzy w wiekach uniesień tworzą sekty, a w wiekach światła wywierają wpływ potęgą rozumu. Samotność i prace filozoficzne uczyniły go wcześniej dojrzałym; idee jego były nowe, pełne siły, tylko trochę zanadto systematyczne. Społeczeństwo stanowiło główny przedmiot jego badań, śledził za jego biegiem, rozbiierał jego środki; zdawało mu się, że natura rządu nie tyle stanowi kwestyę prawa, ile kwestyę epoki. W jego prawidłowym umyśle społeczeństwo współczesne przedstawiało się uporządkowanem z podziałami, stosunkami, władzami i ruchem. Chociaż chłodny, Sieyès posiadał ten zapał, jaki wywołuje poszukiwanie prawdy, oraz tę namiętność, jaką budzi przeswiadczenie o jej odkryciu; to też idee swoje uważał za bezwzględne, gardząc cudzemi, gdyż znajdował w nich niedokładności, a w jego oczach każda prawda połowiczna była błędem. Opór drażnił go; udzielał się mało; pragnął dać się poznać całkowicie, a nie mógł tego zrobić każdemu. Zwolennicy jego głosili innym jego systemy, co go otaczało tajemniczością i czyniło przedmiotem pewnej czci. Miał on powagę, którą nadaje gruntowna znajomość polityki; konstytucya mogłaby wyjść z jego głowy uzbrojona jak Minerwa Jowisza, lub jak prawodawstwo starożytnych, gdyby nie to, że w owych czasach każdy chciał w niej uczestniczyć lub o niej sądzić. Jednakże, z małemi zmianami, plany jego zostały ogólnie przyjęte i w komitetach posiadał więcej uczniów, niż współpracowników.

Mirabeau pozyskał tę samą przewagę na trybunie, co Sicyès w komitetach. Był to człowiek, który potrzebował tylko sposobności, ażeby zostać wielkim. W Rzymie, za rozkwitu rzeczypospolitej, stałby się jednym z Grachów, na jej schyłku — Katyliną, podczas Frondy — kardynałem de Retz, w okresie zgrzybiałej monarchii, gdzie człowiek jego rodzaju nie mógł spożytkować inaczej swych ogromnych zdolności, tylko w zaburzeniu, musiał odznaczyć się gwałtownością namiętności, rzutami władzy, życiem strawionem na szerzeniu zamętu i na cierpieniach w nim. Taka nadmierna ruchliwość potrzebowała koniecznie zatrudnienia; dostarczyła go rewolucya. Przyzwyczajony do walki z despotyzmem, rozjątrzony pogardą szlachty, wyrzucającej mu odstępstwo i odtrącającej go od swego łona; zręczny, odważny, wymowny, Mirabeau czuł, że rewolucya stanie się jego dziełem i jego życiem. Odpowiadał on głównym potrzebom swojej epoki; posiadał myśli, głos, czynność trybuna. W wypadkach niebezpieczeństwa zapalem opanowywał Zgromadzenie; najzawilsze spory umiał przecinać, jednym wyrazem poskramiał ambicje, zażognywał waśnie, rozbrajał współzawodnictwa. Potężny ten śmiertelnik, swobodny wśród wzburzenia, to popędliwy, to znów igrający poufale z siłą, posiadał w Zgromadzeniu rodzaj zwierzchnictwa. Bardzo szybko zdobył ogromną popularność, którą zachował aż do końca; i ten, od którego odwracały się spojrzienia wszystkich, gdy wchodził do Stanów, po śmierci odprowadzony został do Panteonu wśród żałoby Zgromadzenia i Francyi. Bez rewolucyi Mirabeau byłby chybił swego przeznaczenia, bo nie dość być wielkim człowiekiem, trzeba pojawić się w porę.

Książę Orleański, którego postawiono na czele stronnictwa, miał bardzo mały wpływ w Zgromadzeniu; nie większość z nim, ale on głosował z większością. Przywiązanie osobiste niektórych członków, jego imię, obawa dworu, popularność, jaką wynagradzano jego przekonania, nadzieje, daleko więcej niż spiski dały mu rozgłos buntownika. Nie posiadał on ani przymiotów, ani też nawet wad

spiskowca; może wspierał pieniędzmi i imieniem rozruchy ludowe, które byłyby i bez tego wybuchły i które miały na celu co innego, niż jego wyniesienie. Ogólnym błędem jest przypisywanie największej z rewolucyj drobnym knowaniom, jak gdyby w podobnych czasach cały lud mógł służyć za narzędzie jednostce!

Zgromadzenie stało się wszechmocnem: municypalność zależała od niego, gwardya narodowa była mu posłuszną. Aby ulżyć i podolać swym pracom, podzieliło się ono na komitety. Władza królewska, chociaż istniejąca prawnie, była poniekąd zawieszoną, nikt jej bowiem nie słuchał, i Zgromadzenie musiało jej działanie zastąpić własnem. To też niezależnie od komitetów, obarczonych robotami przygotowawczemi, naznaczyło jeszcze inne, które rozciągały baczną uwagę nazewnątrż. Komitet spożywczy zajmował się dostarczaniem żywności, co było zadaniem bardzo ważnem w roku głodowym; komitet raportów (des rapports) znosił się z zarządami miejskimi i prowincjami; komitet śledczy odbierał doniesienia na spiskowców z 14 lipca. Ale głównym przedmiotem uwagi Zgromadzenia były finanse oraz konstytucya, która poszła w odwłokę skutkiem zaślých przesileń.

Zaopatrzwszy chwilowo potrzeby skarbu, Zgromadzenie, chociaż rządzące zwierzchniczo, badało z instrukcyj (cahiers) życzenia swoich mandataryuszów. Rozprawy swoje prowadziło ono z taką metodą, szerokością i swobodą, że powinno było dać Francyi konstytucyę zgodną z wymaganiami sprawiedliwości i potrzeb. Stany Zjednoczone Ameryki w chwili swej niepodległości ogłosiły świętość praw człowieka i obywatela. Od tego się zwykle rozpoczyna. Naród, wychodzący z niewoli, czuje potrzebę obwołania swych praw przed ustanowieniem rządu. Ci z francuzów, którzy brali udział w rewolucyi amerykańskiej, a obecnie uczestniczyli w swojej, proponowali wydanie podobnej odezwy, jako przedwstępu do praw. Nie podobało się to zgromadzeniu prawodawców i filozofów, nieskrępowanych żadnemi ograniczeniami, a wyznających idee podstawowe i bezwzględne,

na jakich wiek XVIII, którego oni byli uczniami, opierał społeczeństwo ludzkie. Chociaż odezwa ta zawierała jedynie zasady ogólne i poprzestawała na wyłożeniu reguł tego, co konstytucya dopiero miała rozwinąć w ustawach, podniosła ona jednak ducha obywateli kraju i dała im poczucie ich godności i znaczenia. Na wniosek Lafayette'a, Zgromadzenie rozpoczęło już tę dyskusyę, którą przerwały wypadki zaszłe w Paryżu i rozporządzenia z 4 sierpnia; podjęło ono ją i ukończyło, uświęcając zasady, które miały służyć za tablicę nowych praw, a które było niejako zajęciem w posiadanie prawa w imieniu ludzkości.

Po przyjęciu tych zasad ogólnych, Zgromadzenie zajęło się uorganizowaniem władzy prawodawczej. Przedmiot ten był jednym z najważniejszych; miał on ustalić naturę jej działań i ustanowić stosunki jej do króla. Podczas tych rozpraw Zgromadzenie zamierzyło orzec wyłącznie o przyszłym stanie władzy prawodawczej. Odnośnie zaś do niego samego, opatrzone władzą konstytucyjną (constituante), stało ono ponad własnymi postanowieniami i żadna władza pośrednia nie mogła ani zawiesić, ani przeszkodzić jego misji. Ale jaką będzie dla przyszłych posiedzeń forma ciała obradującego? Czy pozostanie ono niepodzielne, czy też rozpadnie się na dwie izby? W razie, gdyby ta ostatnia forma utrzymała się, jakiej natury ma być owa druga izba? Czy utworzyć z niej zgromadzenie arystokratyczne, czy też senat regulujący? Wreszcie jakimkolwiek byłoby ciało obradujące — czy ma być stałym lub też peryodycznym, oraz czy król dzielić z niem będzie władzę prawodawczą? Takie to trudności poruszały Zgromadzenie i Paryż podczas września.

Można łatwo zrozumieć, w jaki sposób te kwestye były rozstrzygane, jeśli rozważymy stanowisko Zgromadzenia i jego pojęcia o zwierzchnictwie. W oczach jego król był po prostu urzędnikiem dziedzicznym, do którego nie mogło należeć ani prawo zwoływania przedstawicieli narodu, ani prawo kierowania nimi, ani usuwania ich. To też odmówiło mu ono zarówno inicjatywy praw, jak i mocy rozwią-

zania Zgromadzenia. Nie sądziło, ażeby ciało prawodawcze musiało być zależnem od króla. Zresztą obawiano się, w razie gdyby rząd miał za silny wpływ na Zgromadzenie, lub w razie gdyby ono nie było nieustającym, ażeby król, korzystając z przerw, w których pozostawałby sam, nie wkroczył w obręb innych władz, a nawet nie zburzył nowego ustroju. Chciano zatem przeciwstawić władzy ciągle czynnej—zgromadzenie ciągle trwające i uchwalono ustawiczość ciała prawodawczego. Co zaś do jego niepodzielności lub rozdziału, toczyły się rozprawy bardzo ożywione. Necker, Mounier, Lally-Tollendal żądali, ażeby oprócz Izby posłów istniał i senat, którego członkowie byłiby mianowani przez króla na przedstawienie narodu. Sądziło oni, że był to jedyny sposób miarkowania potęgi, a nawet zapobiegania tyranii jednego zgromadzenia. Stronnikami ich byli ci z członków, którzy podzielali te idee, lub też może mieli nadzieję należeć do składu Izby wyższej. Większość szlachty zamiast parostwa wolałaby zgromadzenie arystokratyczne, którego członków wybierałaby sama. Porozumienie było niemożliwem; stronnictwo Mouniera odrzucało projekt, mający na celu wskrzeszenie stanów, a arystokracja odtrącała senat, który miał stwierdzić ruinę szlachty. Większość deputowanych z łona duchowieństwa i gmin była za jednym Zgromadzeniem. Stronnictwu ludowemu zdawało się nielegalnem ustanawianie prawodawców dożywotnich: sądziło ono, że Izba wyższa służyłaby za narzędzie dworowi i arystokracji, więc stałaby się wtedy niebezpieczną, a po przyłączeniu się do gmin — bezużyteczną. Tym sposobem stronnictwo szlacheckie przez niezadowolenie, stronnictwo narodowe przez poczucie bezwzględnej sprawiedliwości, odrzuciły zarówno Izbę wyższą.

To postanowienie Zgromadzenia było przedmiotem wielu zarzutów. Stronnicy parostwa przypisywali jego brakowi wszystkie klęski Rewolucyi, jak gdyby jakiegokolwiek bądź ciało mogło być powstrzymać jej bieg! Nie od konstytucyi otrzymała ona swój charakter, lecz od wypadków spowodowanych walką stronnictw. Cóż miała robić Izba

wyższa pomiędzy dworem i narodem? Oświadczywszy się za pierwszym, nie byłaby nim ani pokierowała, ani go zba-wiła; oświadczywszy się za drugim, nie byłaby go wzmo-cniła, a w obu razach zniesienie jej stawało się nieuniknio-nem. W takich czasach postępuje się szybko i wszelki ha-mulec jest zbyt cennym. W Anglii Izba lordów, jakkolwiek okazała się bardzo powolną, została zawieszoną podczas przełomu rewolucyjnego. Każdy z tych rozmaitych syste-mów ma swą epokę: rewolucye poczynają się z jedną Izłą, a kończą się przy dwu.

Sankeya królewska wywołała żywe rozprawy w Zgro-madzeniu i gwałtowną wrzawę po za niem. Chodziło o okre-slenie czynności monarchy w stanowieniu praw. Deputowa-ni prawie wszyscy godzili się co do jednego punktu: byli gotowi przyznać mu prawo zatwierdzania lub odrzucania ustaw; ale jedni chcieli, aby to prawo było nieograniczone, drudzy zaś, ażeby było czasowe. W gruncie rzeczy wycho-dziło to na jedno, gdyż monarcha nie mógł przewlekać swej odmowy do nieskończoności, a *veto*, jakkolwiek bezwzględne, byłoby tylko odraczającym. Ale nadana jednemu czło-wiekowi ta moc wstrzymywania woli ludu wydawała się czemś nadmiernem, zwłaszcza po za obrębem Zgromadze-nia, gdzie mniej dobrze ją rozumiano.

Paryż nie przyszedł jeszcze do siebie po wstrząśnieniu 14 lipca; był on w zaraniu rządu ludowego i poczynął od-czuwać jego swobodę i nieład. Zgromadzenie wyborców, które w ciężkich wypadkach zajmowało miejsce municy-palności tymczasowej, zostało zastąpionem. Stu osiemdzie-sięciu członków, mianowanych przez okręgi, ukonstytuowa-ło się w prawodawców i przedstawicieli gminy. Podczas kiedy oni opracowywali plan urzędnictwa municypalności, każdy chciał rozkazywać, gdyż we Francyi miłość swobody jest po części upodobaniem we władzy. Komitety działały po za merem; zgromadzenie przedstawicieli powstawało przeciw komitetom, a okręgi przeciw zgromadzeniu przed-stawicieli. Każdy z sześćdziesięciu okręgów przyznawał so-bie władzę prawodawczą i nadawał moc wykonawczą swym

komitetem; wszystkie one uważały za swych podwładnych członków Zgromadzenia generalnego i poczuwały się do prawa znoszenia jego postanowień. Ta idea zwierzchności pełnomocodawcy (mandanta) nad pełnomocnikiem (delegatem) robiła szybkie postępy. Wszyscy ci, którzy nie uczestniczyli we władzy, łączyli się w zgromadzenia i tam obradowali. Żołnierze rozprawiali w Oratoryum (l'Oratoire), czeladnicy krawieccy w Kolumnadzie (la Colonnade), perukarze—na Polach Elizejskich, służący—w Luwrze. Głównie jednak w ogrodzie Palais-Royal toczyły się najbardziej ożywione rozprawy; rozbierano tam przedmioty, nad którymi dyskutowało Zgromadzenie narodowe i kontrolowano jego obrady. Głód dawał również powód do zbiegowisk, które nie należały do bezpiecznych.

Taki był stan Paryża, kiedy rozpoczęły się rozprawy nad *veto*. Przyznanie tego prawa królowi budziło nadzwyczajną obawę; zdawało się, że los wolności jest związany z tem postanowieniem i że samo to *veto* przywróciłoby dawny porządek. Tłum; nieznający ani natury, ani granic władzy, chciał, żeby Zgromadzenie, w którym swą ufność położył, było wszystkim, a król, któremu nie dowierzało — niczem. Każdy środek, pozostawiony w rękach dworu, wydawał się przeciwwolucyjnym. Palais-Royal wzburzył się; rozpisano listy wygrażające do członków Zgromadzenia, którzy, jak Mounier, oświadczyli się za *veto* bezwzględne; mówiono o odebraniu im przedstawicielstwa, jako wiarołomcom i o pochodzie na Wersal. Palais-Royal wysłał poselstwo do zgromadzenia gminy i żądał od niej ogłoszenia deputowanych za odwołalnych i uczynienia ich zależnymi w każdym czasie od wyborców. Gmina okazała się stałą, odrzuciła żądanie Palais-Royalu i przedsięwzięła kroki zapobiegające zbiegowiskom. Gwardya narodowa poparła ją; była ona bardzo dobrze usposobiona; Lafayette pozyskał jej zaufanie, zaczęła się ona organizować, nosiła mundury, nawykła do karności, której przykład dawała jej gwardya francuska i uczyła się od swego wodza zamilowania porządku i poszanowania dla prawa. Ale tworząca ją

klasa średnia nie zawładnęła jeszcze wyłącznie rządem narodowym. Pospólstwo, zaciągnięte w szranki dnia 14 lipca, nie było dotąd z niej usunięte. Wrzenie zewnętrzne spowodowało burzliwe rozprawy nad *veto*; ta całkiem prosta kwestya nabrała przez to wielkiego znaczenia, a ministerjum widząc, jak zgubnym mógłby być skutek postanowienia bezwzględne i czując zresztą, że faktycznie *veto neo-graniczone* i *veto wstrzymujące* (*suspensif*), wychodziły na jedno, skłoniło króla do poprzestania na tem ostatniem i odstąpienia od pierwszego. Zgromadzenie orzekło, że odmowa sankcyi monarszej nie powinna być się przedłużać nad dwa posiedzenia prawodawcze i uchwałą tą zadowolilo wszystkich.

Dwór skorzystał z zaburzenia w Paryżu, aby przeprowadzić inne projekty. Od niejakiego czasu oddziaływano na umysł króla. Z początku odmówił on zatwierdzenia uchwał z dnia 4 sierpnia, chociaż były konstytucyjne i chociaż pozostawało mu tylko je ogłosić. Przyjąwszy je wskutek nalegań Zgromadzenia, ponowił też same trudności co do deklaracyi praw. Celem dworu było wykazać, że Ludwik XVI jest uciśniony przez Zgromadzenie i zniewolony do poddania się środkom, których przyjąć nie chciał; niecierpliwie znosił on swoje położenie i pragnął odzyskać dawną swą władzę. Ucieczka była jedynem wyjściem, należało ją tylko usprawiedliwić, a niepodobna było niczego dokonać wobec Zgromadzenia i w sąsiedztwie Paryża. Władza królewska upadła 23 czerwca, a siła wojskowa — 14 lipca; pozostawała już tylko jedynie wojna domowa. Ponieważ trudnem było nakłonić do niej króla, wyczekiwano ostatniej chwili, aby go namówić do ucieczki, ale chwytliwość jego udaremniała ten plan. Zamierzono usunąć się do Metz, do margrabiego de Bouillé wpośród jego armii i tam ściągnąć do monarchy szlachtę, oddziały wojska, które pozostały jeszcze wierne, parlamenty; ogłosić Zgromadzenie i Paryż buntownikami, nakłonić lub zmusić je do posłuszeństwa, a w razie, jeśliby się nie udało przywrócić dawnego absolutyzmu, ograniczyć się przynajmniej na deklaracyi z d. 23

czerwca. Z drugiej znów strony, o ile interesem dworu było oddać króla z Wersalu, dlatego, aby mógł cośkolwiek przedsięwziąć, o tyle interesem stronników Rewolucyi było sprowadzić go do Paryża; partya orleańska, o ile jakaś istniała, musiała, zastraszając króla, popychać go do ucieczki, w tej nadziei, że Zgromadzenie zamianowałoby jej przywódcę *głównym wodzem królestwa*; nareszcie lud, łaknący chleba, spodziewał się, że pobyt króla w Paryżu usunie lub też zmniejszy klęskę głodu. Wobec tych wszystkich przyczyn brakowało byle okazyi do powstania; dwór dostarczył jej.

Pod pozorem zabezpieczenia się przeciw rozruchom Paryża, powołał wojska do Wersalu, podwoił gwardyę przyboczną, sprowadził dragonów i pułk flandryjski. Ta siła zbrojna dała powód do wielkiego niepokoju: rozpuszczono wieść o zamachu stanu przeciwrewolucyjnym i zapowiedziano rychłą ucieczkę króla oraz rozwiązanie Zgromadzenia. W Luksemburgu, w Palais-Royalu, na Polach Elizejskich spostrzeżono nieznane mundury, czarne i żółte kokardy; nieprzyjaciele Rewolucyi okazywali radość, niewidzianą wśród nich od niejakiego czasu. Dwór swem postanowieniem stwierdził podejrzenia i odsłonił cel tych wszystkich przygotowań.

Oficerów pułku flandryjskiego, przyjętych podejrzliwie przez Wersal, ugoszczono w zamku, a nawet przypuszczono do zabaw u królowej. Chciano zapewnić się o ich poświęceniu; na ich cześć gwardya królewska wydała ucztę wojskową. Oficerowie dragonów i strzelców, znajdujących się w Wersalu, jako też oficerowie gwardyi szwajcarskiej, stu-szwajcarów (*des cent-suisse*), *prewoty* (*de la prévôté*) i sztab główny gwardyi narodowej zostali na nią zaproszeni. Na miejsce dla bankietu wybrano wielką salę widowisk, wyłącznie przeznaczoną na największe uroczystości dworskie, a która od zaślubin drugiego brata królewskiego otwartą tylko była dla cesarza Józefa II. Muzyka królewska otrzymała rozkaz wzięcia udziału w tej zabawie, pierwszej, jaką wydali gwardziści. Podczas uczytby wniesiono z zapalem toast na cześć rodziny królewskiej, na cześć zaś

narodu opuszczono, czy też odrzucono. Przy drugim daniu wprowadzono grenadyerów flandryjskich, szwajcarów i dragonów, aby mogli być świadkami tego widowiska i podzielić uczucia ożywiające biesiadników. Uniesienie wzrastało z każdą chwilą. Nagle oznajmiają przybycie króla, który wchodzi do sali w myśliwskim ubraniu, a za nim królowa z delfinem na ręku. Zabrzmiały okrzyki miłości i poświęcenia, z obnażonymi szpadami w dłoni wypito zdrowie rodziny królewskiej, a w chwili oddalenia się Ludwika XVI muzyka gra pieśń: „O Ryszardzie! o mój królu, świat cię opuszczał..“ Scena przybiera wówczas charakter wymowny: marsz ulanów i wino rozlane obficie przyczyniają się do zerwania wszelkiej etykiety. Trąbią pobudkę: chwiejący się biesiadnicy wdzierają się do łóż, jakby szli do szturm; rozdano białe kokardy; trójkolorową zaś, jak mówią, podeptało nogami. Cała ta gromada rozsypuje się następnie po galeriach zamku, a damy dworu obdarzają wszystkich powinnowaniami i przybierają we wstęgi i kokardy.

Taką była ta sławna uczta, wydana 1 października, którą nadto niebaczny dwór powtórzył i 3-go. Niepodobna nie ubolewać nad jego nieprzezornością; nie umiał on ani się poddać swemu przeznaczeniu, ani go zmienić. Nagromadzenie wojsk, zamiast powstrzymać zaczepkę Paryża, wywołało ją; bankiet nie uczynił pewniejszym poświęcenia żołnierzy, tylko wzmógł niechęć ludu. Nie potrzeba było ani tyle zapału dla obrony, ani tyle okazałości dla ucieczki; ale dwór nie umiał nigdy zachować miary właściwej w przeprowadzeniu swych zamiarów, lub też wybierał półśrodki i z ostateczną decyzją zwłóczył zawsze dotąd, aż było już po niewczasie.

Wiadomość o uczcie wprawiała Paryż w wielkie poruszenie. Od 4 października głuche pogłoski, podbudzania przeciwwolucyjne, obawa spisków, zgroza przeciw dworowi, wzrastający popłoch głodowy, słowem wszystko zapowiadało powstanie; tłum zwracał wzrok w stronę Wersalu. Dnia 5 nastąpił wybuch w sposób gwałtowny i nieprzewidywany; zupełny brak mąki dał do niego hasło. Jakaś młoda

dziewczyna weszła na odwach, uchwyciła bęben i przebiegła ulice bębniąc i wołając: „Chleba! chleba!“ Otoczył ją wkrótce orszak kobiet. Gromada ta, wzrastająca ciągle, udała się do Ratusza; zmogła straż konną, stojącą u drzwi gminy miejskiej (commune) i wtargnęła do wnętrza, żądając chleba i broni. Wyłamano drzwi, pochwycono za bron, uderzono w dzwony na gwałt i przysposobiono się do pochodu na Wersal. Wkrótce lud wyraził tłumnie toż samo życzenie i okrzyk: „Do Wersalu!“ stał się powszechnym. Kobiety poszły naprzód pod przewodnictwem Maillarda, jednego z ochotników z pod Bastylli. Lud, gwardya narodowa, gwardye francuskie chciały iść za niemi. Głównodowodzący Lafayette opierał się długo pochodowi; lecz było to nadaremne, i ani jego usiłowania, ani jego popularność nie mogły przewyciężyć zaciętości tłumu. Przez siedem godzin przemawiał doń i zatrzymywał go. Nareszcie tłum zniecierpliwiony taką zwłoką, nieposłuszny głosowi wodza, już miał wyruszyć bez niego, gdy Lafayette czując, że obowiązkiem jego jest poprowadzić lud, aby go hamować, tak jak poprzednio powinien go być wstrzymywać, pozyskał od gminy miejskiej upoważnienie do wyruszenia i około godziny siódmej wieczorem dał hasło pochodu.

W Wersalu wrzenie było mniej gwałtowne, ale równie poważne: gwardya narodowa i Zgromadzenie objawiały niepokój i wstrząśnienie. Dwukrotna uczta gwardyi przybożnej, pochwała wyrażona dla niej przez królową słowami: „Zachwyconą byłam dniem czwartkowym,“ odmowa króla przyznania wręcz deklaracyi praw człowieka, uplanowane przez niego odwłoki, a także brak żywności podniecały trwogę w przedstawicielach ludu i budziły w nich podejrzenia. Petion, który doniósł o uczie gwardzistów, wezwany został przez jednego z deputowanych rojalistycznych, ażeby podał szczegółowiej tę wiadomość i wskazał winnych. „Niech ogłoszą wyraźnie, że każdy, kto nie jest królem, jest poddanym i odpowiedzialnym — zawołał żywo Mirabeau — a ja dostarczę dowodów.“ Te słowa, wymierzone przeciw królowej, zmusiły prawicę do milczenia. Tak przed, jak i po

tej rozprawie wrogiej, toczyły się obrady mniej ożywione nad odmową sankcyi i głodem w Paryżu. Nakoniec miano wysłać deputacyę do króla z żądaniem przyznania wprost i wyraźnie praw człowieka, oraz z zaklęciem go, ażeby przyspieszył, o ile to jest w jego mocy, zaopatrzenie stolicy w żywność, kiedy oznajmiono przybycie kobiet prowadzonych przez Maillarda.

Ich ukazanie się niespodziewane, gdyż zatrzymywały po drodze wszystkich kuryerów, którzy mogli zapowiedzieć ich przybycie, wywołało przerażenie u dworu. Wojska wersalskie schwyciły za broń i otoczyły zamek; ale zamiary kobiet nie były wrogie. Przywódca ich Maillard skłonił je do przedstawienia się w postawie kornej i w ten to sposób wypowiedziały one kolejno swe skargi Zgromadzeniu i królowi. To też pierwsze godziny tego tłumnego wieczoru przeszły dość spokojnie. Lecz było bardzo trudnem, ażeby przyczyny zamieszek i nienawiści nie objawiły się pomiędzy tą niesforną gromadą a gwardzistami przyboicznymi, którzy byli przedmiotem takiego rozjątrzenia. Zajmowali oni dziedziniec zamkowy i mieli wprost przed sobą gwardyę narodową i pułk flandryjski. Przestrzeń dzielącą ich zapelnily kobiety i ochotnicy z pod Bastylli. Wśród zamieszania, nieuniknionego przy podobnem zbliżeniu, wszczęła się zwada, dała ona hasło do zamętu i walki. Oficer gwardyi uderzył pałaszem żołnierza paryskiego, w zamian za co dostał postrzał w ramię. Gwardya narodowa wystąpiła przeciw gwardyi przyboicznej; utarczka stała się dość żwawą, a skończyłaby się krwawo, gdyby nie noc, nie niepogoda i nie rozkaz, jaki otrzymała gwardya przyboiczna, naprzód, ażeby zaprzestała ognia, następnie, ażeby się oddaliła. Ale ponieważ ją obwiniano o napaś, rozjątrzenie tłumu było przez pewien czas nadzwyczajnem; wtargnął on do jej domu, gdzie dwóch gwardzistów raniono a jeden zaledwie zdolał umknąć.

W trakcie tego zamętu dwór był przerażony; obradowano nad ucieczką królewską; powozy czekały w pogotowiu; jeden z gwardzistów narodowych, stojący na warcie,

sposzregł je przy kracie oranżeryjnej, zmusił do wjechania wewnątrz i zamknął bramę. Zresztą król, bądź dlatego, że o zamiarach dworu dotąd nie wiedział, bądź też, że nie wierzył w ich możebność, projekt wycieczki odrzucił. Do jego zamiarów pokojowych przyłączyły się i obawy, nie chciał też ani napaści odpierać, ani ucieczką się ratować. Jako zwyciężony—lękał się losu Karola I w Anglii; jako nieobecny — bał się, aby ksiązę Orleański nie objął wielkorządztwa w królestwie. W czasie tych zajęć, deszcz, znużenie i beczynność gwardyi przybocznej osłabiły wściekłość tłumu, a wreszcie i Lafayette przybył na czele armii paryskiej.

Obecność jego przywróciła bezpieczeństwo dworowi, a odpowiedzi, dane przez króla deputacyi wojskowej z Paryża, zadowolily tłum. Wkrótce ruchliwość Lafayette'a, roztropność i karność gwardyi paryskiej przywróciły porządek wszędzie. Spokój znowu zawitał. Cała ta gromada kobiet i ochotników, zwyciężona znużeniem, rozpierzchła się; jedna część gwardyi narodowej dostała polecenie czuwania nad zamkiem, drugą rozmieszczono przy towarzyszach broni w Wersalu. Rodzina królewska, ochłonawszy po przebytej trwodze i po trudach tej męczącej nocy, udała się na spoczynek około godziny drugiej rano. Lafayette o piątej, obszedłszy warty zewnętrzne, powierzone jego straży, znalazłszy służbę w porządku, miasto spokojne, tłum rozproszony lub uspiony, zażył również kilka chwil wyweczasu.

Ale już około godziny szóstej kilku ludzi z tłumu, bardziej zapalonych niż inni i raniej przebudzonych, krążyło około zamku. Znalazłszy jedną kratę otwartą, uwiadomili o tem towarzyszków i wtargnęli przez to wejście. Na nieszczęście do wart wewnętrznych nie dopuszczono armii paryskiej, pozostawiając je gwardyi przybocznej. Fatalna ta ostrożność stała się powodem wszystkich klęsk tej nocy. Wewnętrznej straży nie podwojono nawet; zaledwie obejrzano kraty, a służbę pełniono równie niedbale, jak w zwykłych warunkach. Ludzie ci, miotani wszelkiego rodzaju namiętnościami, które ich przywiodły do Wersalu, spo-

strzegłszy w oknie gwardzistę królewskiego, obrzucili go obelgami; ten strzelił i ranił jednego z nich. Wtedy oni rzucili się na gwardyę przyboczną. Broniła ona zamku, nie ustępując kroku, z poświęceniem i heroizmem; jeden z gro-na walczących zdażył uprzedzić królowę, której głównie wygrażali napastnicy i która półubrana uciekła do króla. Zgiełk i niebezpieczeństwo były nadzwyczajne w zamku.

Lafayette, zawiadomiony o napadzie na mieszkanie królewskie, dosiadł konia i popędził co tchu ku miejscu zagrożonemu. Na placu spotkał gwardyę przyboczną, otoczoną zapaleńcami, którzy ją chcieli wymordować. Rzucił się pomiędzy nich, przywołał do siebie kilku gwardzistów francuskich, znajdujących się nieopodal, rozproszył napastników, oswobodził gwardzistów przybocznych i udał się pośpiesznie do zamku. Tam zastał już posiłki. Grenadyerzy z gwardyi francuskiej, na pierwszą wieść o zaburzeniach, nadbiegli i osłonili gwardyę przyboczną przed morderczą zaciękłością paryżan, którzy z okrucieństwem zabili z niej kilku. Nie był to wszakże jeszcze koniec tej sceny; tłum, zebrany w marmurowem podwórzu, pod balkonem króla, wzywał go gwałtownie; król się ukazał. Zażądano wyjazdu jego do Paryża; przyrzekł udać się tam z rodziną a wiadomość tę przywitano oklaskami. Królowa była zdecydowana towarzyszyć mu; lecz uprzedzenia przeciwko niej były tak silne, że podróż ta mogła stać się niebezpieczną; trzeba było pojednać ją z pospółstwem. Lafayette zaproponował, by się z nim ukazała na balkonie; po pewnem wahaniu przystała na to. Wyszli razem; Lafayette chcąc się porozumieć jakimś znakiem ze zgiełkliwą masą, zwalczyć jej gniew i obudzić zapal, ucałował z uszanowaniem rękę królowej; odpowiedziano mu przychylnymi okrzykami. Pozostawała jeszcze zgoda z gwardyą przyboczną. Lafayette podszedł z jednym gwardzistą, przypiął do jego kapelusza swoją własną, trójkolorową kokardę i uściśnął go w oczach ludu, który zawołał: „Niech żyje gwardya przyboczna!“ Tak się skończyło to zajście. Rodzina kró-

lewska odjechała do Paryża pod eskortą swej gwardyi i zmieszanej z nią armii.

Powstanie z dnia 5 i 6 października było prawdziwym ruchem ludowym. Nie należy szukać pobudek tajemnych w tem powstaniu, ani go przypisywać skrytym ambicyom; wywołała je bowiem nieopatrzność dworu. Uczta gwardyi przybocznej, pogłoski o ucieczce, obawa wojny domowej i głód, jedynie poprowadziły Paryż na Wersal. Jeśli podżegacze pojedynczy, co wszakże poszukiwania najbardziej interesowane pozostawiły wątpliwem, przyczynili się do wytworzenia ruchu, nie zmienili oni ani jego kierunku, ani celu. Wynikiem tego zdarzenia było zniszczenie dawnego urzędnictwa dworu: pozbawiono go własnej straży, przeniesiono z rezydencji królewskiej w Wersalu do stolicy Rewolucyi i umieszczono wpośród ludu.

ROZDZIAŁ III.

Od 6 października 1789 r. do śmierci Mirabeau w kwietniu 1791 r.

Dalszy ciąg wydarzeń październikowych. — Zmiana prowincyj na departamenty; organizacja władz administracyjnych i municypalnych według systemu zwierzchnictwa ludowego i wyborów. — Skarb; wszystkie przedsiębrane środki są niewystarczające. — Ogłoszenie dóbr duchownych za narodowe. — Sprzedaż dóbr duchownych daje początek asygnatom. — Ustawa cywilna duchowieństwa; opozycja religijna biskupów. — Rocznica 14 lipca; zniesienie tytułów; federacja Pola Marsowego. — Nowa organizacja wojska; opór oficerów. — Odszczepieństwo z powodu ustawy cywilnej duchowieństwa. — Kluby. — Śmierć Mirabeau'a. — Podczas całej tej epoki rozdział stronnictw staje się coraz bardziej wyraźnym.

Epoka, która stanowi przedmiot tego rozdziału, nie tyle się odznacza wydarzeniami, ile coraz bardziej wyraźniejszym rozdziałem stronnictw. W miarę jak zachodziły zmiany w państwie i w prawach, ci, których interesy lub opinie na tem cierpiały, oświadczyli się przeciwko nim. Przeciwnikami Rewolucji byli: od powstania Stanów generalnych — dwór, od połączenia się warstw społecznych i obalenia przywilejów — szlachta, od ustanowienia jednego Zgromadzenia i odrzucenia dwu izb — ministerjum i zwolennicy rządu angielskiego. Miała ona nadto przeciwko sobie: od czasu organizacji departamentalnej — dzielnice stanów; od dekretu o dobrach i ustawie cywilnej kleru — całe ciało duchowne; od wprowadzenia nowych praw wojskowych — wszystkich oficerów armii. Zdawało się, że Zgromadzenie nie powinno było postanawiać tylu zmian naraz, aby nie robić sobie tak wielkiej liczby nieprzyjaciół; ale jego plany

ogólne, potrzeby, a nawet knowania jego przeciwników poprowadziły do tych wszystkich innowacyj.

Zgromadzenie po 5 i 6 października miało też swoją emigracyę, zarówno jak dwór miał swoją po 14 lipca. Mounier i Lally-Tollendal opuścili je, zwątpiwszy o wolności z chwilą, w której idee ich przestały mieć posłuch. Bez względu w swych planach, pragnęli, aby lud, oswobodzwszy Zgromadzenie 14 lipca, zaprzestał nagle swej działalności; dowodziło to nieznanomości prądu wszelkich rewolucyj. Lud, raz powołany do usług, niełatwo następnie rozchodzi się; najroztropniej jest zamiast mu przeczyć, porządkować jego interwencyę. Lally-Tollendal, wyrzekłszy się swej narodowości francuskiej, powrócił do Anglii, krainy swych przodków. Mounier udał się do Delfinatu, swej prowincyi, którą usiłował podburzyć przeciw Zgromadzeniu. Było to niekonsekwencyą żalić się na jedno powstanie, a wywoływać drugie, zwłaszcza że wyszłoby ono na korzyść innej partyi; jego własna bowiem była za słabą, aby mogła się utrzymać między dawnym porządkiem a Rewolucyą. Pomimo całego swojego wpływu w Delfinacie, gdzie kierował poprzednimi ruchami, Mounier nie zdołał tam wytworzyć trwałej opozycyi; ale Zgromadzenie skorzystało z tego faktu i zniósło dawny ustroj prowincjonalny, mogący łatwo stać się polem wojny domowej.

Po 5 i 6 października reprezentacya narodowa udała się za królem do stolicy, a zobopólna ich obecność przyczyniła się wielce do uspokojenia. Lud był zadowolony z posiadania króla; ustały powody podniecające jego wrzenie. Książę Orleański, uważany słusznie czy niesłusznie za kierownika buntu, został oddalony, przyjąwszy dobrowolnie jakąś misyę do Anglii. Lafayette postanowił utrzymać porządek; gwardya narodowa, najlepszym duchem ożywiona, stawiała się z dniem każdym karniejszą i posłusniejszą; municypalność, wyszedłszy z pierwotnego zamętu w swym ustroju, zaczynała nabierać powagi. Pozostawała jedna jeszcze przyczyna do zamieszek — to jest głód. Pomimo poświęcenia i przezorności komitetu spożywczego,

zbiegowiska każdodziennie zagrażały spokojności publicznej. Lud, który cierpiąc tak łatwo daje się zwodzić, zarzynał piekarza imieniem François, niesłusznie posądzonego o frymarczenie żywnością. Wydano 21 października prawo wojenne, upoważniające municypalność do użycia siły w rozpędzaniu zbiegowisk, gdyby obywatele na wezwanie nie chcieli się rozejść. Władza znajdowała się w ręku klasy, którą porządek obchodził; gminy i gwardya narodowa były oddane Zgromadzeniu; uległość prawu była namiętnością tej epoki. Posłowie ze swej strony pragnęli tylko wykończenia konstytucyi i dokonania reorganizacyi państwa. Musieli oni się śpieszyć tem bardziej, że nieprzyjaciele Zgromadzenia, posługując się resztkami starych praw, sprowadzali mu coraz nowe kłopoty. To też na każdy ich zamach odpowiadało ono dekretem, który zmieniając dawny porządek rzeczy, pozbawiał ich jakiegoś oręża do walki.

Rozpoczęło ono od podziału królestwa w sposób bardziej równy i prawidłowy. Prowincye, patrzące z żalem na utratę swych przywilejów, tworzyły państwka, których rozległość była zanadto obszerna a administracya zanadto niezależna. Należało ograniczyć ich przestrzeń, zmienić ich nazwy i poddać je jednemu zarządowi. Dnia 22 grudnia Zgromadzenie przyjęło w tym względzie projekt pomysłu Sieyèsa, przedstawiony przez Thoureta w imieniu komitetu, który tym przedmiotem zajmował się bez przerwy w ciągu dwóch miesięcy.

Francya została podzielona na osiemdziesiąt trzy departamenty, mniej więcej równe sobie obszarem i ludnością; departament dzielił się na okręgi, okręg na kantony. Zaprowadzono w nich zarząd jednostajny i hierarchiczny. Departament miał radę administracyjną, złożoną z trzydziestu sześciu członków i dyrektoryat wykonawczy, złożony z pięciu: jak sama nazwa wskazuje, czynnością jednej było stanowić, drugiego — działać. Okrąg był uorganizowany tak samo, tylko na mniejszą skalę: posiadał radę i dyrektoryat liczebnie mniejsze i zależne od rady i dyrektoryatu wyższego. Kanton, składający się z pięciu lub sześciu parafij,

tworzył podziałkę wyborczą, nie zaś administracyjną; obywatele czynni (należeli do nich ci, którzy płacili podatek odpowiadający trzem dniom pracy) zgromadzali się w kantonie dla mianowania swoich deputowanych i urzędników. Według nowego planu wszystko podlegało wyborom, ale te miały kilka stopni. Zdawało się nierozważnem powierzać popółstwu wybór swych delegowanych, a nieprawnem nie dopuszczać go doń: rozwikłano tę trudność przez podwójne wybory. Obywatele czynni z kantonu mianowali wyborców, upoważnionych do obierania członków Zgromadzenia narodowego; administratorzy departamentu mianowali znów administratorów okręgowych i sędziów trybunału. Ustanowiono jeden trybunał kryminalny dla całego departamentu, jeden trybunał cywilny dla każdego okręgu i jeden trybunał pokoju dla każdego kantonu.

Taki był ustrój departamentu. Pozostawała do urządzenia gmina: powierzono jej administrację radzie ogólnej i municypalności, składających się z członków, których liczba odpowiadała liczbie ludności miast. Urzędnicy municypalni byli mianowani bezpośrednio przez lud i oni tylko mogli wzywać do działania siłę zbrojną. Gmina tworzyła pierwszy stopień stowarzyszenia, królestwo zaś ostatni; departament służył za pośrednika pomiędzy gminą i państwem, pomiędzy sprawami ogólnymi i sprawami czysto miejscowymi.

Wykonanie tego planu, który organizował zwierzchnictwo ludu i powoływał wszystkich obywateli do wyboru swych urzędników, powierzał im ich własną administrację oraz rozmieszczał ich w takich ramach, że pozwalając całemu państwu poruszać się, utrzymywały związek pomiędzy częściami i zapobiegały ich odosobnianiu się — wznieciło niezadowolenie kilku prowincyj. Stany Langwedocyi i Bretanii zaprotestowały przeciwko nowemu podziałowi królestwa; a ze swej strony parlamenty Metz, Rouenu, Bordeaux, Tuluzy powstały przeciw działaniom Zgromadzenia, które skasowało Izby sądowe wakacyjne (chambres de vacations), zniosło klasy społeczne (ordres) i ogłosiło

niekompetentność komisji stanów. Stronnicy dawnego ustroju chwyłali się wszelkich środków dla tamowania nowego: szlachta podburzała prowincje, parlamenty wydawały postanowienia, duchowieństwo rozsyłało listy pasterskie, a pisarze korzystali z wolności prasy, ażeby atakować Rewolucję. Szlachta i biskupi byli głównymi jej nieprzyjaciółmi. Parlament, niemający dla siebie oparcia w narodzie, tworzył jedynie ciało urzędnicze, którego napadom zapobieżono, niszcząc je; natomiast szlachta i duchowieństwo miały środki działania, które pozostały im po utracie wpływu jako ciała. Obie te klasy były przeważnie same sprawczyniami swych nieszczęść: zaprzestawszy drażnić Rewolucję w Zgromadzeniu, zaatakowały ją później otwartym bojem: duchowieństwo przez bunty wewnętrzne, szlachta, uzbrajając Europę przeciwko niej. Liczono wiele na bezrząd, który, co prawda, sprowadził wiele klęsk Francji, ale też i nie polepszył ich własnego położenia. Aby zobaczyć, jak powstały wrogie zamiary duchowieństwa, powrócimy do spraw dawniejszych.

Skarb dał początek Rewolucji, a nie mogła ona dotychczas zapobiedz kłopotom, które ją wywołały. Zgromadzenie miało czas zaprzątnięty ważniejszymi sprawami. Zwolane obecnie nie po to, aby odżywić administrację, ale aby ukonstytuować państwo, zawieszano niekiedy swe rozprawy prawodawcze dla zaspokojenia najbardziej naglących potrzeb skarbu. Necker proponował środki tymczasowe, które przyjęto z zaufaniem i prawie bezspornie. Pomimo tej gotowości, niechętnie patrzył on na to, że skarb jest podległy konstytucji, a ministerjum — Zgromadzeniu. Uchwalona 9 sierpnia pożyczka trzydziestu milionów nie powiodła się wcale; późniejsza — osiemdziesięciu milionów, uchwalona 27 tegoż miesiąca, była niedostateczna. Podatki były obniżone lub zniesione, a prawie nie przynosiły z powodu trudności ich poboru. Zbytecznym byłoby odwoływanie się do zaufania publicznego, które odmawiało wszelkich zasiłków; więc we wrześniu Necker zaproponował jako jedyne wyjście składkę nadzwyczajną (contribu-

tion) z czwartej części dochodu, płatną jednorazowo. Każdy obywatel miał ją oznaczyć sam, używając tej tak prostej formuły, to jest przysięgi — co wysmienicie maluje owe pierwsze chwile prawości i patryotyzmu: *Oświadczam szczerze (Je déclare avec vérité).*

Wtedy to Mirabeau zalecił przyznać Neckerowi prawdziwą dyktaturę w skarbie. Mówił o nagłych potrzebach państwa, o pracach Zgromadzenia, które mu nie dozwalały roztrząsać planu ministra, ani też rozpatrywać innego, o zrzecności Neckera, obiecującego powodzenie swojemu; naglił Zgromadzenie, ażeby pozostawiło mu odpowiedzialność za udanie się tego projektu, przyjmując go z ufnością. Ponieważ jedni nie pochwalali poglądów ministra, a drudzy podejrzewali intencje mówcy względem niego, Mirabeau zakończył swą mowę, jedną z najwymowniejszych, jakie wypowiedział, wykazując grożące bankructwo i wołając: „Dajcie głosy wasze na ten nadzwyczajny zasilek i bodajby on był wystarczającym! Dajcie nań głosy, bo jeśli macie wątpliwość co do środków, nie macie jej co do niezbędnej potrzeby i co do naszej niemocy zastąpienia go innym; dajcie głosy, ponieważ wypadki publicznie nie pozwalają na zwłokę, a za opóźnienie my będziemy odpowiedzialni. Nie żądajcie czasu, bo nieszczęście nigdy się na to nie zgodzi... Hej, panowie, z powodu dziwaczego wniosku w Palais-Royalu, z powodu śmiesznej napaści, która może mieć tylko znaczenie dla wyobraźni słabych lub zamiarów przewrotnych kilku ludzi złej wiary, słyszeliście niedawno te szalone słowa: *Katylina stoi u wrót Rzymu, a tu radzaj!* Zapewne nie było koło nas, ani Katyliny, ani niebezpieczeństwa, ani spiskowców, ani Rzymu. Ale dzisiaj bankructwo, ohydne bankructwo stoi tuż: grozi ono pochlonięciem was, waszej własności, waszego honoru, a wy radzicie!” Mirabeau porwał Zgromadzenie — zatwierdzono kontrybucję patryotyczną wśród powszechnych oklasków.

Zasilek ten wszakże sprawił tylko chwilową ulgę. Finansy Rewolucyi wymagały jakiegoś śmielszego i rozleglejszego przedsięwzięcia; potrzeba było nie tylko utrzymać

Rewolucyę, ale jeszcze pokryć olbrzymi deficyt, który bieg jej opóźniał i przyszłości zagrażał. Pozostał tylko jeden środek: ogłosić dobra duchowne za własność narodową i sprzedać je na zaspokojenie długu państwa. Interes publiczny nakazywał użycie tego środka, można go było zastosować z całą ścisłością, gdyż duchowni nie byli właścicielami, lecz po prostu administratorami dóbr swoich, ofiarowanych religii a nie księżom. Naród, biorąc na siebie koszta ołtarza i utrzymanie jego kapłanów, mógł je sobie przywłaszczyć, zyskać w nich poważne źródło finansowe i osiągnąć wielki rezultat polityczny.

Ważnem było, aby nie zostawiać w państwie ciała niezależnego, zwłaszcza dawnego, gdyż podczas rewolucyi wszystko, co dawne, jest wrogiem. Duchowieństwo, przez swą groźną hierarchię i swoje dostatki, obce nowym zmianom, byłoby się utrzymało jako rzeczpospolita w królestwie. Forma taka dogadzała innemu ustrojowi: kiedy jeszcze nie było państwa (État), tylko ciała (corps), każdy stan myślał o swej organizacyi i swoim bycie. Duchowieństwo miało swoje dekretalia, szlachta — swe prawa lenne, lud — swe municypalności; wszystko to było niezależne, ponieważ było prywatne. Ale dzisiaj, skoro czynności owych ciał stawały się publiczne, usiłowano przerobić stan kapłański na magistraturę religijną, tak jak przerobiono królestwo na najwyższą magistraturę polityczną; ażeby uczynić Kościół narodowym, należało duchowieństwu płacić pensye ze skarbu państwa, a odbierając mu dobra, przyznać mu odpowiednie uposażenie. W taki to sposób przeprowadzono tę wielką operacyę, która zniszczyła dawny ustroj kościelny.

Jedną z najpilniejszych potrzeb stanowiło zniesienie dziesięcin. Ponieważ był to podatek, opłacany duchowieństwu przez lud wiejski, ofiara powinna się była obrócić na korzyść tych, których uciemiażała. To też ogłoszony najprzód 4 sierpnia podatek ten jako wykupny, zniesiony został zupełnie 11 tegoż miesiąca; duchowieństwo sprzeciwiało się zrazu, lecz następnie okazało tyle zdrowego rozsądku, że zgodziło się. Arcybiskup Paryża zrzekł się dzie-

sięcin w imieniu wszystkich swoich towarzyszków i przez ten akt roztropności okazał się wiernym postępowaniu uprzywilejowanych podczas nocy 4 sierpnia, ale też na tem skończyła się jego ofiarność.

Wkrótce potem zaczęły się obrady nad własnością dóbr duchownych. Biskup z Autun, Talleyrand, zaproponował, aby kler zrzekł się ich na rzecz narodu, któryby użył ich na potrzeby religii i na spłacenie swego długu. Dowodził on słuszności i sprawiedliwości tego środka, wykazując wielkie korzyści, jakieby stąd wynikły dla państwa. Wartość dóbr duchownych wynosiła kilka miliardów; przejmując ich długi, obsługę kościelną i szpitalną, uposażenie księży, pozostawało jeszcze czem pokryć wszystkie procenty skarbowe (*rents publiques*), tak wieczyste, jak dożywotnie, oraz koszta urzędów sądowych. Duchowieństwo obruszyło się przeciwko tej propozycji. Rozprawa była bardzo żywa, ale pomimo jego opozycji, uchwalono, że kler nie był właścicielem, lecz prostym depozytaryuszem dóbr ofiarowanych Kościołowi przez pobożnych królów i wiernych, oraz że naród, zapewniając religii obsługę, powinien wejść w posiadanie tych dóbr. Dekret, oddający mu je do rozporządzenia, zapadł d. 2 grudnia 1789 r.

Od tej to chwili duchowieństwo zawrzało nienawiścią przeciw Rewolucyi. Było ono bardziej wyrozumiałem od szlachty na początku Stanów generalnych; ale po utracie swych bogactw okazało się na równi z nią nieprzyjaznem nowemu ustrojowi, którego się stało najgorętszym i najzaciętszym wrogiem. Ponieważ jednak dekret oddawał dobra kościelne narodowi, nie zmieniając jeszcze ich natury, nie wybuchnęło ono natychmiast. Administracya została mu nadal powierzona; miało też ono nadzieję, że dobra te, służąc tylko jako hipoteka dla długu państwa, sprzedane nie będą.

Istotnie, trudnem było przeprowadzenie takiej sprzedaży, która przecież nie mogła iść w odwłokę, ponieważ skarb utrzymywał się tylko poborami naprzód (*anticipations*), a kasa dyskontowa, dostarczająca mu biletów, za-

częła całkiem tracić kredyt, z powodu wypuszczenia wielkiej ich liczby. Osiągnięto jednakże cel, starając się dostarczyć państwu nowych źródeł finansowych. Potrzeby bieżącego i następnego roku wymagały sprzedaży tych dóbr na czterysta milionów: aby ją ułatwić, municypalność Paryża zapisała się na znaczną sumę, w czym ją naśladowały i inne municypalności. Zobowiązały się one wnieść do skarbu sumę równoważną wartości dóbr otrzymanych od państwa do rozprzedania osobom prywatnym; ale brak im było pieniędzy i nie miały czem pokryć należności, nie znalazłszy jeszcze nabywców. Cóż tedy uczyniły? Oto wydały bilety municypalne, przeznaczone na spłacenie wierzycieli publicznych do czasu zdobycia odpowiednich funduszów, którymi by mogły pokryć te bilety. Doszedłszy do takiego pomysłu, zrozumiano, że zamiast biletów municypalnych, korzystniej będzie utworzyć bilety państwowe, które by miały kurs przymusowy i spełniały rolę monety: uogólniając tę operację, uprawniano ją. W taki sposób powstały asygnaty.

Odkrycie to przysłużyło się wielce Rewolucyi i jedynie umożliwiło sprzedaż dóbr duchownych; asygnaty, które były środkiem kwitowania dla państwa, stały się zastawem dla wierzycieli. Ci, otrzymując je, nie potrzebowali brać w ziemi tego, co dostarczyli w monecie brzęczącej. Ale prędzej lub później asygnaty musiały się dostać do ludzi, pragnących je zrealizować, wtedy musiały być zniszczone jednocześnie z ukończeniem się ich zastawu. Ażeby osiągnęły swój cel, wymagano przymusowego ich obiegu; ażeby im nadać mocną podstawę, ograniczono ich ilość wartością dóbr wystawionych na sprzedaż; ażeby znów przez nagłą wymianę nie spadły, wyznaczono od nich procent. Zgromadzenie chciało z chwilą wypuszczenia ich nadać im stałość monety. Miało ono nadzieję, że moneta brzęcząca, ukryta przez brak zaufania, ukaze się natychmiast i że asygnaty zaczną z nią współzawodniczyć. Hipoteka czyniła je również pewnemi, a procent korzystniejszemi; tylko że ten procent, mający wielkie niedogodności, znikł przy drugiej emisyi.

Taki był początek tego pieniądza papierowego, puszczonego zrazu w obieg z potrzeby i oględnie, który pozwolił Rewolucyi dokonać tak wielkich rzeczy, a który został zdyskredytowany nie tyle z przyczyn zależnych od natury jego, ile od użytku, jaki zeń później zrobiono.

Skoro duchowieństwo przekonało się, że dekret z dnia 29 grudnia przekazał administracyę dóbr jego municypalnościom, że sprzedaż ich na czterysta milionów ma być dokonana, że wynalazek pieniądza papierowego ułatwi wyłączenie i uczyni je ostatecznem — nie przepomniało o niczem w obronie sprawy swych bogactw. Chwytając się ostatniego ratunku, oświadczyło gotowość zrealizowania w swoim imieniu pożyczkę na czterysta milionów, co wszakże odrzucono, gdyż przyjęcie tej propozycyi oznaczałoby przywrócenie klerowi własności, z której go wyrzuto. Wówczas to duchowieństwo próbowało najrozmaitszych sposobów dla tamowania działań municypalności. Na południu podburzyło katolików przeciw protestantom; z kazalnicy niepokoiło sumienia; w konfesyjale wystawiało tę sprzedaż jako świętokradztwo, a z trybun usiłowało rzucić cień na uczucia Zgromadzenia. Aby je zniesławić i złączyć swój własny interes ze sprawą religii, wywoływało, o ile mogło, kwestye religijne. Niewłaściwość i nadużycia zakonów były w tej epoce uznane przez świat cały, nawet przez samo duchowieństwo. Podczas zniesienia ich, 13 lutego 1790 roku, biskup z Nancy zaproponował nawiasowo i sposobem podstępny, aby wyłącznie religia katolicka miała obrzędy jawne. Zgromadzenie obruszyło się przeciw tej propozycyi i pominęło ją. Ale na drugiem posiedzeniu ponowiono ten sam wniosek; po nader burzliwych rozprawach Zgromadzenie oświadczyło, że przez szacunek dla Istności najwyższej i dla religii katolickiej, jedynie utrzymywanej kosztem państwa, nie uważa za właściwe rozstrzygnięcia kwestyi, która mu została przedstawiona.

Takie było usposobienie kleru, kiedy w czerwcu i lipcu 1790 r. Zgromadzenie zajęło się jego organizacyą wewnętrzną. Oczekiwał on niecierpliwie tej sposobności, dla

wywolania odszczepieństwa. Nieogłędny ten projekt, którego uchwalenie sprawiło tyle złego, zmierzał do odbudowania Kościoła na jego najdawniejszych podstawach i do przywrócenia czystości wierzeń; nie był on wcale dziełem filozofów, ale surowych chrześcian, pragnących oprzeć religię na konstytucyi, tak, aby obie przyczyniały się do uszczęśliwiania państwa. Zmniejszenie ilości biskupstw do liczby departamentów, zgodność rozgraniczeń duchownych z cywilnymi, mianowanie biskupów przez wyborców; którzy obierali administratorów i deputowanych, zniesienie kapituł i zastąpienie kanoników przez wikaryuszów, takim był ów plan: niczem w nim nie zaczepiano ani dogmatów, ani obrzędów Kościoła. Przed laty biskupi i inni duchowni byli mianowani przez lud; co się zaś tyczy granic dyecezyalnych, była to czynność czysto materyalna, niemająca żadnej łączności z religią. Zresztą zaopatrzone wspaniałomyślnie potrzeby duchowieństwa, a jeśli wysocy dostojnicy mieli dochody swe zmniejszone, natomiast proboszcze, składający najliczniejszy zastęp, otrzymali powiększenie swoich.

Ale ustawa cywilna duchowieństwa dostarczyła zbyt dogodnego powodu, ażeby go nie wyzyskano. Zaraz po otwarciu obrad arcybiskup z Aix zaprotestował przeciw zasadom komitetu kościelnego. Według niego, wynoszenie lub składanie z urzędu biskupów przez władzę cywilną sprzeciwiało się karności; a w chwili, kiedy dekret miał być podany głosowaniu, biskup z Clermon, przypomniawszy zasady wyłożone przez arcybiskupa z Aix, wyszedł z sali na czele wszystkich członków odmiennego zdania. Dekret utrzymał się, ale duchowieństwo wypowiedziało wojnę Rewolucyi. Sprzymierzyło się ono odtąd ściśle ze szlachtą protestującą; obie te klasy uprzywilejowane, znalazłszy się w jednakiem położeniu, dokładały wszelkich usiłowań, aby przeszkadzać wykonaniu reform.

Natychmiast po utworzeniu departamentów wysłały do nich delegowanych dla zebrania wyborców i pokuszenia się o nowe nominacje. Nie miały one wcale nadziei otrzymania przychylnych wyborów, ale chodziło im o wzniecenie

niezgody pomiędzy Zgromadzeniem a departamentami. Zawiadomiono trybunę o tym projekcie, który, po odsłonięciu go, upadł. Twórcy jego wzięli się wówczas na inny sposób: termin mandatów, danych deputowanym Stanów generalnych, upłynął był, gdyż władza ich według postanowienia trybunałów, zwanych „bailliages,” miała trwać tylko rok jeden. Dawni uprzywilejowani skorzystali z tej ekspiracyi, żądając odnowy Zgromadzenia. Gdyby byli je otrzymali, odniesliby bardzo ważne zwycięstwo i dlatego to odwołali się do zwierzchnictwa ludu. „Bezwątpienia — odpowiedział im Chapelier — wszelka władza tkwi w ludzie; ale zasada ta nie może mieć zastosowania w obecnym wypadku. Odnowić Zgromadzenie przed ukończeniem konstytucyi, znaczyłoby zburzyć konstytucyę i wolność; taką właśnie jest nadzieja tych, którzy pragną zguby i konstytucyi i wolności, a odrodzenia różnicy stanów (ordres), szafowania dochodami publicznymi i nadużyć towarzyszących despotyzmowi.“ Wszystkie spojrzenia zwróciły się w tej chwili ku prawicy i zatrzymały się na księdzu Maury. „Wyslijcie tych ludzi do Châteletu — zawołał on porywczo — a jeśli ich nie znacie, nie mówcie o nich wcale.“ — „Niemożliwym jest — mówił w dalszym ciągu Chapelier — aby konstytucya nie była dziełem jednego Zgromadzenia. Zresztą, dawni wyborcy już nie istnieją, trybunały wyborcze (bailliages) zwały się z departamentami; rozdziału stanów niema. Zastrzeżenie przeto ograniczoności pełnomocnictw traci swą ważność — sprzeciwia się to zasadom konstytucyi, a żeby deputowani, których mandaty już upłynęły, nie mieli pozostać w tem Zgromadzeniu; przysięga nakazuje im tu pozostać, a interes publiczny tego wymaga.“

„Obalamucają nas sofizmatami — odrzekł na to ksiądz Maury. Odkądże to jesteśmy konwencją narodową? Wspominają o przysiędze, wykonanej 20 czerwca, zapominając, że ona nie znosi tej, którą złożyliśmy przed naszymi mandataryuszami. A wreszcie, panowie, konstytucya jest ukończoną; pozostaje wam tylko ogłosić, że król posiada w pełni władzę wykonawczą; my jesteśmy tu jedynie po to, aby za-

pewnie narodowi francuskiemu prawo wywierania wpływu na jego prawodawstwo, aby postanowić, iż podatki mają być przyznawane przez lud, oraz po to, aby zabezpieczyć naszą wolność. Tak, konstytucya jest już dokonaną i sprzeciwiam się każdemu dekretowi, któryby ograniczał prawa ludu nad jego przedstawicielami. Twórcy wolności powinni szanować wolność narodu: jest ona ponad nami, a my, ścieśniając władzę narodową, niszczymy naszą własną.“

Prawica przyjęła oklaskami przemowę księdza Maury. Mirabeau natychmiast wstąpił na trybunę. „Zapytują — rzekł — odkąd to deputowani ludu zostali konwencyą narodową? Więc odpowiadam: tego dnia, w którym znalazłszy wejście do miejsca swych posiedzeń otoczone żołnierzami, udali się do pierwszego lepszego schronienia i tam poprzysięgli, że raczej zginą, niżeli zdradzą i opuszczą prawa narodu. Jakikolwiek były nasze pełnomocnictwa, zmieniły się dnia tego z gruntu; jakkolwiek sprawowaliśmy władzę — nasze usiłowania, nasze prace uprawniły ją, przyzwolenie narodu uświęciło ją. Przypominacie sobie zapewne wszyscy słowa tego wielkiego człowieka w starożytności, który dla zbawienia ojczyzny zaniechał form prawnych. Wezwany przez buntowniczego trybuna do wyznania, czy przestrzegał ustaw, odpowiedział: Przysięgam, że zbawiłem ojczyznę! Panowie! — zawołał, zwracając się do deputowanych gmin — przysięgam, że zbawicie Francję!“ Całe Zgromadzenie powstało nagłym ruchem i oświadczyło, że jego sesya skończy się dopiero po dokonaniu rozpoczętego dzieła.

Zamachy przeciwrewolucyjne mnożyły się w tymże czasie i po za obrębem Zgromadzenia. Próbowano przekupić lub zdeorganizować armię; ale w tym względzie Zgromadzenie przedsięwzięło mądre kroki, gdyż uczyniwszy stopnie i awanse niezależnymi od dworu i od tytułów szlacheckich, przywiązało wojsko do Rewolucyi. Hrabia d'Artois i książę de Condé, którzy się schronili w Turynie po 14 lipca, porozumiewali się z Lionem i z Południem; ale ponieważ emigracya nie ustaliła się jeszcze wówczas na zewnątrz, do czego doszła później w Koblencji i nie miała

podpory wewnątrz kraju, wszystkie jej projekty chybiły celu. Próby powstania, podniecanego przez duchowieństwo w Langwedocyi, nie osiągnęły też skutku; sprowadziły nieco zaburzeń krótkotrwałych, ale nie wywołały wojny religijnej. Dla utworzenia stronnictwa potrzeba czasu, a o ileż więcej dla naklonienia go do walki poważnej! Łatwiejszym w wykonaniu był zamiar porwania i uprowadzenia króla do Péronne. Margrabia de Favras, popierany przez brata królewskiego, Monsieura, przygotowywał się do tego, lecz został wykrytym. Châtelet skazał na śmierć tego nieustraszonego awanturnika, któremu byłoby się powiodło, gdyby był mniej rzucił się w oczy. Po zajściach październikowych ucieczki króla dokonać tylko było można w wielkiej tajemnicy, czego też spróbowano następnie.

Położenie dworu było dwuznaczne i kłopotliwe. Zachęcał on do wszelkich zamachów przeciwrewolucyjnych, nie przyznając się do żadnego; czuł więcej, niż kiedykolwiek swoją słabość i zależność od Zgromadzenia, a chociaż pragnął się z niej wyzwolić, lękał się próbować, ponieważ zdawało mu się to trudnem. To też podsycał opór, nie biorąc w nim otwarcie udziału: z jednymi marzył o dawnym ustroju, z drugimi usiłował tylko powściągnąć Rewolucję. Mirabeau nawiązał układy z dworem. On, który był jednym z głównych twórców reform, pragnął je utrwalić, ubezwładniając knowania: celem jego było pozyskać dwór dla Rewolucyi, nie zaś wydać Rewolucję dworowi. To też ofiarowywał mu opiekę konstytucyjną; innej nie mógł proponować, albowiem potęgą jego polegała na popularności, popularność zaś na zasadach. Ale popełnił błąd, że tę opiekę sprzedał; gdyby jego olbrzymie potrzeby nie było go zmusiły do przyjmowania pieniędzy i sprzedawania swych rad, nie zasłużył by był na większą naganą, niż niezachwiany Lafayette, Lamethowie i Girondini, którzy się kolejno porozumiewali z dworem. Wszakże ani jedni, ani drudzy nie pozyskali nigdy zupełnej jego ufności i łączył on się z nimi tylko od biedy. Usiłował z ich pomocą zawiesić Rewolucję, wówczas kiedy z pomocą jej nieprzyjaciół miał nadzieję ją

stłumić. Z pomiędzy wszystkich popularnych przywódców Mirabeau wywierał może największy wpływ na dwór, ponieważ był najbardziej porywającym i najsilniejszym.

Pośród tych wszystkich spisków i tych wszystkich intryg Zgromadzenie pracowało bez przerwy nad konstytucją. Uchwaliło nową organizację sądową dla Francji. Wszystkie nowe magistratury były czasowe. Ponieważ za monarchii absolutnej wszystkie władze wypływały z tronu, więc król mianował urzędników; że zaś w monarchii konstytucyjnej wszystkie władze wypływają z ludu, zatem urzędników miał lud mianować. Sam tylko tron był sukcesyjnym; wszelkie zresztą inne władze, niestanowiące własności ani pojedynczego człowieka, ani pojedynczej rodziny, nie mogły być ani dożywotnie, ani też dziedziczne. Prawodawstwo tej epoki polegało na jednej zasadzie, mianowicie na zwierzchnictwie narodu. Nawet urzędy sądowe miały ten charakter zmienny: sąd przysięgłych (le jury)—instytucja demokratyczna, niegdyś prawie powszechna i która tylko w Anglii oparła się zabobności feodalizmu lub tronu, wprowadzony został do spraw kryminalnych. Dla cywilnych mianowano sędziów osobnych. Ustanowiono trybunały stałe, dwie instancje, aby zapobiedz pomyłkom, i sąd kasacyjny, czuwający nad zachowaniem form opiekuńczych prawa. Groźna ta władza, jeśli jest zawisłą od tronu, może być niepodległą tylko wtedy, kiedy jest nieodwołalną; uznano tedy, że stanie się ona czasową, skoro będzie zawisłą od narodu; zależąc bowiem od wszystkich, nie będzie zależała od nikogo.

W innym przedmiocie, niemniej ważnym, dotyczącym prawa pokoju i wojny, Zgromadzenie rozstrzygnęło kwestję nową, subtelną, a dokonało tego w sposób szybki, pewny i sprawiedliwy, po jednej z najbardziej olśniewających i wymownych rozpraw, jakie usławiły jego posiedzenia. Ponieważ wojna i pokój więcej zależne są od działania, niż od woli, więc wbrew zwykłej regule powierzyło ono inicjatywę ich królowi. Ten, któremu najśladniej było wybadać stosowną porę, powinien stanowić

o nich; ale ostateczna decyzja należała do ciała prawodawczego.

Prąd ludowy, rozlewający się przeciw dawnemu porządkowi rzeczy, wracał powoli do swego łożyska. Nowe tamy powstrzymywały go zewsząd. Prąd rewolucyi utrzymywał się z szybkością: Zgromadzenie nadało nowemu ustrojowi monarchę, reprezentacyę narodową, podział gruntów, siłę zbrojną, władze municypalne i administracyjne, trybunały ludowe, duchowienstwo, pieniądze; znalazło hipotekę na dług jego i sposób przemieszczania pewnych własności, nie dopuszczając się bezprawia.

Zbliżał się 14 lipca: dzień ten był dla narodu rocznicą jego oswobodzenia; przygotowywano się do święcenia go z uroczystością, któraby podniosła dusze obywateli i zacieśniła węzły wspólne. Sprzymierzenie się (confédération) całego królestwa miało nastąpić na Polu Marsowem; tam to, na otwartem powietrzu, deputowani z osiemdziesięciu trzech departamentów, reprezentacya narodowa, gwardya paryska i monarcha mieli zaprzysiądz konstytucyę. Jako przedwstęp do tego święta patryotycznego popularni członkowie z grona szlachty zaproponowali zniesienie tytułów i Zgromadzenie ujrzało wznowione obrady z 4 sierpnia. Tytuły, herby, barwy, zakony rycerskie zostały usunięte 20 czerwca, przez co próżność straciła swe przywileje, zarówno jak władza swoje.

Posiedzenie to zaprowadziło wszędzie równość, a niszcząc te pozostałości z dawnych czasów — zgodę słów z rzeczami. Niegdyś w tytułach wyrażały się urzędy (fonctions); herby odróżniały potężne rody; barwy okrywały zaciągi lenników; zakony rycerskie broniły państwo od obcych najazdów lub też Europę od islamizmu. Ale dziś wszystko to znikło: tytuły straciły swe rzeczywiste znaczenie i swą stosowność; szlachta, przestawszy być magistraturą, postradała blask; a władza, zarówno jak i sława miały odtań wychodzić z szeregów plebejuszowskich. Bądź to jednak, że arystokracya przywiązywała więcej wagi do tytułów, niż do przywilejów, bądź że czekała tylko powodu do

otwartego wystąpienia, dość, że ten ostatni fakt, bardziej niż wszelkie inne, wywołał jej emigrację i napaści. Stał się on dla szlachty tem, czem dla duchowieństwa była ustawa cywilna, to jest bardziej sposobnością, niż przyczyną do kroków wrogich.

Nadszedł 14 lipca, Rewolucya mało miała tak pięknych dni; pogoda tylko nie odpowiedziała wspaniałości tego święta. Deputowani wszystkich departamentów zostali przedstawieni królowi, który ich przywitał z wielką uprzejmością; otrzymał i on również najbardziej wzruszające dowody przywiązania, ale jako monarcha konstytucyjny. „Najjaśniejszy Panie — przemówił do niego przywódca deputacyi bretońskiej, zginając kolano i oddając swą szpadę — w ręce twoje składam wierną szpadę dzielnych bretonów; zabarwi się ona tylko krwią twych nieprzyjaciół.“ Ludwik XVI podniósł go, uściskał i zwracając mu szpadę, odpowiedział: „Nie może ona być lepiej umieszczoną, niż w rękach moich drogich bretonów; nie wątpiłem nigdy o ich przywiązaniu i wierności; proszę ich zapewnić, że jestem ojcem, bratem, przyjacielem wszystkich francuzów.“ „Najjaśniejszy panie — dodał deputowany — wszyscy francuzi cię miłują i miłować będą, ponieważ jesteś królem obywatelem.“

Na Polu Marsowem miało się tedy dokonać sprzymierzenie; zaledwie zdołano ukończyć olbrzymie przygotowanie do tej uroczystości. W ciągu kilku tygodni cały Paryż pracował na wyścigi, aby wszystko przygotować na 14 lipca. O godzinie siódmej rano orszak, złożony z wyborców, przedstawicieli gmin, prezydentów okręgowych (des districts), Zgromadzenia narodowego, gwardyi paryskiej, oraz z deputowanych od wojska, od sprzymierzonych (fédérés) i departamentów, wyruszył w porządku z placu Bastylli. Obecność wszystkich ciał narodowych, powiewające flagi, napisy patryotyczne, różnorodne stroje, dźwięki muzyki, radosne uniesienia ludu czyniły ten pochód imponującym. Przeciągnął on przez miasto i przeszedł Sekwanę po moście łyżwowym, rzuconym w przeddzień, pośród wystrzałów ar-

matnich. Następnie wkroczył na Pole Marsowe pod łukiem tryumfalnym, ozdobionym napisami patryotycznymi. Każde ciało udalo się na miejsce sobie wyznaczone w porządku, przy rozlegających się oklaskach.

Obszerny plac Pola Marsowego opasany był stopniami z zielonej murawy, zajętymi przez czterysta tysięcy widzów. Pośrodku wznosił się ołtarz na sposób starożytny, wokół niego wspaniały amfiteatr, na którym znajdował się król, jego rodzina, Zgromadzenie i municypalność; sprzymierzeni (fédérés) z departamentów rozmieszczeni byli szeregiem pod swemi chorągwiami; deputacya od wojska i gwardyi narodowej miała też swoje miejsca pod swoimi sztandarami. Biskup z Autun przystąpił do ołtarza w ubraniu pontyfikalnem; czterystu księży, przybranych w alby białe, ozdobione szarfami trójkolorowemi, ustawiło się przy czterech rogach ołtarza. Msza była celebrowana przy odgłosie muzyki wojskowej; następnie biskup z Autun poświęcił sztandar królewski (oriflamme) i osiemdziesiąt trzy chorągwie.

Głębokie milczenie zapanowało w tem wielkiem zebraniu; Lafayette, mianowany tego dnia głównym wodzem (commandant général) wszystkich gwardyj narodowych całego królestwa, przystąpił pierwszy do złożenia przysięgi obywatelskiej. Grenadyerzy na ramionach zanieśli go do stóp ołtarza ojczyzny wśród okrzyków ludu, a on w imieniu własnem, w imieniu wojska i sprzymierzonych (fédérés) wypowiedział głosem podniesionym następujące słowa: „Przyśięgam, że będziemy zawsze wierni narodowi, prawu i królowi; że utrzymamy całą naszą mocą konstytucyę, zatwierdzoną przez Zgromadzenie narodowe i przyjętą przez króla, oraz że pozostaniemy złączeni ze wszystkimi francuzami nierozzerwanym węzłem braterstwa.“ Wnet po tej przysiędze huk dział artyleryi, przeciągłe okrzyki: „niech żyje naród! — niech żyje król!“, dźwięki muzyki zmieszały się razem. Prezydent Zgromadzenia narodowego wykonał taką samą przysięgę, którą powtórzyli jednocześnie wszyscy deputowani. Następnie powstał Ludwik XVI i rzekł: „Ja, król

francuzów, przysięgam, że użyję całej władzy, przelanej na mnie przez ustawę konstytucyjną państwa, aby utrzymać konstytucyę, zatwierdzoną przez Zgromadzenie narodowe i przyjętą przeze mnie.“ Królowa, porwana zapalem, podniosła w górę Delfina i pokazując go ludowi, zawołała: „Oto mój syn; łączy się on równie z ogólnemi uczuciami!“ W tej chwili pochyliły się chorągwie i zabrzmiały okrzyki ludu: poddani wierzyli w szczerłość monarchy, monarcha w przywiązanie poddanych i szczęśliwy ten dzień zakończono hymnem dziękczynnym.

Uroczystości przymierza (federacyi) przeciągały się jeszcze czas jakiś; Paryż urządzał walki na kopje (joutes), iluminacye, tańce dla deputowanych z departamentów. Na tem samem miejscu, na którym przed rokiem wznosiła się Bastylla, wydano bal; kraty, kajdany, ruiny leżały porozrzucane tu i owdzie, a na drzwiach umieszczono napis, sprzeczny z dawniejszem przeznaczeniem tego przybytku: „Tu tańczą.“ „Tańczono istotnie z radością i ufnością — powiada jeden ze współczesnych — na tem samem miejscu, gdzie tyle wylano łez, gdzie tylokrotnie jęczały... odwaga, geniusz i niewinność, gdzie tak często tłumiono krzyki rozpaczy.“ Po ukończeniu tych uroczystości, dla uwiecznienia ich pamięci, odbito medal i każdy ze sprzymierzonych powrócił do swego departamentu.

Federacya zawiesiła tylko wrogie usposobienia stronnictw. Rozpoczęto na nowo małe intrygi zarówno w Zgromadzeniu, jak i na zewnątrz. Księżę Orleański powrócił już był ze swej misyi, czyli raczej, mówiąc dokładnie, ze swego wygnania. W Châtelecie prowadzono śledztwo o zajęciach z d. 5 i 6 października, których sprawcami mieli jakoby być księżę Orleański i Mirabeau. Badanie to, odroczone chwilowo, wznowiono obecnie. Dwór dowiódł znów swej nieprzezorności przez tę napaść, gdyż należało albo dowieść oskarżenia, albo go nie wszczynać. Zgromadzenie zdecydowane wydać winnych, jeśliby się znaleźli, oświadczyło, że przesładowanie nie było tu na miejscu; Mirabeau po piorunującym wystąpieniu przeciw tej procedurze, zmusił

prawicę do milczenia i obalił z tryumfem skargę, wniesioną po prostu dla postraszenia go.

Zaatakowano jednakże nietylko kilku deputowanych, ale nawet całe Zgromadzenie. Dwór intrygował przeciwko niemu; prawica popychała je do przesady, „Lubimy jego dekreta — mówił ksiądz Maury — potrzeba nam ich jeszcze trzy lub cztery.“ Płatni paszkwilarze kazali rozprzedawać u drzwi Zgromadzenia pisma, wymierzone na pozabawienie go szacunku u ludu; ministrowie ganili i tamowali jego pochód; Necker, prześladowany ustawicznie wspomnieniem dawnej swej ważności, zwracał się do niego z memoryalami, w których zbijał jego dekreta i udzielał mu swych rad. Minister ten nie mógł się pogodzić z rolą drugorzędną, nie chciał iść w ślad za rzutkami planami Zgromadzenia, całkiem przeciwnymi jego pojęciom o reformach, mających stopniowo następować po sobie. Nareszcie przekonany, czy też znużony bezużytecznością swych usiłowań, opuścił Paryż, złożyłwszy urządowanie dnia 4 września 1790 r.; przejechał on niezauważony przez prowincye, które przed czternastu miesiącami przebywał jako tryumfator. W rewolucyi ludzie bywają łatwo zapominani, ponieważ narody widzą ich wielu, a żyją pospiesznie. Chcąc, aby nie były niewdzięczne, nie można ani na chwilę przestać służyć im — według ich upodobania.

Z drugiej strony szlachta, mająca nowy powód do niezadowolenia w zniesieniu tytułów, nie ustawała w działaniach przeciwrewolucyjnych. Ponieważ nie udało się jej podburzyć ludu, który ze swego stanowiska uważał nowe zmiany za bardzo korzystne, uciekła się do innego środka, uważając go za pewniejszy: opuściła królestwo z zamiarem powrócenia następnie, wplątawszy Europę w swój zatarg. Lecz zanim emigracya zdążyła się zorganizować i wyszukać nieprzyjaciół obcych dla Rewolucyi, nie przestawano tymczasem podniecać wewnątrz królestwa. Wojska od niejakiego czasu, o czem wyżej wzmiankowaliśmy, buntowane były rozmaitymi sposobami. Nowy kodeks wojskowy przychylny był dla żołnierzy: stopnie, otrzymywane przedtem przez

szlachtę, przyznawał według starszeństwa. Większa część oficerów była przywiązana do rządu obalonogo, z czem się wcale nie kryła. Zmuszeni do złożenia przysięgi na wierność *narodowi, prawu i królowi*, która stała się wspólną, jedni opuszczali armię i zwiększali szeregi emigracyi, drudzy starali się zjednywać żołnierzy dla swego stronnictwa.

Generał, margrabia de Bouillé, należał do liczby tych ostatnich; długo odmawiał złożenia przysięgi obywatelskiej, nareszcie wykonał ją w tym zamiarze. Miał pod swem wodzstwem zastępy dość znaczne; stał w pobliżu granicy północnej; zręczny, odważny, przywiązany do króla, niechętny rewolucyi takiej, jaką się stała, chociaż zwolennik pewnych reform, co go nawet podało w podejrzenie w Koblency, utrzymywał swą armię zdala od obywateli, aby pozostała wierną i nieprzesiąkłą duchem tej niekarności, którą oni udzielali wojsku. Umiał również względnem postępowaniem i wyniosłością wielkiego charakteru zachować ufność i przywiązanie żołnierzy. Nie wszędzie tak się działo. Oficerowie byli przedmiotem powszechnego rozkiełznania; oskarżono ich o zmniejszenie żołdu i niezdawanie rachunków z sum wojskowych; przymieszały się do tego przekonania. Wszystkie te powody w połączeniu wywołały bunt ze strony żołnierzy. Rozruch w Nancy, w sierpniu 1790 r., wzniecił żywe obawy i stał się prawie hasłem do wojny domowej. Trzy pułki: Chateaux-Vieux, Maistre de Camp i Królewski powstały przeciw swym wodzom. Bouillé otrzymał rozkaz wyruszenia przeciwko nim, co też uczynił na czele garnizonu i gwardyj narodowych z Metz. Po dość żwawej utarczce zmusił ich do poddania się. Zgromadzenie powinshawoło mu, ale Paryż, który w żołnierzach widział patryotów, a w generale Bouillé spiskowca, był wzburzony tą wiadomością. Potworzyły się zbiegowiska i żądano zaskarżenia tych ministrów, którzy wydali rozkaz wymarszu generałowi do Nancy. Jednakże Lafayette zdołał rozproszyć malkontentów, popierany przez Zgromadzenie, które, stanawszy pomiędzy kontrrewolucją i anarchią, broniło się od jednej i od drugiej z wysoką mądrością i wielką odwagą.

Przeciwnicy Rewolucyi tryumfowali na widok trudności, które nabawiały kłopotów Zgromadzenie narodowe. Według nich, powinno ono było poddać się władzy tłumy, lub też pozbawić się jego podpory; tak w jednym, jak w drugim wypadku przejście do dawnego porządku rzeczy wydawało się im krótkiem i łatwem. Duchowieństwo robiło, co mogło, ze swej strony: ale pomimo stawianych wszelkiego rodzaju przeszkód, sprzedaż dóbr duchownych postępowała, nawet za cenę wyższą, niż oznaczono. Lud, zwolniony z dziesięcin i uspokojony co do długu narodowego, nie podzielał bynajmniej uczuć biskupów. Ci zatem zaczęli posługiwać się ustawą cywilną kleru dla wywołania odszczepiństwa. Dekret Zgromadzenia, jak widzieliśmy, nie dotykał ani ustroju, ani wierzeń Kościoła. Król zatwierdził go 26 grudnia; biskupi, którzy uważali tę uchwałę za niekorzystną dla swoich interesów, oraz za przeciwną regułom kościoła, ogłosili, że naruszyła ona władzę duchowną. Papież, zagadnięty w tej kwestyi, która miała osłabić powagę Stolicy świętej we Francyi, odmówił swego przyzwolenia, pomimo usilnych nalegań króla, przez co podtrzymał opozycję biskupów. Oświadczyli też oni, że wcale nie przyłożą ręki do wprowadzenia ustawy cywilnej, że ci z pomiędzy nich, którzy zostaną usunięci, zaprotestują przeciw temu niekanonicznemu aktowi, że wszelkie ustanowione biskupstwa, dokonane bez współdziałania papieża, będą nieważne i że arcybiskupi odmówią zainstalowania biskupów, mianowanych według form cywilnych.

Zgromadzenie, pragnąc zniweczyć tę ligę, wzmocniło ją. Gdyby było tych księży odszczepionych pozostawiło samym sobie, pomimo chęci nie byłiby oni znaleźli żywiołu dla wojny religijnej. Ale Zgromadzenie orzekło, że duchowni powinni wykonać przysięgę na wierność *narodowi, prawu i królowi*, oraz na utrzymanie ustawy cywilnej kleru. Odmowa tej przysięgi miała pociągnąć za sobą zastąpienie biskupów oraz proboszczów innymi. Zgromadzenie miało nadzieję, że wyższe duchowieństwo przez interes, niższe — przez ambicję przystanie na to. Przeciwnie zaś biskupi

sądzi, że cały kler pójdzie za ich przykładem i że odrzucając przysięgę, pozostawia państwo bez kultu, a lud bez księży. Tymczasem nie spełniły się życzenia ani jednej, ani drugiej strony. Przeważna liczba biskupów i proboszczów ze Zgromadzenia odmówiła przysięgi, ale kilku biskupów oraz proboszczów złożyło ją. Księża oporni zostali złożeni z urzędów, a wyborcy mianowali na ich miejsca zastępców, którzy otrzymali zatwierdzenie kanoniczne od biskupów z Auton i Lidy. Lecz duchowni usunięci nie chcieli opuścić swych obowiązków i ogłosili następców za intruzów, sakramenty przez nich udzielane — za nieważne, a chrześcian, którzyby się nie obawiali uznawać ich, za wyklętych. Nie wynieśli się wcale ze swych diecezji i porozysłały listy pasterskie, podniecające do nieposłuszeństwa prawu. Tym to sposobem sprawa interesu własnego i organizacji stała się najprzód sprawą religijną, a następnie sprawą stronnictwa. Były więc dwa duchowieństwa: jedno konstytucyjne, drugie odporne; oba miały swoich stronników i uważały się nawzajem za buntownicze lub heretyckie. Religia stała się, stosownie do namiętności i potrzeb, narzędziem albo przeszkodą; a kiedy księża tworzyli fanatyków, rewolucyoniści — niedowiarków. Lud, który dotychczas nie był jeszcze zarażony tem złem klas wyższych, stracił obecnie, zwłaszcza w miastach, wiarę swych ojców z powodu nierozsądku tych, co go postawili pomiędzy rewolucją i wiarą. „Biskupi — powiada margrabia de Ferrières — wolni od wszelkiej nagany, odmówili przystąpienia do jakichkolwiek układów i przez swe występne intrygi zamknęli całkiem drogę do zgody, poświęcając religię katolicką szalonemu oporowi i godnemu potępienia przywiązaniu do swych bogactw.“

Wszystkie stronnictwa ubiegały się o lud; schlebiano mu jako ówczesnemu władcy. Po próbach oddziaływania nań przez religię, użyto innego środka, wszechmocnego naówczas — klubów. Kluby w tej epoce były to zgromadzenia prywatne, w których rozprawiano o przedsięwzięciach rządu, o sprawach państwa i o dekretach Zgromadzenia; roz-

prawy takie nie miały żadnej wagi, ale też nie były bez wpływu. Pierwszy klub zawdzięczał swój początek deputowanym bretońskim, którzy już w Wersalu gromadzili się na obrady co do swych postanowień. Kiedy reprezentacja narodowa przeniosła się z Wersalu do Paryża, deputowani bretońscy i podobnie myślący deputowani ze Zgromadzenia zbierali się na posiedzenia w dawnym klasztorze Jakobińców, który ich stowarzyszeniu nadał swą nazwę. Nie przedstawiało ono być zrazu zgromadzeniem przygotowawczym; ale ponieważ wszystko, co istnieje, rozprzestrzenia się, więc i klub Jakobińców nie zadowolił się swoim wpływem na Zgromadzenie; chciał jeszcze oddziaływać na municypalność i na lud, przyjął zatem do stowarzyszonych — członków gminy i zwykłych obywateli. Organizacja jego stała się rozleglejszą, działalność silniejszą; obrady jego były regularnie ogłaszane w dziennikach, zakładał filie w prowincjach i postawił obok władzy legalnej inną, która udzielała tylko tamtej rad, a w końcu niemal kierowała nią.

Gdy klub Jakobińców stracił swój pierwotny charakter i stał się zgromadzeniem ludowym, część założycieli opuściła go. Zawiazali oni stowarzyszenie pod nazwą „Klubu 89-ciu.“ Siéyes, Chapelier, Lafayette, Laroche foucauld kierowali nim tak, jak Lamethowie i Barnave klubem Jakobińców. Mirabeau należał do jednego i drugiego, będąc dla obu zarówno pożądanym. Kluby te, z których jeden panował nad Zgromadzeniem, a drugi nad ludem, były zwolennikami nowego porządku rzeczy, chociaż w różnych stopniach. Stronnictwo arystokratyczne chciało nacierać na Rewolucję jej własną bronią; zatem potwierało kluby rojalistyczne, aby je przeciwstawić ludowym. Pierwszy, który powstał pod nazwą „Bezstronnych“ (des Impartiaux), nie mógł się utrzymać, ponieważ nie wyrażał żadnej opinii. Ukazawszy się następnie pod nazwą „Klubu monarchicznego“, miał wśród członków wszystkich tych, których pragnienia przedstawiał. Pragnąc sobie pozyskać lud, rozdawał mu chleb; ale lud nie tylko nie przyjmował darów, lecz nadto uważał je za podstęp przeciwrewolucyjny; niepokoił więc

jego posiedzenia i zmusił go do kilkakrotnej zmiany miejsca zebrań. Nareszcie władza municypalna ujrzała się zmuszoną w styczniu 1791 r. zamknąć ten klub, dający powód do częstych zaburzeń.

Nieufność popólstwa była niesłychana; odjazd ciotek królewskich, którego doniosłość przesadzano, powiększył niepokój i zbudził podejrzenie, że przygotowywano inny odjazd. Co prawda, posądzenia nie były bezzasadne i spowodowały pewien rozruch, z którego przeciwwolucyoniści chcieli skorzystać, aby króla wywieźć. Projekt ich upadł skutkiem energii i zręczności Lafayette'a. Podczas kiedy tłum podążył do Vincennes dla obalenia wieżycy zamkowej, połączonej według niego z Tuilieriami i mającej ułatwić królowi ucieczkę, przeszło sześćset osób uzbrojonych wtargnęło do Tuilierów z zamiarem uprowadzenia króla. Lafayette, który się udał do Vincennes na czele gwardyi narodowej dla rozproszenia tłumu, rozpedziwszy zbiegowisko ludowe, rozbroił następnie zebranych w zamku przeciwwolucyonistów. Ta druga wyprawa powróciła mu zaurazaniem, które mógł być utracić przez pierwszą.

Po tej próbie jeszcze bardziej obawiano się ucieczki Ludwika XVI. To też gdy wkrótce potem chciał udać się do Saint-Cloud, nie puścił go tłum i jego własna gwardya, pomimo usiłowań Lafayette'a, któremu bardzo chodziło o uszanowanie praw i wolności monarchy. Zgromadzenie ze swej strony, po uchwaleniu nietykalności władcy, po uregulowaniu jego gwardyi konstytucyjnej, po przyznaniu regencyi najbliższemu spadkobiercy korony płci męskiej, oznajmiło, że ucieczka króla za granicę pociągnie za sobą jego detronizację. Zdwojenie się emigracyi, jej projekty jasno zaznaczone, groźna postawa gabinetów europejskich — wszystko to wystarczało do zbudzenia obaw, aby król nie powziął podobnego kroku.

Wtedy to po raz pierwszy Zgromadzenie pomyślało o powstrzymaniu postępów emigracyi za pomocą dekretu; ale taki dekret był trudnym. Karząc tych, którzy opuszczali raj, pogwałconoby zasady wolności, uświęcone w deklaracji

cyi praw; gdyby znów nie postawiono tamy wychodźtwa, narażonoby bezpieczeństwo Francyi, którą szlachta porzuciła chwilowo, aby nią potem zawładnąć. W Zgromadzeniu, po za tymi, którzy jej sprzyjali, jedni oglądali się wyłącznie na prawo, drudzy na niebezpieczeństwo i według swego widzenia rzeczy każdy się oświadczał za lub przeciw zakazowi. Ci, którzy go wymagali, pragnęli, aby był łagodnym; w danej chwili nie był on stosownym, lecz na szczęście Zgromadzenie cofnęło się przed nim. Ustawa ta na samowolne oświadczenie komitetu, złożonego z trzech członków, groziła zbiegowi wyrokiem śmierci cywilnej i konfiskatą majątku. „Szmer, jaki dał się słyszeć podczas czytania tego projektu — zawołał Mirabeau — dowodzi, takie prawo godnem jest pomieszczenia w kodeksie Drakona i że nie będzie figurowało pomiędzy uchwałami Zgromadzenia narodowego Francyi. Oznajmiam, że uważałbym się za zwolnionego z wszelkiej przysięgi wierności względem tych, którzyby się okryli hańbą mianowania komisyi dyktatorskiej. Popularność, o którą się ubiegam i którą miałem zaszczyt pozyskać, nie jest wątlą trzcina; chcę ją zakorzenieć w ziemi na podstawach sprawiedliwości i wolności.“ Położenie zewnętrzne nie było jeszcze tak dalece zatrzważającym, aby można było stosować podobne środki bezpieczeństwa i obrony rewolucyjnej.

Mirabeau niedługo cieszył się popularnością, której był tak pewnym. Posiedzenie to było dla niego ostatniem; wkrótce potem zakończył swój żywot, sterany namiętnościami i pracą. Śmierć zaskoczyła go 2 marca 1791 r., a wydała się kłęską publiczną; cały Paryż wziął udział w obchodzie pogrzebowym, Francya przywdziała po nim żałobę, a zwłoki jego złożono w miejscu przeznaczonem dla wielkich ludzi w imieniu wdzięcznej ojczyzny. Nie miał on wcale następcy w potęgze i popularności, a po jego śmierci, podczas trudnych rozpraw, wzrok członków Zgromadzenia zwracał się wciąż jeszcze ku temu siedzeniu, skąd dawały się słyszeć jego wszechwładne słowa, rozstrzygające wszelkie spory. Mirabeau, który swą odwagą poparł Rewolucyę w cza-

sach ciężkiej próby, a potęgą rozumu podczas jej zwycięstwa, umarł w samą porę. Roztaczał on w swej głowie szerokie plany: chciał utrwalić tron i wzmocnić Rewolucję — dwie rzeczy nader trudne na ową epokę. Można się było obawiać, aby władza królewska, gdyby ją był uczynił niezależną, nie zapragnęła zawładnąć Rewolucją, lub też, gdyby jej się to nie powiodło, aby Rewolucya nie obaliła władzy królewskiej. Być może, iż niepodobieństwem jest nawrócić dawną władzę do nowego porządku; być też może, że rewolucya dla uprawnienia się potrzebuje dłuższej ciągłości, tron zaś dla wzniesienia się — wejścia w bliższe stosunki z nowymi instytucjami.

Od 5 i 6 października 1789 r. do kwietnia 1791 roku Zgromadzenie narodowe uzupełniło reorganizację Francji; dwór oddawał się małym intrygom i projektom ucieczki; klasy uprzywilejowane szukały nowych środków władzy, ponieważ te, które dawniej posiadały, zostały już kolejno odebrane. Posługiwały się one wszelkimi sposobnościami zamętu, których im warunki dostarczały, aby napastować nowy ustrój i odbudowywać dawny przy pomocy anarchii. Z chwilą powrotu parlamentów, szlachta zaprotestowała przeciw izbom wakacyjnym (chambres de vacations); po zniesieniu prowincyj zaprotestowała przeciw stanom (ordres); po utworzeniu departamentów, próbowała nowych wyborów; po upływie dawnych mandatów, zażądała rozwiązania Zgromadzenia; po uchwaleniu nowego kodeksu wojskowego, wywołała zdradę oficerów; ponieważ wszystkie te środki opozycyjne nie doprowadziły jej do celu zabiegów, wyemigrowała w nadziei poruszenia Europy przeciw Rewolucji. Ze swej strony znów duchowieństwo, podrażnione utratą dóbr, równie jak i statutem kościelnym, usiłowało zniszczyć nowy porządek za pomocą rozruchów, a rozruchy sprowadzić za pomocą odszczepieństwa. W tej to epoce coraz bardziej rozdzielały się obozy — i w tej też epoce obie klasy nieprzyjazne Rewolucji przygotowały materiał do wojny domowej i zewnętrznej.

ROZDZIAŁ IV.

Od kwietnia 1719 r. do 30 września, kresu Konstytuanty.

Polityka Europy przed Rewolucją francuską; system związkowy, przyjęty przez rozmaite państwa. — Koalicja powszechna przeciw Rewolucyi; pobudki każdego mocarstwa. — Konferencya i deklaracya w Mantui. — Ucieczka z Varennes; aresztowanie króla; zawieszenie jego władzy. — Stronictwo republikańskie odłącza się po raz pierwszy od konstytucyjno-monarchicznego. — To ostatnie przywraca króla. — Deklaracya Pilnicka. — Król przyjmuje konstytucyę. — Koniec Konstytuanty; sąd o niej.

Rewolucya francuska zmieniła politykę Europy; zakończyła ona walkę królów pomiędzy sobą, a rozpoczęła walkę królów z narodami. Ta ostatnia nastąpiłaby o wiele później, gdyby sami panujący nie byli jej wywołali. Chcieli oni powściągnąć rewolucyę, tymczasem rozszerzyli ją; nacierając bowiem na nią, uczynili ją zwyciężką. Europa stała wówczas u kresu systemu politycznego, który nią dotąd rządził. Istnienie rozmaitych państw, nawskróś wewnętrzne pod rządem feudalnym, stało się bardziej zewnętrznem pod rządem monarchicznym. Pierwsza epoka skończyła się prawie jednocześnie dla wielkich narodów Europy. Wtedy to królowie, którzy tak długo prowadzili wojnę ze swymi wasalami, pozostając z nimi w zetknięciu, zaczęli się spotykać z sobą na granicach państw swoich i walczyć. Ponieważ żadne panowanie nie mogło się stać powszechnem — ani Karola V, ani Ludwika XIV, gdyż zawsze słabi sprzymierzali się dla poniżenia silniejszych, więc po rozmaitych zmiennych kolejach przewagi i związków utrzy-

mał się pewien rodzaj równowagi europejskiej. Poznanie, jaką ona była przed Rewolucją, jest niezbędne dla lepszego ocenienia wypadków późniejszych.

Austria, Anglia i Francya od pokoju westfalskiego do połowy XVIII stulecia były trzema wielkimi potęgami w Europie. Interes połączył dwie pierwsze przeciwko trzeciej. Austria obawiała się Francyi w Niderlandach; Anglia obawiała się jej na morzu. Współzawodnictwo o panowanie lub handel wywoływało nieraz starcia pomiędzy nimi; usiłowały one osłabić się lub ograbić. Hiszpania, od czasu gdy na jej tronie zasiadł książę z krwi Bourbonów, pozostawała w przymierzu z Francją przeciwko Anglii. Zresztą było to mocarstwo upadłe: położone w zakęcie łądu stałego, uginające się pod systemem Filipa II, pozbawione przez układ rodzinny jedyne go nieprzyjaciela, który mógł je utrzymać w ruchu, zachowało tylko na morzu trochę swego dawnego zwierzchnictwa. Ale Francya miała innych sprzymierzeńców — że tak powiemy — na wszystkich bokach Austrii: na północy Szwecyę, na wschodzie — Polskę i Portę, na południu Niemiec — Bawaryę, na zachodzie — Prusy, a we Włoszech — królestwo Neapolitańskie. Państwa te, obawiające się zaborów ze strony Austrii, musiały się stać naturalnie sprzymierzeńcami jej nieprzyjaciółki. Piemont, położony pomiędzy dwoma systemami związkowymi, był raz po stronie jednej, to znów drugiej, stosownie do okoliczności i własnych interesów. Holandya łączyła się na przemian z Anglią lub Francją, według tego, czy stronnictwo statudera, czy też ludowe panowało w rzeczypospolitej. Szwajcarya była neutralną.

W drugiej połowie wieku XVIII-go dwa mocarstwa wzrosły na północy — Prusy i Rosya. Prusy z prostego elektoratu zamieniły się na silne królestwo dzięki Fryderykowi Wilhelmu, który mu dał skarb i armię, oraz dzięki jego synowi Fryderykowi Wielkiemu, który użył tych dwóch środków do rozszerzenia swego terytorium. Rosya, pozostająca przez długi czas po za obrębem stosunków z innemi państwami, została dopiero wprowadzona do poli

tyki europejskiej przez Piotra I i Katarzynę II. Wystąpienie tych dwu mocarstw zmieniło dawne sojusze. W porozumieniu z gabinetem wiedeńskim, Rosya i Prusy dokonały pierwszego rozbioru Polski 1772 r., a po śmierci Fryderyka Wielkiego cesarzowa Katarzyna i cesarz Józef połączyli się w 1786 roku dla przeprowadzenia podziału Turcyi europejskiej.

Gabinet wersalski, osłabiony nierozważną i nieszczęśliwą wojną Siedmioletnią, nie przeszkadzał rozbiorowi Polski, patrzył na gotujący się upadek państwa otomańskiego bez oporu i pozwolił na rozpadnięcie się sprzymierzonego z nim stronnictwa republikańskiego w Holandyi pod ciosami Prus i Anglii. One to 1787 r. przywróciły za pomocą oręża statuderat dziedziczny w Prowincyach Zjednoczonych. Jedynym czynem, przynoszącym zaszczyt polityce francuskiej, było szczęśliwe poparcie niepodległości Ameryki północnej. Rewolucya z 1789 r., rozszerzając wpływ moralny Francyi, zmniejszyła jeszcze bardziej jej wpływ dyplomatyczny.

Anglia, rządzona podówczas przez młodszego Pitta, zatrwożyła się w 1788 roku ambitnymi projektami Rosyi. Chcąc je przeciąć, połączyła się z Prusami i Holandją. Kroki nieprzyjacielskie miały już być rozpoczęte, gdy zmarł cesarz Józef w lutym 1790 r. i zastąpiony został przez Leopolda II, który przyjął w lipcu konwencyę Reichenbachską. Konwencya ta, za pośrednictwem Anglii, Prus i Holandyi, założyła podwaliny pokoju między Austryą i Turcyą, podpisanego ostatecznie w Sistowie d. 4 sierpnia 1791 roku, a jednocześnie wpłynęła na uspokojenie zamieszek w Niderlandach. Katarzyna II, nagłona przez Anglię i Prusy, zawarła również pokój z Portą w Jassach 29 grudnia 1791 roku. Te układy i traktaty z nich wypływające zakończyły walki polityczne XVIII stulecia i pozostawiły mocarstwom swobodę zajęcia się Rewolucyą francuską.

Władcy europejscy, którzy dotychczas nie mieli innych nieprzyjaciół oprócz siebie samych, ujrzeni w Rewolucyi nieprzyjaciela wspólnego. Dawne stosunki wojenne lub

sojuszowe, zapoznane już podczas wojny Siedmioletniej, przerwały się całkiem obecnie: Szwecya złączyła się z Rosyą, Prusy z Austryą. Pozostali tylko po jednej stronie królowie, a po drugiej naród, oczekujący pomocy innych, którychby pociągnął jego przykład lub popchnęły błędy monarchów. Wkrótce utworzyła się koalicya powszechna przeciw Rewolucyi francuskiej: Austrya przystąpiła do niej w nadziei powiększenia się, Anglia—w nadziei pomszczenia wojny amerykańskiej i zabezpieczenia się od ducha rewolucyjnego, Prusy — dla wzmocnienia zagrożonej władzy absolutnej i rozszerzenia się, oraz dla zajęcia bezczynnej armii, Rzesza Niemiecka — aby powrócić niektórym ze swych członków prawa feudalne, których pozbawieni zostali przez obalenie tego systemu w Alzacyi; król szwedzki, jako rycerz samowoli — dla wskrzeszenia jej we Francyi, jak to uczynił we własnym kraju; Rosya — aby korzystając z odwróconej uwagi Europy, dokończyć bez przeszkód podziału Polski; nareszcie wszyscy panujący z rodziny Bourbonów—zarówno w interesie władzy, jak z przywiązania familijnego. Emigranci pochwalali te projekty i zachęcali do najazdu. Według nich, Francya była bez wojska, a przynajmniej bez wodzów, ogolocona z pieniędzy, wydana na pastwę nieładu, znużona Zgromadzeniem, skłaniająca się do dawnego ustroju i niemająca ani środków, ani chęci do obrony. Napływali oni tłumnie, aby wziąć udział w tej krótkiej wyprawie; tworzyli oddziały organizowane pod księciem de Condé w Worms i pod hrabią d'Artois w Kolblencyi.

Hrabia d'Artois szczególnie przyspieszał decyzję gabinetów. Cesarz Leopold bawił we Włoszech; hrabia d'Artois przeniósł się do niego z Calonne, który pełnił przy nim obowiązki ministra, oraz z hrabią Alfonsem de Durfort, który był jego pośrednikiem na dworze Tuileryjskim, skąd przywiózł mu upoważnienie królewskie do traktowania z Leopoldem. Konferencya odbyła się w Mantui, a hrabia de Durfort zakomunikował Ludwikowi XVI oświadczenie tajne w imieniu cesarza, zapowiadające szybką pomoc koa-

licy. Austria miała wystąpić w trzydzieści pięć tysięcy ludzi na granicę Flandryi, Rzesza — w piętnaście tysięcy na granicę Alzacyi, Szwajcarya — w piętnaście tysięcy na granicy Lyonnais, król sardyński — w piętnaście tysięcy na granicy Delfinatu; Hiszpania miała podnieść do dwudziestu tysięcy swą armię w Katalonii; Prusy były dobrze usposobione dla koalicyi; król angielski przyrzekł też w niej wziąć udział, jako elektor hanowerski. Wszystkie te wojska miały ruszyć jednocześnie w końcu lipca: wtedy dom Bourbonów wydałby protest, a mocarstwa ogłosiłyby manifest; ale aż do tej chwili należało utrzymać ten zamiar w tajemnicy i unikać wszelkiego cząstkowego powstania i wszelkich usiłowań ucieczki. Taki był rezultat konferencyi w Mantui z dnia 20 maja 1791 r.

Bądź to, że Ludwik XVI nie chciał się całkiem zdać na łaskę zagranicy, bądź że się obawiał przewagi, jaką hrabia d'Artois po powrocie na czele zwyciężkiej emigracyi mógł być wywierać na rząd przywrócony jego staraniem, dość, że wolał sam przez się dźwignąć monarchię. Miał on w generale margrabi de Bouillé stronnika całkiem sobie oddanego i zręcznego, który potępiał zarówno emigracyę, jak i Zgromadzenie i który mu obiecywał schronienie i poparcie w swej armii. Od niejakiego czasu związała się pomiędzy nim a królem korespondencya sekretua: Bouillé przygotował wszystko do przyjęcia króla. Biorąc za pozór ruchy wojsk nieprzyjacielskich na granicy, założył obóz w Montmédy; po drodze, którą król miał przebyć, poumieścił oddziały, aby go eskortowały; a ponieważ rozporządzenia te trzeba było upozorować, więc puścił pogłoskę, że czyni je dla zabezpieczenia kasy przeznaczonej na wypłaty wojsku.

Ze swej strony rodzina królewska czyniła w sekrecie wszelkie przygotowania do odjazdu; mało osób wiedziało o nim; nie zdradzono się niczem. Przeciwnie, Ludwik XVI i królowa robili wszystko, co mogli, aby odwrócić podejrzenie i 20 czerwca w nocy o umówionej godzinie opuścili zamek każde z osobna i w przebraniu. Uszli przed czujnością

straży, udali się na bulwar, gdzie na nich oczekiwiał powóz i odjechali w kierunku Chalons i Montmédy.

Nazajutrz, na wieść o tej ucieczce, Paryż zrazu osłupiał; wkrótce jednak oburzenie wzięło górę; tworzyły się grupy, zgielek wzrastał. Ci, którzy ucieczce nie przeszkadzili, zostali obwinieni o sprzyjanie jej; nieufność nie oszczędziła ani Lafayette'a, ani Baillégo. Upatrywano w tym wypadku najazd na Francję, tryumf emigracyi, powrót dawnego rządu lub też zapowiedź długiej wojny domowej. Ale Zgromadzenie postępowaniem swem przywróciło wkrótce spokój i otuchę umysłom. Przedsięwzięło ono wszystkie kroki, jakich wymagały tak trudne okoliczności; wezwało przed swe kratki ministrów i głównych przedstawicieli władzy, ułagodziło lud wydaniem proklamacyi, kazało zachować ostrożności niezbędne do utrzymania spokoju publicznego, przywłaszczyło sobie władzę wykonawczą, poleciło ministrowi spraw zagranicznych, Montmorinowi, aby zawiadomił mocarstwa europejskie o jego pokojowych zamiarach, wysłało komisarzów do wojsk dla zapewnienia się o ich wierności i odebrania przysięgi, nie już w imieniu króla, lecz w jego własnem; nakoniec rozkazało departamentom aresztować każdego, ktoby chciał opuścić królestwo. „I tak, w ciągu niespełna czterech godzin — mówi margrabia de Ferrières — Zgromadzenie ujrzało się w posiadaniu wszelkiego rodzaju władzy; rząd nie był wstrzymany, bezpieczeństwo publiczne nie doznało najmniejszego wstrząśnienia; zarówno Paryż jak Francya dowiedziały się z tego doświadczenia, tak zgubnego w następstwie dla władzy królewskiej, że prawie zawsze monarcha jest obcy dla rządu, który istnieje pod jego imieniem.“

Jednak Ludwik XVI i jego rodzina zbliżali się do kresu swej podróży. Powodzenie pierwszych dni, oddalenie od Paryża uczyniły króla mniej ostrożnym i bardziej ufny; popełnił tę nierozwagę, że się pokazał; poznano go i zatrzymano w Varennes dnia 21. W tejsze chwili wszystkie gwardye narodowe znalazły się w pogotowiu; oficerowie oddziałów rozstawionych przez generała Bouillé próbowali nada-

remnie oswobodzić króla; dragoni i huzarzy bali się, czy też nie chcieli udzielić im pomocy. Bouillé, zawiadomiony o tym fatalnym wypadku, nadbiegł na czele pułku kawalerji. Ale było już po niewczasie; przybył do Varennes w kilka godzin po odjeździe króla; szwadrony jego znużone nie chciały iść dalej. Gwardya narodowa była wszędzie pod bronią, pozostawało mu więc tylko opuścić armię i Francję po tak złym obrocie całego przedsięwzięcia.

Zgromadzenie, dowiedziawszy się o aresztowaniu króla, wysłało jako delegatów do towarzyszenia mu trzech swoich członków, Petiona, Latour-Mauburga i Barnave'a, którzy spotkawszy rodzinę królewską w Épernay, wrócili z nią. Podczas tej podróży Barnave, ujęty zdrowym rozsądkiem Ludwika XVI, uprzejmością Maryi Antoniny i losem całej rodziny królewskiej, tak poniżonej, okazywał jej najwyższe zajęcie. Od dnia tego wspierał ją radą i pomocą. Orszak, przybywszy do Paryża, przejeżdżał wśród nieprzeliczonego tłumu, w którym złowrogiemu milczenia nie mąciły ani oklaski, ani szemrania.

Władza króla była tymczasowo zawieszoną; dodano mu straż, zarówno jak i królowej; wyznaczono komisarzy do badania go. Wszystkie stronnictwa wrzały; jedne chciały utrzymać króla na tronie pomimo ucieczki, inne dowodziły, że król abdykował, potępiając w manifeście wydanym do francuzów na odjeździe i Rewolucję i akty pochodzące od niego w czasie tej epoki, którą nazywał okresem niewoli.

Stronnictwo republikańskie zaczynało się wtedy uwypatniać. Dotąd pozostawało albo w zależności, albo w ukryciu, ponieważ nie miało własnej egzystencji, czy też sposobności do wystąpienia. Walka, która zawiązała się była pomiędzy Zgromadzeniem i dworem, następnie pomiędzy konstytucjonistami a dawnymi uprzywilejowanymi, nareszcie pomiędzy samymi konstytucjonistami, miała się wszcząć obecnie pomiędzy konstytucjonistami a republikanami. Takim bywa w czasach rewolucji zwyczajny bieg rzeczy. Stronnicy porządku nowoustanowionego porozumiewali się

w tej epoce, wyrzekając się niezgód szkodliwych dla ich sprawy wówczas, kiedy Zgromadzenie było wszechmocnem, a niebezpiecznych z chwilą, gdy emigracya zaczynała grozić jej z jednej strony, a motłoch z drugiej. Mirabeau już nie żył; środek (centre), na którym opierał się ten wymowny trybun i który stanowił najmniej ambitną część Zgromadzenia, a najbardziej przywiązaną do zasad, mógł w połączeniu z Lamethami przywrócić Ludwika XVI z monarchią konstytucyjną i przeciwstawić się rozpasaniu ludowemu.

Związek ten dokonał się: Lamethowie porozumieli się z d'Andrém i głównymi członkami środka, połączyli się z dworem i otworzyli klub „Feuillantów“ (Bernardynów), przeciwstawiając go klubowi Jakobinów. Ale tym nie zabrakło wodzów: walczyli oni pod Mirabeau przeciw Mounierowi, pod Lamethami przeciw Mirabeau, a przeciw Lamethom pod Pétionem i Robespierrem. Stronnictwo, które żądało rewolucyi drugiej, podtrzymywało stale działaczy najbardziej krańcowych rewolucyi dokonanej, gdyż to był sposób przybliżenia walki i zwycięstwa. Nareszcie teraz z podległego stawało się niezależnem; już nie walczyło na korzyść cudzą i na rzecz obcej opinii, lecz dla siebie i pod własnym sztandarem. Dwór przez swe liczne błędy, przez niebaczne knowania i w końcu przez ucieczkę króla, ułatwił mu wyjawienie swego celu; Lamethowie, opuszczając, pozostawili je jego prawdziwym wodzom.

Lamethów spotkały też wyrzuty ze strony pospólstwa, które widziało tylko związek ich z dworem, a warunów nie badało. Ale podtrzymywani przez wszystkich konstytucjonistów, byli oni najsilniejsi w Zgromadzeniu, a zależało im wiele na tem, aby przywrócić jaknajprędzej króla dla przerwania sporów, które groziły nowemu porządkowi, upowazniając stronnictwo republikańskie do żądania detronizacyi, pokąd trwa zawieszenie władzy królewskiej. Komisarze, wyznaczeni do badania Ludwika XVI, sami mu podyktowali deklaracyę, którą w jego imieniu podali do Zgromadzenia, a która złagodziła złe wrażenie jego ucieczki. Referent oświadczył w imieniu siedmiu komitetów, upoważnio-

nych do rozpatrzenia tej wielkiej sprawy, że nie chodziło o oddanie pod sąd Ludwika XVI, ani o pozbawienie go tronu. Dyskusya, wywołana tym raportem, była długa i ożywiona; usiłowania stronnictwa republikańskiego, pomimo zaciętości swej, pozostały bez skutku. Większa część mówców jego zabierała głos i chcieli albo złożenia z tronu, albo regencyi, to jest rządu ludowego, lub też utworzenia mu drogi. Barnave po obaleniu wszystkich ich wniosków, zakończył swą mowę temi znakomitemi słowy:

„Odnowiciele państwa, postępujcie niezmiennie drogą raz wytkniętą. Wykazaliście, żeście mieli odwagę znieszyć nadużycia władzy; wykazaliście, żeście mieli wszystko, czego potrzeba, aby na właściwem miejscu postawić rozumne i szczęśliwe instytucye; dokażcie więc, że posiadacie mądrość zachowania i utrzymania ich. Naród dał wielki dowód siły i odwagi, zdobywszy się uroczyście i dobrowolnie na wszystko, czem mógł odeprzeć napady, które mu groziły. Zachowajcie dalej też same ostrożności; niech nasze kresy, nasze granice będą dzielnie bronione. Lecz z chwilą, w której objawiamy naszą potęgę, dowiedzmy również umiarkowania; ofiarujmy pokój światu, zaniepokojonemu wypadkami, jakie zaszły wśród nas; dajmy sposobność do tryumfu wszystkim tym, którzy w krajach zagranicznych zainteresowali się naszą Rewolucją! Oni do nas wołają ze wszech stron: Jesteście możni, bądźcież mądrzy i umiarkowani; to będzie szczytem waszej chwały; w ten sposób okażecie, że w różnych okolicznościach umiecie używać różnych talentów, środków i cnót.“

Zgromadzenie zgodziło się ze zdaniem Barnave'a. Ale dla uspokojenia ludu i dla zabezpieczenia na przyszłość Francyi, ogłosiło, że król byłby faktycznie złożył koronę, gdyby był odwołał przysięgę złożoną na konstytucyę, gdyby był stanął na czele wojska, aby wydać wojnę narodowi, lub gdyby zezwolił, aby kto inny wydał ją w jego imieniu; że wtedy, wracając do roli zwykłego obywatela, przestałby

być osobą nietykalną i mógłby być oskarżony za czyny, które by nastąpiły po jego abdykacyi.

W dniu, w którym Zgromadzenie ten dekret przyjęło, przywódcy stronnictwa republikańskiego podburzyli pospólstwo. Ponieważ miejsce posiedzeń otoczone było gwardyą narodową, Zgromadzenie nie mogło być ani napadnięte, ani niepokozone. Wichrzyciele, nie zdoławszy przeszkodzić dekretowi, zbuntowali lud przeciw niemu. Podali oni petycję, w której zaprzeczali kompetencyi Zgromadzeniu, odwoływali się do zwierzchnictwa ludu, uważali Ludwika XVI za straconego z tronu i żądali zastępcy. Petycję tę, napisaną przez Brissota, autora *Patryoty francuskiego* (*Patriote français*) i prezydenta komitetu śledczego miasta Paryża, zaniesiono 17 lipca na Pole Marsowe przed ołtarz ojczyzny: olbrzymi tłum podpisał ją. Na wieść o tem Zgromadzenie wezwowało do siebie municypalność i nakazało jej czuwać nad spokojem publicznym. Lafayette wystąpił przeciw zbiegowisku i udało mu się rozproszyć je za pierwszym razem bez rozlewu krwi. Urzędnicy municypalni zajęli gmach Inwalidów; ale tego samego dnia pospólstwo powróciło, silniejsze liczebnie i bardziej stanowcze. Danton i Kamil Desmoulin przemawiali do niego z ołtarza ojczyzny. Dwaj inwalidzi, posądzeni o szpiegostwo, zostali zamordowani, a głowy ich zatknięto na włóczniach. Powstanie rzuciło postrach. Lafayette udał się znów na Pole Marsowe, na czele tysiąca dwustu gwardzistów narodowych. Bailly, który mu towarzyszył, kazał rozwinąć czerwoną chorągiew. Wtedy zwrócono się do tłumu z wymaganem przez prawo wezwaniem do rozejścia się, ale on odmówił posłuszeństwa i nie chcąc uznać władzy, wołał: „Precz z czerwoną chorągwią!“, przy czem sygnął kamieniami na gwardyę narodową. Lafayette kazał wystrzelić, ale na wiatr; tłum niezatrwożony rozpoczął na nowo. Wówczas to przyparty zaciekłością powstańców, Lafayette rozkazał powtórnie dać ognia, który tym razem był rzeczywistym i morderczym. Przerażony tłum zaczął uciekać, zostawiając wiele trupów na polu przymierza. Zaburzenie ucichło, porządek został przywrócony; ale krew

popłynęła i lud nie przebaczył ani Lafayette'owi, ani Bailly'emu tej twardej konieczności, do której ich sam doprowadził. Była to rzeczywista bitwa, w której stronnictwo republikańskie, ani dość jeszcze silne, ani dość podtrzymywane, doznało porażki od stronnictwa monarchiczno-konstytucyjnego. Próba na Polu Marsowem była przedwstępem do ruchów ludowych, które skończyły się dnia 10 sierpnia.

Podczas gdy to się działo w Zgromadzeniu i w Paryżu, emigranci, których ucieczka Ludwika XVI napędziła nadzieją, zostali zatrwożeni aresztowaniem go. Monsieur, który umknął jednocześnie z bratem, ale był szczęśliwszy od niego, przybył sam do Brukselli z władzą i tytułem regenta. Od tej chwili emigranci nie myśleli już o niczem innym, tylko o pomocy europejskiej; oficerowie opuszczali swoje chorągwie; dwustu dziewięćdziesięciu członków Zgromadzenia zaprotestowało przeciw swoim dekretem, aby uprawnić najazd; Bouillé napisał list pełen groźby, w pełnej nadziei, że nim zastraszy Zgromadzenie, a jednocześnie wyznał, że on sam jest całkowicie odpowiedzialny za ucieczkę Ludwika XVI; nareszcie cesarz, król pruski i hrabia d'Artois zebrali się w Pilnic, gdzie ułożyli sławną deklarację z 27 sierpnia, która przygotowywała najazd na Francję i która zamiast polepszyć los króla, byłaby go bardziej skompromitowała, gdyby nie mądrość Zgromadzenia, prowadzącego w dalszym ciągu swe zamiary, mimo pogroźek motłochu i zagranicy.

W deklaracji pilnickiej panujący uważali sprawę Ludwika XVI za swoją własną. Wymagali, aby mu dozwolono udać się, gdzie mu się podoba, to jest do nich; aby mu przywrócono tron; aby Zgromadzenie zostało rozwiązane i aby książętom z cesarstwa, mającym posiadłości w Alzacy, pozostawiono ich prawa feodalne. W razie odmowy grozili oni Francji wojną z uczestnictwem wszystkich państw, które poręczyły egzystencję monarchii francuskiej. Deklaracja ta, zamiast pogłębić, oburzyła Zgromadzenie i lud. Pytano, jakim prawem monarchowie europejscy

mieszają się do naszego rządu; jakim prawem wydają rozkazy wielkiemu narodowi i narzucają mu swe warunki? A ponieważ panujący powoływali się na siłę, przysposabiają się do oporu. Granice postawiono na stopie obronnej, powołano sto tysięcy ludzi do gwardyi narodowej i oczekiwano z zupełną ufnością napadu nieprzyjaciela, z tą mocą przekonania, że naród francuski będzie niezwyciężonym w rewolucyi i u siebie.

Zgromadzenie doprowadzało swe prace do końca: stosunki cywilne, kontrybucye publiczne, istota przestępstw, ich poszukiwanie, badanie i kary były uregulowane, zarówno jak stosunki ogólne i konstytucyjne. Zaprowadzono równość spadków, podatków oraz kar, tak, że pozostawało tylko zebrać wszystkie dekrety konstytucyjne w jedną całość (corps), ażeby je przedstawić królowi do przyjęcia. Zgromadzenie zaczynało się nużyć swemi pracami i rozterkami; sam naród francuski, który się nudzi wszystkiem, co trwa długo, pragnął nowej reprezentacyi narodowej; naznaczono na 5 sierpnia wezwanie kolegów wyborczych. Na nieszczęście członkowie Zgromadzenia terażniejszego nie mogli wejść do składu następnego — tak postanowiono przed odjazdem do Varennes. W tej doniosłej kwestyi bezinteresowność jednych, współzawodnictwo drugich, zamysły wprowadzenia anarchii ze strony arystokratów, a opanowanie władzy ze strony republikanów, za daleko zaprowadziły Zgromadzenie. Nadaremnie powiedział Dupont: „Od czasu, jak nas przesycają zasadami, czemuż nie chcą się domysleć, że stałość jest także zasadą rządu? Czyliż pragną narazić Francję, która ma głowy tak zapalne i tak ruchliwe, aby co dwa lata patrzyła na rewolucyę praw i opinii?“ Tego właśnie chcieli uprzywilejowani i Jakobini, chociaż w celach odmiennych. We wszystkich podobnych sprawach Konstytuanta myliła się lub była opanowana: kiedy chodziło o ministerium, zdecydowała przeciw Mirabeau, że żaden z deputowanych nie powinien w niem zasiadać; kiedy chodziło o powtórne wybory, zdecydowała, przeciw swym własnym członkom, że nie powinni być powtórnie wybie-

rani: w tej samej myśli zabroniła im przyjmowania urzędów nadawanych przez monarchę, przed upływem lat czterech. Ta mania bezinteresowności skłoniła wkrótce Lafayette'a do złożenia naczelnego dowództwa gwardyi narodowej, a Baillego do złożenia urzędu w merostwie; to też ta pamiętna epoka zakończyła się całkowicie wraz z Konstytuanta i nie pozostało z niej nic pod ciałem prawodawczem.

Zebranie dekretów konstytucyjnych w jedną całość zrodziło ideę przejrzania ich. Ale zamiar tej rewizyi wywołał nadzwyczajne niezadowolenie i skończył się prawie na niczem; po niewczasie nie wypadało przerabiać konstytucyi na bardziej arystokratyczną, z obawy, aby pospólstwo nie zapragnęło mieć ją bardziej ludową. Aby ograniczyć zwierzchnictwo narodu, a jednocześnie zachować dla niego uznanie, Zgromadzenie oświadczyło, że Francya ma prawo przejrzeć swoją konstytucyę, ale że roztropniej będzie nie korzystać z tego prawa w ciągu trzydziestu lat.

Akt konstytucyjny przedstawiony został królowi przez sześćdziesięciu deputowanych; zawieszenie w urzędowaniu zdjęto z niego; Ludwik XVI powrócił do swej władzy, a gwardyę, którą mu prawo wyznaczyło, oddano pod jego rozkazy. Jako wolnemu tedy przedstawiono konstytucyę. Po kilku dniach rozpatrywania jej napisał do Zgromadzenia: „Przyjmuję konstytucyę; zobowiązuję się utrzymać ją wewnątrz, bronić jej przeciwko napaściom z zewnątrz i strzedz wykonywania jej za pomocą wszelkich środków, jakie w moc moją składa. Powiadomiony o tem, że większość narodu zgodziła się na konstytucyę, oznajmiam, iż zrzekam się udziału, którego się domagałem przy jej opracowaniu; a że tylko sam odpowiedzialny jestem przed narodem, nikt więc inny, skoro ja się zrzekam, niema prawa użalać się na to.“

List ten sprawił wielkie zadowolenie. Lafayette zażądał i otrzymał amnestyę dla tych, którzy byli prześladowani za wyjazd królewski lub za wykroczenia względem Rewolucyi. Nazajutrz król udał się osobiście do Zgromadzenia

dla przyjęcia konstytucyi. Tłum towarzyszył mu z oznakami radości; stał się on przedmiotem uwielbienia deputowanych i trybun, odzyskawszy dnia tego zaufanie i przywiązanie ludu. Wreszcie dzień 29 września oznaczono na zamknięcie Zgromadzenia. Król obecnym był na posiedzeniu, a mowę jego przerywano częstymi oklaskami. Rzeczł on: „Was, panowie, którzyście w długim i uciążliwym zawodzie okazali niezmierną gorliwość, czeka jeszcze jeden obowiązek do spełnienia, kiedy rozproszycie się po całym państwie, ten mianowicie, abyscie wyjaśnili waszym współobywatelom prawdziwe znaczenie praw, które dla nich wypracowaliście, przypominali je tym, którzy ich uznać nie zechcą, abyscie oczyścili i połączyli wszystkie opinie, dając z siebie przykład zamilowania porządku i uległości ustawom. (Tak, tak! — wykrzyknęli jednogłośnie wszyscy deputowani). Liczę na to, że będziecie tłumaczami moich uczuć pośród waszych współobywateli. (Tak, tak!). Zapewnijcie ich wszystkim o tem, że król zawsze będzie najpierwszym i najwierniejszym ich przyjacielem, że on potrzebuje być kochanym przez nich, że potrafi być szczęśliwym tylko z nimi i przez nich; nadzieja przyczynienia się do ich szczęścia podtrzymywać będzie moją odwagę, a osiągnięcie tego celu będzie najśladszą moją nagrodą.“ Tak tylko umiał mówić Henryk IV! — zawołał jakiś głos; i Ludwik XVI wyszedł wśród najżywszych oznak miłości.

Wtedy Thaurer wyrzekł donośnym głosem, zwracając się do ludu: „Konstytuanta oznajmia, że jej posłannictwo jest skończone i że w tej chwili zamyka swe posiedzenia.“ W taki to sposób zakończyło się to pierwsze rozgłosne Zgromadzenie narodowe. Było ono śmiałem, rozumem i sprawiedliwem, opanowane jedyną namiętnością — namiętnością prawodawczą. Po dwóch latach usiłowań i niezmiernie wytrwałości, dokonało największej rewolucyi, jaką kiedykolwiek oglądało jedno pokolenie śmiertelnych. Śród swych prac zgniotło despotyzm i anarchię, niwecząc spiski arystokracji i utrzymując w posłuszeństwie pospólstwo. Główny jego błąd tkwił w tem, że nie powierzyło kiero-

wnictwa Rewolucyi jej twórcom; złożyło władzę, jak owi prawodawcy w starożytności, którzy po ubezpieczeniu ojczyzny skazywali siebie samych na wygnanie z niej. Nowe Zgromadzenie nie troszczyło się zgola o utwierdzenie jego dzieła i rewolucya, którą należało zakończyć, rozpoczęła się na nowo.

Konstytucya 1791 r. ułożoną została według zasad, odpowiadających ideom i położeniu Francyi. Była ona dziełem klasy średniej, która wówczas była najsilniejszą, gdyż, jak wiadomo, siła przeważająca opanowywa zawsze instytucye. Jeżeli siła ta należy do jednostki, nazywa się despotyzmem; jeżeli do niektórych — staje się przywilejem; jeżeli do wszystkich — jest prawem: ten ostatni stan jest kresem społeczeństwa, zarówno jak i jego początkiem. Francya dobiła się do tego kresu, przeszedłszy przez feodalizm, który był instytucją arystokratyczną i przez władzę absolutną, która była instytucją monarchiczną. Równość została uświęconą pomiędzy obywatelami, a we władzach uznano przedstawicielstwo; takie miały być w nowym ustroju stanowiska ludzi i forma rządu.

Według tej konstytucyi, lud był źródłem wszelkiej władzy, ale sam nie sprawował żadnej; do niego należały tylko wybory pierwszego stopnia (primaires), urzędnicy zaś jego obierani byli przez ludzi z klasy oświeconej. Ona to składała Zgromadzenie, trybunały, administracye, municipalności, milicye i tym sposobem dzierżyła całą siłę i całą władzę państwa. Ona podówczas była jedynie zdolną do tego, ponieważ sama tylko posiadała rozum, którego wymaga ster rządów. Lud nie posunął się jeszcze o tyle naprzód, ażeby mógł uczestniczyć we władzy: to też tylko wypadkowo i sposobem przejściowym wpadła ona w jego ręce; ale odbierał on wykształcenie obywatelskie i wprawiał się do rządzenia na zebraniach wyborczych (primaires), według istotnego celu społeczeństwa, który polega nie na zapewnianiu jego korzyści drogą dziedzictwa jakiejś klasie, lecz na obdarowaniu niemi wszystkich, skoro nauczą się ich używać.

Takim był główny charakter konstytucyi z 1791 roku; w miarę jak ktoś uzdalniał się do posiadania prawa, otrzymywał je; rozszerzała ona swój zakres z rozwojem cywilizacyi, która codziennie powołuje coraz większą liczbę ludzi do administracyi państwa. W ten sposób ustanowiła ona rzeczywistą równość, której istotnym interesem jest dopuszczanie, tak jak rysem nierówności — wykluczanie. Czyniąc władzę ruchomą przez wybory, stworzyła ona z niej magistraturę publiczną, kiedy przeciwnie przywilej, czyniąc władzę dziedziczną przez spadki, wytwarza z niej własność prywatną.

Konstytucya z 1791 r. ustanowiła władze jednorodne, które odpowiadały sobie i wzajem się powściągały; jednakże, przyznać trzeba, że władza królewska zanadto w niej była podległa potędze ludowej, Niestety zwierzchnictwo, od kogokolwiek pochodzi, wytwarza sobie zawsze słabą przeciwwagę, jeśli się samo ogranicza; Konstytuanta osłabia władzę królewską; król prawodawca ścieśnia prerogatywy Zgromadzenia.

Ta konstytucya była jednak mniej demokratyczną, niżeli Stanów Zjednoczonych, która okazała się możliwą, pomimo rozległości terytoryalnej, co dowodzi, że nie forma instytucyj, ale uznanie, jakie one otrzymują, lub też niezgoda, jaką wzniewają — dopuszcza lub przeszkadza ich ustaleniu się. W kraju nowym, po rewolucyi niepodległości, jak w Ameryce, każda konstytucya jest możebną; jedno tylko stronnictwo bywa nieprzyjazne, mianowicie stronnictwo ojczyzny pierwotnej (métropolii) i skoro ono zostanie zwyciężone, walka ustać musi, bo za porażką idzie jego wygnanie. Nie tak się dzieje z rewolucjami społecznymi u narodów dawno istniejących. Zmiany dotyczą interesów, interesy tworzą stronnictwa, stronnictwa występują do walki, a im bardziej rozszerza się zwycięstwo, tem bardziej potęgują się urazy. To właśnie nastąpiło we Francyi. Dzieło Zgromadzenia Konstytuanty nie tyle zginęło wskutek swych błędów, ile pod ciosami rozterek stronni-

czych. Postawione pomiędzy arystokracją i pospólstwem, było napastowane przez jedną, a zawładnięte przez drugie. To ostatnie nie stałoby się było wszechwładnem, gdyby wojna domowa i koalicja zagraniczna nie wywołały jego interwencji i pomocy. Broniąc ojczyznę, choiało nią rządzić; wtedy zrobiło swoją rewolucyę, jak klasa średnia zrobiła była swoją. I lud miał swój 14 lipca, był nim 10 sierpnia; swoją Konstytuante, którą była Konwencya; swój rząd, którym był komitet ocalenia publicznego; ale, jak się o tem przekonamy, bez emigracyi nie byłoby rzeczypo-
spolitej.

ZGROMADZENIE NARODOWE PRAWODAWCZE.

ROZDZIAŁ V.

Od 2 października 1791 r. do 21 września 1792 r.

Pierwsze stosunki Zgromadzenia prawodawczego z królem. — Stan stronnictw: Feuillanci wsparci na klasie średniej, Żyromdyści — na ludzie. — Emigracya i duchowieństwo buntownicze; dekret przeciwko nim; veto królewskie. — Zapowiedzie wojny. — Ministerium żyromdytowskie; Dumouriez i Roland. — Wypowiedzenie wojny królowi Węgier i Czech. — Kłęski naszych wojsk: dekret obozu rezerwy pod Paryżem, składającego się z dwudziestu tysięcy ludzi; dekret wygnania przeciwko księżom niezwiązanym przysięgą; veto królewskie; upadek ministerium Żyromdytów. — Petycyja powstańcza z dnia 20 czerwca, nakładająca do przyjęcia dekretów i przywrócenia ministrów. — Ostatnie usiłowanie stronnictwa konstytucyjnego. — Manifest księcia Brunszwickiego. — Wypadki z 10 sierpnia. — Powstanie wojskowe Lafayette'a przeciw sprawcom 10 sierpnia; spełzło na niczem. — Rozdział zgromadzenia i nowej komuny (gminy); Danton. — Wtargnięcie prusaków. — Rzezie z dnia 2 września. — Kampania Argonny. — Przyczyny wypadków za Ciała prawodawczego.

Nowe Zgromadzenie otworzyło swoje posiedzenia dnia 1 października 1791 roku. Ogłosiło się natychmiast *Zgromadzeniem narodowym prawodawczem*. Zaraz na wstępie miało sposobność okazać swe przywiązanie do rządu nowego i szacunek, jaki w niem obudzili założyciele wolności francuskiej. Księga konstytucyjna została mu uroczystie wręczoną przez archiwistę Camusa, któremu towarzyszyło dwunastu członków najstarszych wiekiem z reprezentacyi narodowej. Zgromadzenie przyjęło akt konstytucyi stojąc z odkrytymi głowami i wykonało nań przysięgę następującą: *żyć w wolności lub umrzeć* — przy oklaskach ludu zajmują-

cego trybuny. Następnie uchwalilo podziękowanie dla członków Konstytuanty i przygotowało się do rozpoczęcia swych prac.

Jego pierwsze stosunki z królem nie objawiały tego charakteru łączności i zaufania. Dwór, mający zapewne nadzieję odzyskać za Ciała prawodawczego to stanowisko wyższości, jakie utracił był pod Konstytuantą, nie dość uważnie traktował władzę ludową, niespokojną, drażliwą, a która uchodziła wówczas za pierwszą w państwie. Zgromadzenie wysłało do króla w deputacyi sześćdziesięciu swoich członków z oznajmieniem, że się ukonstytuowało. Król nie wyszedł do nich osobiście, lecz kazał im powiedzieć przez ministra sprawiedliwości, że przyjąć ich może dopiero na jutro po południu. Odprawa tak niestosowna i porozumiewanie się króla z reprezentacją narodową za pośrednictwem ministra żywo uraziły deputację. To też, gdy się znalazła w obecności Ludwika XVI, przewodniczący jej, Duchastel, rzekł lakonicznie: „Najjaśniejszy panie, Zgromadzenie narodowe prawodawcze jest ostatecznie ukonstytuowane; wysłało ono nas do Ciebie, aby Cię o tem zawiadomić.“ Ludwik XVI odpowiedział mu z większą jeszcze oszczędnością: „Nie będę mógł udać się do was przed piątkiem.“ Takie niezręczne postępowanie ze Zgromadzeniem nie zjednało królowi przychylności ludu.

Zgromadzenie pochwalilo zimny ton, w jakim przemówił prezydent deputacyi i pozwoliło sobie wkrótce na odwet godny potępienia. Ceremoniał, według którego król miał być przez nie przyjętym, został już naprzód prawem przepisany. Przeznaczono mu duży fotel w rodzaju tronu; obowiązek nakazywał używania tytułów *sire* i *majesté*, deputowani powinni byli witać go stojąc z głowami odkrytymi, następnie zaś usiąść, głowy nakryć i znowu wstać, naśladując z uszanowaniem każdy ruch monarchy. Kilka umysłów niespokojnych i łatwo wpadających w przesadę uważało tego rodzaju powolność za uwłaczającą godności najwyższego Zgromadzenia. Deputowany Grangeneuve zaproponował, aby zarówno *sire*, jak *majesté* zostały zastąpio-

ne przez tytuł bardziej konstytucyjny i piękniejszy — *króla francuzów*. Couthon posunął wniosek jeszcze dalej, utrzymując, że dla króla wystarczy fotel zwyczajny, taki, jaki ma prezydent. Żądania te wywołały lekką naganę ze strony niektórych członków; większość jednak przyjęła je pochoinnie. „Chcę wierzyć — powiedział Guadet — że naród francuski będzie zawsze daleko więcej cenił fotel prosty, na którym zasiada prezydent przedstawicieli narodu, niż fotel złocony, na którym siedzi naczelnik władzy wykonawczej. Nie będę, panowie, mówił o tytułach *sire* i *majesté*. Dziwi mnie, że Zgromadzenie narodowe zastanawia się, czy należy je zachować. Wyraz *sire* oznacza władcę-pana (*seigneur*); właściwym on był w czasach feudalizmu, już nie istniejącego. A co do wyrazu *majesté*, należałoby go tylko używać mówiąc do Boga albo ludu.“

Żądano uprzednich obrad nad tym przedmiotem, ale słabo; poddano głosowaniu te różne projekty i większością głosów przyjęto je. Ponieważ jednak podobny dekret wyglądał zbyt nieprzyjaźnie, opinia konstytucyjna wyraziła się przeciwko niemu, ganiąc nadmierną i niewłaściwą surowość w zastosowaniu zasad. Nazajutrz ci, którzy wymagali uprzedniej dyskusyi, prosili o zaniechanie wczorajszych postanowień. Rozeszła się pogłoska, że król nie przybędzie wcale do Zgromadzenia, jeśli uchwała się utrzyma, więc odwołano ją. Te drobne starcia pomiędzy dwiema władzami, nieufającymi sobie wzajemnie, te objawy dumy, a przede wszystkim złej woli, zakończyły się tym razem. Pamięć o nich zatarła się, Ludwik XVI stanął śród Ciała prawodawczego, gdzie był przyjęty z najwyższym szacunkiem i szczerem zapalem.

Główną treść jego mowy stanowiło zalecanie ogólnego spokoju. Wskazał przedmioty, na które Zgromadzenie powinno było zwrócić uwagę: finanse, prawa cywilne, handel, przemysł i utrwalenie nowego rządu; przyrzekł dołożyć usiłowań do przywrócenia porządku i karności w wojsku, postawić królestwo na stopie obronnej, oraz wydać o Rewolucyi francuskiej sąd taki, któryby mógł wpłynąć na przy-

wrócenie zgody w Europie. Dodał wreszcie następane słowa, bardzo oklaskiwane: „Panowie, ażeby wasze ważne prace, zarówno jak i wasza gorliwość, sprowadziły to dobro, którego się po nich należy spodziewać, potrzeba ciągłej harmonii i niezachwianej ufności pomiędzy Ciałem prawodawczem a królem. Nieprzyjaciele naszego spokoju będą usiłowali różnić nas; ale niech nas jednoczy miłość ojczyzny i niech nas czyni nierozdzielniemi interes publiczny! Tym sposobem potęga ogólna rozwinię się bez przeszkód; administracya nie będzie niepokojoną próżnemi obawami, własność i wiara każdego doznają jednakiej opieki i nikt nie będzie miał powodów żyć zdala od kraju, w którym prawo stanie się silnem i w którym wszystkie prawa zostaną uszanowane.“ Na nieszczęście po za obrębem Rewolucyi istniały dwie klasy, które nie chciały układać się z nią, a których zabiegi w Europie i wewnątrz Francyi miały stanąć na przeszkodzie urzeczywistnieniu tych mądrych i pokojowych słów. Skoro tylko w państwie znajdą się stronnictwa pozbawione swego stanowiska, muszą toczyć walkę i zniewalają do użycia przeciw nim środków wojennych. To też zaburzenia wewnętrzne, jakie wywoływali księża niezwiązani przysięgą, zbrojenie się emigrantów i przygotowania koalicyi — pociągnęły wkrótce Ciało prawodawcze dalej, niżeli mu dozwalała konstytucya i niżeli ono samo pójść zamierzało.

Skład tego Zgromadzenia był nawskróś ludowy. Ponieważ nastąpił zwrot pojęć ku Rewolucyi, dwór, szlachta i duchowieństwo nie wywierały żadnego wpływu na wybory. W obecnem przeto Zgromadzeniu nie było tak, jak w poprzednim, stronników władzy absolutnej i przywilejów. Oba odłamy lewicy, które się rozdzieliły pod koniec Konstytuanty, znalazły się tu jeszcze, ale nie w takim już stosunku liczebnym i nie w takiej sile, jak poprzednio. Mniejszość ludowa tamtego Zgromadzenia stała się większością w tem. Zakaz wybierania już wypróbowanych członków Konstytuanty, konieczność powoływania deputowanych z pomiędzy tych, którzy najbardziej odznaczyli się

sweni przekonaniami lub postępowaniem, a przedewszystkiem czynny wpływ klubów — doprowadziły do tego wyniku. Opinie i stronnictwa wystąpiły wkrótce na jaw. Była prawica, środek, lewica, jak w Konstytuancie, tylko z całym odmiennym charakterem.

Prawica, złożona z konstytucjonistów stałych i absolutnych, tworzyła stronnictwo umiarkowane. Jej głównymi organami byli: Mateusz Dumas, Ramond, Vaublanc, Beugnot i in. Utrzymywała ona pewne stosunki z dworem przez Barnave'a, Duporta, Aleks. Lametha, dawniejszych przywódców, za radami których szedł wszakże rzadko Ludwik XVI, słuchający z większą ufnością podszeptów swego otoczenia. Opierała się ona zewnątrz na klubie „Feuillantów“ i na mieszczaństwie. Gwardya narodowa, armia, dyrektorjat departamentalny i wogóle wszystkie władze nowoukonstytuowane sprzyjały jej. Ale stronnictwo to, które przezwano „feuillanckiem“, a które już przestało panować w Zgromadzeniu, straciło też wkrótce niemniej ważne stanowisko w municypalności, zawładniętej przez jego nieprzyjaciół z lewicy.

Ci znów tworzyli stronnictwo tak zwane „żyrondy-stowskie“, które w Rewolucyi było tylko przejściowem od klasy średniej do pospólstwa. Nie miało ono jeszcze wówczas żadnych projektów wywrotowych; ale skłonnem było do bronienia Rewolucyi wszelkimi środkami, czem właśnie różniło się od konstytucjonistów, którzy chcieli bronić jej tylko mocą prawa. Na czele stronnictwa tego znaleźli się świetni mówcy z departamentu Żyrondy (Gironde), którzy dali mu nazwę: Vergniaud, Guadet, Gensonné i prowansulczyk Isnard, przewyższający wszystkich namiętnością wymowy. Głównym kierownikiem był Brissot, członek municypalności Paryża z poprzedniej sesyi, następnie członek Zgromadzenia. Przekonania Brissota, który pragnął reformy zupełnej; jego wielka ruchliwość umysłowa, pozwalająca mu występować w dzienniku *Patriote*, na trybunie Zgromadzenia i w klubie Jakobinów; jego dokładna i rozległa znajomość położenia państw zagranicznych dawała mu

wielką przewagę w walkach stronnictw i w chwili gotującego się wybuchu wojny przeciw Europie. Condorcet wywierał wpływ innej natury: zawdzięczał go uznanej głębokości swego umysłu i swym teoryom demokratycznym, skutkiem których odegrał prawie rolę Sieyèsa w tem drugim pokoleniu rewolucyjnem. Petion, ognisty i stanowczy, był człowiekiem czynu tego stronnictwa. Wyraz jego twarzy, budzący zaufanie, łatwa wymowa, zażyłość z ludem, otworzyły mu wkrótce wstęp do magistratury municypalnej, prowadzonej przez Bailly'ego na rachunek klasy średniej.

Lewica miała w Zgromadzeniu jądro stronnictwa bardziej krańcowego, niż ona sama, a członkowie jej, tacy jak Chabot, Bazire, Merlin de Thionville, byli dla Żyrondistów tem, czem Petion, Buzot, Robespierre dla lewicy w Konstytucji. Był to związek grupy demagogicznej, która na zewnątrz posilkowała Żyronde i utrzymywała łączność pomiędzy klubami a pospółstwem. Robespierre w stowarzyszeniu Jakobinów, gdzie rozpostarł swe panowanie po wyjściu ze Zgromadzenia; Danton, Kamil Desmoulin i Fabre d'Eglantine u „Cordelierów“ (Franciszkanów), gdzie założyli klub nowatorów bardziej zapalonych, niż Jakobini, których klub miał jeszcze w swym składzie ludzi z mieszczaństwa; piwowar Santerre na przedmieściach, gdzie przebywała siła ludowa — wszyscy byli prawdziwymi przywódcami tej grupy, opierającej się na całej klasie i dążącej do założenia własnego rządu. Ale toczyła ona walkę tylko podrzędnie i trzeba było wypadków bardzo gwałtownych, aby sprowadzić jej tryumf.

Srodek (centrum) Ciała prawodawczego był szczerze przywiązany do nowego porządku. Miał on prawie te same przekonania i to samo zamyślenie umiarkowania, co i srodek Zgromadzenia konstytucyjnego; ale władzą różnił się on całkiem: nie stał już na czele klasy mocnej, przy pomocy której mógł poskramiać z siłą i mądrością wszystkie stronnictwa krańcowe. Niebezpieczeństwa publiczne, dające znowu odczuwać potrzebę przekonań egzaltowanych i stron-

nictw daleko posuniętych, zniweczyły środek. Wkrótce zaczął on należeć do silniejszych, jak się to zwykle zdarza grupom umiarkowanym, i lewica wzięła nad nim górę.

Zgromadzenie znalazło się w położeniu bardzo trudnem: poprzednie zostawiło mu stronnictwa, których oczywiście uspokoić nie mogło. Zaraz na pierwszych swych posiedzeniach spostrzegło konieczność zajęcia się nimi, a zająć dlatego, aby je pokonać. Emigracya robiła zatrważające postępy: obaj bracia królewscy, księżę Condé i księżę Bourbon zaprotestowali przeciw przyjęciu aktu konstytucyjnego przez Ludwika XVI, to jest przeciw jednemu sposobowi załatwienia sporu; twierdzili oni, że król nie mógł odstąpić praw dawnej monarchii, a protest ich, rozgłoszony po całej Francji, wywarł wielkie wrażenie na ich stronników: oficerowie uciekali z armii, szlachta opuszczała swe zamki, całe kompanie spieszyły do zaciągu na granicach. Maruderom posyłano kądziel, a tym, którzyby nie wyemigrowali, grozono, że po powrocie zwyciężkiej szlachty zostaną zaliczeni w poczet mieszczan. W Niderlandach austriackich i elektoratach ościennych utworzyła się tak nazwana *Francya zewnętrzna* (*la France extérieure*). Przeciwwolucyę jawnie przygotowywano w Brukselli, w Worms, w Koblencji, pod protekcją i nawet z pomocą dworów zagranicznych. Przyjmowano ambasadorów emigracyi, kiedy przeciwnie ambasadorowie rządu francuskiego byli odprawiani lub źle widziani, a nawet więzieni, jak się to trafiło Duvéyrierowi. Podróżników i kupców francuskich, podejrzanych o patryotyzm i przywiązanie do Rewolucyi, skazywano na wygnanie po za granice Europy. Kilka państw oświadczyło się całkowitem otwarcie, mianowicie Szwecya, Rosya i Hiszpania, kierowana natenczas przez margrab. de Florida-Blanca, oddanego w zupełności emigracyi. Jednocześnie Prusy trzymały swoją armię na stopie wojennej, kordon wojsk sardyńskich i hiszpańskich zwiększał się na pograniczu Alp i Pirenejów, a Gustaw III zbierał oddziały szwedzkie.

Duchowieństwo odszczepione niczego nie zaniedbywało, by wewnątrz kraju gotować ruch pożyteczny dla emi-

grantów. „Księża, a zwłaszcza biskupi — pisze margrabia de Ferrières — używali wszelkich sprężyn fanatyzmu dla wzburzenia ludności wiejskiej i miejskiej przeciw ustawie cywilnej kleru.“ Biskupi zabraniali księżom celebrowania nabożeństwa w tym samym kościele, w którym księża konstytucyjni je odprawiają, z obawy, aby lud nie pomieszał obu obrządków i obu stanów kapłańskich. „Niezależnie od tych okólników pisanych do proboszczów — dodaje on — rozrzucono po wsiach instrukcje przeznaczone dla ludu. Powiadano, że nie należy zgłaszać się po sakramenty do księży konstytucyjnych, uznanych za *intruzów*; że wszyscy uczestniczący w nich, już przez samą obecność swoją dopuszczają się grzechu śmiertelnego; że ci, którzyby brali śluby u takich intruzów, nie będą wcale małżonkami, a tylko ściągną na siebie i dzieci swe przekleństwo; że nie należy mieć żadnej styczności ani z nimi, ani z tymi, co się odłączyli od Kościoła; że urzędnicy municypalni, którzy ich instalowali, stali się równymi im odstępcami; że z chwilą ich instalacji tak dzwonnicy, jak i zakrystianie obowiązani są porzucić swe stanowiska... Te pisma fanatyczne sprawiły skutek, jakiego oczekiwali biskupi: zamieszki religijne wybuchły ze wszęch stron.“

Zaburzenia miały zwłaszcza miejsce w Calvados, w Gévaudan i w Wandei. Te części kraju były źle usposobione dla Rewolucyi, ponieważ klasa średnia i oświecona w szczupłej się tam znajdowały liczbie, a duchowieństwo i szlachta utrzymywały pospólstwo w zależności od siebie. Zatrwożeni Żyrondyści chcieli przedsięwziąć surowe kroki przeciwko emigracyi i księżom odszczepionym, napastującym ustanowiony porządek. Brissot proponował, aby dla powstrzymania emigracyi zrzec się systemu miękości i uprzejmości, którego — jak twierdził — trzymano się względem niej dotychczas. Podzielił on emigrantów na trzy klasy: 1) główni przywódcy, na czele których postawił dwóch braci królewskich; 2) urzędnicy publiczni, opuszczający swe stanowiska i kraj, którzy nadto usiłowali demoralizować kolegów; 3) ludzie prywatni, porzucający ojczyznę

z obawy o swe życie, z nienawiści ku Rewolucyi lub też z innych powodów, ale nie zbrojący się przeciw niej. Dla pierwszych dwu klas żądał on ostrych praw, utrzymując zaś, że za dobrą politykę uważa zachowanie pobłażliwości względem ostatniej. Co się tyczy wicherzycieli duchownych, niezwiązanych przysięgą, niektórzy Żyromyśliści chcieli poprzestać na oddaniu ich pod ściślejszy nadzór; inni dowodzili, że na ukrócenie ducha buntowniczego tej klasy jeden byłby tylko sposób pewny, mianowicie wygnanie jej z królestwa. „Wszelkie sposoby pojednawcze — rzekł zapalczywy Isnard — będą bezużyteczne. Pytam, co sprawiły przebaczenia tylekroć powtarzane? Nieprzyjaciele wasi zwiększyli swą śmiałość w stosunku odwrotnym do waszej pobłażliwości; nie zaprzestaną oni szkodzić wam, chyba gdy im zbraknie środków. Trzeba, aby zostali zwycięzcami lub zwyciężonymi — oto jedyna droga i każdy człowiek, który tej wielkiej prawdy nie widzi, jest według mego zdania ślepym w polityce.“

Konstytucyoniści sprzeciwiali się wszystkim tym środkom; nie zaprzeczali oni niebezpieczeństwa, ale uważali podobne prawa za samowolne. Twierdzili, że przedewszystkiem należy uszanować konstytucyę, a potem ograniczyć się tylko na środkach ostrożności; że dostatecznem będzie trzymać się obronnie wobec emigrantów, z ukaraniem zaś księży zbuntowanych czekać na odkrycie prawdziwych spisków z ich strony; zalecali, aby nie gwałcić prawa nawet względem swych wrogów, gdyż raz wszedłszy na tę drogę, powstrzymać się na niej trudno i Rewolucya mogłaby się zgubić, równie jak dawny rząd, przez niesprawiedliwość. Ale Zgromadzenie, które ratunek państwa uważało za rzecz większej wagi, niż ściśle zachowywanie prawa, które w wahaniu się dopatrywało niebezpieczeństwa i które zresztą było nurtowane przez namiętności popychające je do szybkiego działania — nie dało się powstrzymać temi uwagami. Dnia 30 października przyjęło za wspólną jeszcze zgodą dekret, odnoszący się do starszego brata królewskiego, Ludwika-Stanisława-Ksawerego. Książę ten został zawezwany, zgo-

dnie z przepisami konstytucyi, ażeby powrócił do Francyi w ciągu dwóch miesięcy; w przeciwnym razie, po upływie tego terminu, miał utracić prawa regencyjne. Lecz przy dekretach przeciw emigrantom i księżom zgoda pierzchała. Dnia 9 listopada Zgromadzenie uchwaliło, że francuzi zebrani po za granicami kraju są podejrzani o sprzysiężenie przeciw ojczyźnie i że jeżeli do 1 stycznia 1792 r. pozostaną w skupieniu, będą traktowani jako spiskowcy, zagrożeni karą śmierci, a po zaocznym wyroku dochody z ich dóbr podpadną konfiskacie na korzyść narodu, bez uszczerbku *wszakże dla praw ich żon, ich dzieci i prawnych wierzycieli.* Dnia 29 tegoż miesiąca powzięło ono mniej więcej podobną decyzję względem opornych księży: polecono im złożyć przysięgę obywatelską pod karą pozbawienia pensyi i uznania za zbuntowanych przeciwko prawu. W razie ponownej odmowy mieli być oddani pod surowy nadzór; gdyby zaś w gminach swoich wywołali zamieszki religijne, mieli być stawieni przed sądem w stolicy departamentu, a gdyby sami udział w nich brali, zachęcając do nieposłuszeństwa, podlegliby karze uwięzienia.

Król sankcyonował pierwszy dekret, dotyczący jego brata, lecz przeciwko dwom innym położył swoje *veto*. Nieco przedtem potępił on emigracyę, występując publicznie przeciwko niej i napisał do książąt na emigracyi, wzywając ich, ażeby powrócili do królestwa. Zachęcał ich do tego w imię spokoju Francyi, przywiązania i posłuszeństwa, które mu byli winni jako bratu i królowi. Kończąc pismo swe, dodał: „Będę wam wdzięczny przez całe życie, jeśli mi oszczędzicie konieczności działania niezgodnie z wami, gdyż postanowiłem niezmiennie dotrzymać tego, com zapowiedział.“ Mądre jego nalegania nie osiągnęły żadnego rezultatu; lecz Ludwik XVI, potępiając postępowanie emigrantów, nie chciał przyzwolić na obmyślane przeciwko nim środki. W sprawie odmówienia sankcyi podtrzymywali go konstytucyoniści i dyrektoryat departamentalny. Poparcie to nie było dlań bez pożytku w chwili, kiedy w oczach ludu uchodził za współnika emigracyi, kiedy wywolywał niezadowo-

lenie Żyrodystów i oddzielał się od Zgromadzenia. Powinien on był połączyć się ściśle z konstytucjonistami, skoro powoływał się na konstytucję w swych listach przeciw emigrantom i posługiwał się nią przeciw rewolucjonistom, używając swej prerogatywy. Stanowisko jego nabrałoby mocy tylko wtedy, gdyby był z dobrą wiarą przyłączył się do pierwszej rewolucyi i gdyby był uczynił swoją własną sprawę ze sprawy mieszczańskiej.

Ale dwór nie posiadał tej rezygnacji: oczekiwał wciąż lepszych czasów, co mu nie dozwalało działać w sposób jednostajny i kazało oglądać się wokoło za nadziejami. Nie przestawał utrzymywać stosunków z Europą i nie zawsze okazywał skłonność odtrącania jej interwencji; prowadził intrygi z ministrami przeciw stronnictwu ludowemu i chociaż z wielką nieufnością, posługiwał się jednak Feuillantami przeciw Żyrodystom. Główną jego ucieczką w tej epoce były drobne knowania Bertranda de Molleville, dyrektora rady, który założył *Klub francuski* i opłacał jego członków, który kupował oklaski trybun Zgromadzenia, spodziewając się, że tą rewolucją podrobioną zwalczy prawdziwą, który za cel wziął sobie oszukanie stronnictw i zniweczenie skutków konstytucyi literalnem jej przestrzeganiem.

Przy takim systemie postępowania dwór popełnił nadto i tę nieostrożność, że osłabił konstytucjonistów, których powinien był wzmocnić; z ich szkodą poparł nominację Pétiona na merostwo. Skutkiem bezinteresowności, której dało się unieść poprzednie Zgromadzenie, wszyscy pełniący obowiązki narodowe stopniowo usuwali się ze swych urzędów. Dnia 8 października Lafayette złożył dowództwo gwardyi narodowej, a obecnie Bailly — merostwo. Stronnictwo konstytucyjne proponowało, aby Lafayette zastąpił go na tem stanowisku, poniekąd pierwszym w państwie, albowiem pozwalając na podniecanie rozruchów lub też na zapobieganie im, oddawało Paryż w moc tego, kto je zajmował. Stanowisko to należało dotychczas do konstytucjonistów i za jego pośrednictwem uśmierzyli oni wzburzenie ludu na Polu Marsowem. Postradali już kierownictwo

w Zgromadzeniu, dowództwo nad gwardyą narodową, aż w końcu przyszła kolej i na municypalność. Dwór poparł kandydata Żyryndystów — Pétiona wszystkimi głosami, którymi rozporządzał. „Pan Lafayette — mówiła królowa do Bertranda de Molleville — pragnie zostać merem Paryża dlatego tylko, aby wkrótce zostać merem pałacowym. Pétion jest Jakobinem, republikaninem, ale to głupiec niezdolny kiedykolwiek objąć dowództwa stronnictwa.“ Dnia 14 lipca wybrano na mera Pétiona większością 6,708 głosów na 10,632.

Żyryndyści, dla których ta korzystna nominacya stała się decydującą, nie poprzestali na zdobyczy merostwa. Francya nie mogła pozostawać dłużej w tem położeniu niebezpiecznem i tymczasowem; dekrety, słusznie czy niesłusznie, wydane ku obronie Rewolucyi, a odrzucone przez króla, nie zostały zastąpione przez rząd żadnymi innymi środkami; ministeryum okazywało złą wolę lub oczywiste niedbalstwo. To też Żyryndyści oskarżyli je o stosunki zewnętrzne, Delessarta o to, że kompromituje honor i naraża bezpieczeństwo narodu przez ton, w jakim prowadzi układy z mocarstwami zagranicznymi, przez swą opieszałość i nieudolność; przesładowali równie ostro ministrów wojny i marynarki, Du Portalia i Bertranda de Molleville za to, że nie ubezpieczyli ani granic, ani nadbrzeży. Zwłaszcza nieprzyjazne usposobienie elektorów Trewiru i Moguncyi, oraz biskupa Spiry, którzy wspierali zbrojące się gromady emigrantów, wywołało głębokie oburzenie w narodzie. Komitet dyplomatyczny zaproponował, aby oznajmiono królowi, że naród widziałby z przyjemnością, gdyby król wymógł na książętach ościennych rozproszenie gromad zbrojnych w ciągu trzech tygodni, jak również gdyby zebrał siły zdolne zmusić ich do uszanowania prawa międzynarodowego. Chciano niemniej tym ważnym krokiem zniewolić Ludwika XVI do uroczystego zobowiązania się i oznajmienia sejmowi w Ratyzbonie oraz rozmaitym dworom europejskim niezachwianych zamiarów Francyi. Dla podtrzymania tego projektu wstąpił na mównicę Isnard: „Wznieśmy się —

rzekł — przy tej okoliczności na całą wysokość naszego posłannictwa, przemawiajmy do ministrów, do króla, do całej Europy ze stanowczością, która nam przystoi. Powiedzmy naszym ministrom, że dotychczas naród nie jest wielce zadowolony z ich postępowania; że odtąd pozostaje im tylko wybierać pomiędzy wdzięcznością powszechną a zemstą praw i że przez wyraz: odpowiedzialność my rozumiemy śmierć. Powiedzmy królowi, że jego interesem jest bronić konstytucyi, że on panuje tylko przez lud i dla ludu, że naród jest jego władcą, a on podległym prawu. Powiedzmy Europie, że naród francuski, jeśli wyciągnie miecz, odrzuci pochwę, że jej nie podniesie, aż się uwieńczy laurem zwycięstwa; że jeśli gabinety wikłają królów w wojnę przeciwko ludom, to my uwikłamy ludy w wojnę na śmierć przeciwko królom. Powiedzmy jej, że wszystkie bitwy, które sobie wydadzą ludy z rozkazu despotów...“ A gdy przerwały mu oklaski, zawołał: „Nie przyklaskujcie, nie przyklaskujcie; uszanujcie mój zapal, jest to zapal wolności! Powiedzmy zatem Europie, że wszystkie bitwy, które sobie wydają ludy z rozkazu despotów, podobne są do razów zadawanych sobie po ciemku przez dwóch przyjaciół, których podburzył zdradziecki podżegacz. Z ukazaniem się światła dziennego odrzuca oni broń i padną sobie w objęcia, a tego, który ich oszukiwał, ukarzą. Podobnież jeśli w chwili walki wojsk nieprzyjacielskich z naszymi błysnie im w oczach światło filozofii, ludy uściskają się wobec zdetronizowanych tyranów, wobec pocieszonej ziemi i rozpromienionego nieba.“

Zgromadzenie w uniesieniu uchwaliło jednogłośnie zaprojektowane środki działania i posłało dnia 29 listopada deputacyę do króla. Vaublanc przemówił w jej imieniu: „Najjaśniejszy panie — rzekł on do Ludwika XVI — zaledwie Zgromadzenie narodowe zwróciło swój wzrok na położenie królestwa, spostrzegło wnet, że zamieszania, trwające dotąd, mają swe źródło w zbrodniczych przygotowaniach emigrantów francuskich. Zuchwalstwo ich podtrzymują książęta niemieccy, którzy łamią umowy zawarte pomiędzy nimi i Francją, którzy udają, że zapomnieli, iż te-

mu właśnie królestwu zawdzięczają traktat Westfalski, poręczający im ich prawa i ich bezpieczeństwo. Te przygotowania nieprzyjazne, te pogroźki napaści, zmuszając nas do zbrojenia się, pochłaniają olbrzymie sumy, które naród byłby z radością złożył w ręce swych wierzycieli. Do Ciebie, Najjaśniejszy Panie, należy ukrócenie tego; Ty powinienes przemówić w taki sposób do państw zagranicznych, jaki przystoi królowi francuzów. Powiedz im, że wszędzie, gdzie tolerują przygotowania przeciw Francyi, tam Francya widzieć może tylko nieprzyjaciół; że my dochowamy święcie przysięgi nieczynienia żadnego podboju; że my im dajemy dobre sąsiedztwo, niezłomną przyjaźń narodu wolnego i potężnego; że uznajemy ich prawa, ich zwyczaje, ich konstytucye, ale też żądamy, aby i nasza była uszanowaną. Powiedz im nareszcie, że jeśli książęta Niemiec nie przestaną wspierać przygotowań skierowanych przeciwko francuzom, francuzi zanosą do nich nie żelazo i pożogę, lecz wolność! Niech oni obliczą, jakie mogą być następstwa tego przebudzenia się narodów.“

Ludwik XVI odpowiedział, że weźmie pod głęboką uwagę oświadczenie Zgromadzenia, a w kilka dni potem przyszedł osobiście oznajmić mu o swych postanowieniach w tym względzie. Były one zgodne z życzeniem ogółu. Król oświadczył wśród oklasków, że każe zawiadomić elektora z Trewiru, jako też i innych elektorów, iż, jeśli przed 15 stycznia wszystkie zbrojne zgromadzenia i wrogie przygotowania ze strony zbiegłych francuzów nie ustaną w ich państwach, będzie w nich widział swych nieprzyjaciół. Dodał, że napisze do cesarza, jako do głowy cesarstwa, z prośbą, aby użył swej powagi dla powstrzymania nieszczęścia, które dalszy upór kilku członków rzeszy niemieckiej pociągnie za sobą. „Jeżeli te oświadczenia nie będą wysłuchane, wtedy, panowie — rzekł — nie pozostaje mi nic innego, jak wypowiedzenie wojny; wojny, jakiej naród, zrzekający się uroczyście podbojów, nie wydaje nigdy bez konieczności, ale jaką naród wspaniałomyślny i wolny umie przedsięwziąć, ilekroć jego własne bezpieczeństwo i jego honor na-

kazują mu to.“ Wystąpienie króla do książąt cesarstwa niemieckiego poparto przygotowaniem wojennymi. Dnia 6 grudnia nowy minister wojny zastąpił du Portaila. Narbonne, wybrany z pośród Feuillantów, młody, czynny, żądny odznaczenia się z pomocą tryumfu swego stronnictwa i obrony Rewolucyi, udał się bezzwłocznie dla obejrzenia granic. Powołano sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi; Zgromadzenie uchwaliło na ten cel dwadzieścia milionów kapitału nadzwyczajnego; utworzono trzy armie pod dowództwem Rochambeau, De Lucknera i Lafayette'a; nareszcie postanowiono oskarżyć Monsieura, hrabiego d'Artois i księcia Condé, *jako obwinionych o zamachy i spiski przeciw bezpieczeństwu powszechnemu państwa i konstytucyi*. Dobra ich obłożono sekwestrem, a ponieważ wyznaczony poprzednio termin powrotu do królestwa dla Monsieura ukończył się, pozbawiono go praw do regencyi.

Elektor Trewiru zobowiązał się rozproszyć gromady zbrojne i nie dopuszczać ich więcej. Wszystko się jednak ograniczyło na pozornem rozpuszczeniu tych sił. Austria dała rozkaz feldmarszałkowi Benderowi bronięcia elektora, gdyby był napadnięty i zatwierdziła uchwały sejmu w Ratybonie. Sejm ten wymagał przywrócenia posiadłości *książąt właścicieli (princes possessionnés)*; nie pozwalał na pieniężne wynagrodzenie ich za utratę praw i dawał Francyi do wyboru, albo przywrócenie feodalizmu w Alzacyi, albo wojnę. Dwa te postęпки gabinetu wiedeńskiego nie miały charakteru pokojowego. Przytem wojska austriackie wyruszyły ku naszym granicom, co również dowodziło, że nie należy dowierzać bezczynności tego państwa. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi znajdowało się w Niderlandach; sześć tysięcy kwaterowało w Bryzgowii, trzydzieści tysięcy nadociągało z Czech. Ta silna armia obserwacyjna mogła każdej chwili przeistoczyć się na atakującą.

Zgromadzenie czuło nagłą potrzebę zdecydowania cesarza na jakiś krok stanowczy. Widziało ono w elektorach osobistości za niego podstawione, a w emigrantach jego narzędzia, gdyż książę Kaunitz nie taił się z tem, że uważa za

rzecz legalną *ligę władców zjednoczonych dla bezpieczeństwa i honoru koron*. Żyromdyści chcieli tedy uprzedzić tego niebezpiecznego przeciwnika, aby mu nie dać czasu do lepszego przygotowania się. Wymagali, iżby przed 10 lutego wytłomaczył się jasno i dobitnie ze swoich istotnych usposobień względem Francyi. Jednocześnie prześladowali ministrów, na których nie można było liczyć w razie wojny. Nieudolność Delessarta i intrygi Bertranda de Molleville nadawały się głównie do zaczepki; oszczędzano jedynie tylko Narbonne'a. Dopomagały im nieporozumienia w radzie, która w połowie była nieprzyjazną Rewolucyi, a do tej kategorii należeli Bertrand de Molleville, Delessart i inni, a w połowie konstytucyjną z Narbonnem i ministrem spraw wewnętrznych Cahier de Gervillem. Ludzie, tak dalece różniący się w zamiarach i środkach, nie mogli wcale porozumieć się: Bertrand de Molleville wiódł żywe spory z Narbonnem, który wymagał od swych kolegów postępowania otwartego, stanowczego i chciał uczynić ze Zgromadzenia podporę tronu. Narbonne upadł w tej walce, a jego odejście pociągnęło za sobą rozprzężenie tego ministeryum. Żyromdyści zaskarżyli Bertranda de Molleville i Delessarta: pierwszy, jako zręczniejszy, usprawiedliwił się, ale drugiego zapozwano przed sąd wyższy (la haute cour) w Orleanie.

Król, zatrwożony wybuchem Zgromadzenia przeciw członkom swej rady, a przedewszystkiem dekretem oskarżającym Delessarta, nie miał innej ucieczki, jak wybrać sobie nowych ministrów z pośród stronnictwa zwyciężkiego. Jedynie sojusz z władcami obecnej Rewolucyi mógł zbawić wolność i tron. Przywracał on zgodę pomiędzy Zgromadzeniem, władzą królewską i municypalnością, a gdyby się był utrzymał, Żyromdyści byliby przeprowadzili pospół z dworem to, co po zerwaniu z nim uważali za możliwe do urzeczywistnienia tylko bez niego. Członkami gabinetu zostali: Lacoste ministrem marynarki, Clavière — skarbu, Duranthon — sprawiedliwości; de Grave, zastąpiony wkrótce przez Servana — wojny, Dumouriez — spraw zewnętrznych i Roland — spraw wewnętrznych. Dwaj osta-

tni byli ludźmi najznamienitszymi i największe mieli znaczenie w radzie.

Z rozpoczęciem się Rewolucyi Dumouriez liczył lat 47; dotąd żył ciągle wśród intryg i zachował je dobrze w pamięci podczas epoki, w której małych środków należało używać dla podtrzymania wielkich, nie zaś dla zastąpienia ich. Pierwsza część jego życia politycznego zeszła na poszukiwaniu, z czyją pomocą mógłby się wynieść, a druga— przez kogo mógłby się utrzymać. Dworak z przed 1789 r., konstytucyonista za pierwszego Zgromadzenia, Żyryndysta za drugiego, Jakobin za rzeczypospolitej, zmieniał postać stosownie do położenia. Ale posiadał wszelkie właściwości ludzi niepospolitych: charakter przedsiębiorczy, czynność niezmordowaną, rzut oka bystry, pewny, rozległy, krewkość w działaniu i niesłychaną ufność w powodzenie, a nadto był otwartym, łatwym, dowcipnym, śmiałym, równie zdającym do knowań, jak i do broni, pełen wybiegów i umiejący naginać się do położenia, które chciał zmienić. Co prawda, te wielkie przymioty bladły przy jego wadach: był ryzykownym, lekkomyślnym i bardzo niestałym tak w zdaniach, jak w wyborze środków, a to skutkiem nieustającej potrzeby ruchu i intrygi. Główną wadę Dumourieza stanowił zupełny brak przekonań politycznych. Ani dla wolności, ani dla władzy nie zdoła nie uczynić w czasach rewolucyjnych ten, kto nie jest człowiekiem jakiegoś stronnictwa, a kiedy jest ambitnym, jeśli nie widzi dalej po za swój cel i jeśli nie pożąda silniej od innych. Tak czynił Kromwell i tak potem czynił Bonaparte, wówczas kiedy Dumouriez, będący poprzednio narzędziem stronnictw, sądził, że zdoła je wszystkie pokonać intrygami. Brakowało mu namiętności swego czasu, która właśnie uzupełnia człowieka i jedynie może mu dać władzę.

Roland stanowił przeciwieństwo Dumourieza: był to charakter, który wolność znalazła gotowy, jak gdyby go utworzyła sama. Roland miał zachowanie się proste, obyczaje surowe, opinie wypróbowane; kochał wolność z zapalem i gotów był poświęcić jej życie całe bezinteresownie,

lub też zginąć dla niej bez ostentacy i bez żalu. Człowiek ten powinien być urodzić się w jakiej rzeczypospolitej, ale dla rewolucyi nie był odpowiednim, gdyż nie nadawał się do zawichrzeń i walk pomiędzy stronnictwami; zdolności jego nie należały do pierwszorzędných, charakter miał nieco twardy; nie posiadał on daru ani poznawania ludzi, ani kierowania nimi; to też pomimo swej pracowitości, ruchliwości i swego rozumu, nie byłby się odznaczył bez swojej żony. Wszystko, na czem jemu zbywało, ona za niego posiadała: siłę, zręczność, podniosłość, przenikliwość. Pani Roland była duszą Żyrondy: około niej to gromadzili się ci ludzie świetni i odważni dla rozprawiania o potrzebach i niebezpieczeństwach ojczyzny; ona to podniecała tych, w których odgadła zdolność do czynu i wysyłała na trybunę tych, których wymowę znała.

Dwór nazwał to ministeryum, utworzone w miesiącu marcu, *ministeryum sankiulotów* (sans-culotte — bez spodni). Kiedy Roland przedstawił się po raz pierwszy w zamku, wbrew regułom etykiety, ze sznurkami u trzewików i w okrągłym kapeluszu, mistrz ceremonii nie chciał go przyjąć. Ale zmuszony wpuścić go, zwrócił się do Dumourieza i ukazując mu Rolanda, rzekł: „Eh! panie, niema wcale sprzączek przy trzewikach!“ — „Ah! panie, wszystko stracone“ — odparł Dumouriez z najzimniejszą krwią. Takimi to rzeczami zajmował się jeszcze dwór! Pierwszym krokiem nowego ministeryum była wojna. Położenie Francyi stawało się coraz to niebezpiecznijszem i można było spodziewać się wszystkiego po złej woli Europy. Leopold umarł i wypadek ten mógł przyspieszyć postanowienie gabinetu wiedeńskiego. Jego młody następcą Franciszek II był mniej pokojowo usposobionym lub też mniej roztropnym. Zresztą Austria gromadziła wojska, kreśliła plany bitew, mianowała generałów; nieprawnie wkroczyła na terytoryum Bazylei i rozlokowała garnizon w okolicach Porentruy, aby sobie przygotować wstęp do departamentu Doubs. Nie pozostawała więc żadna wątpliwość co do jej projektów. Uzbrojenia w Koblency rozpoczęły się znów

z większą siłą; gabinet wiedeński dlatego tylko rozproszył chwilowo emigrantów, zgromadzonych w prowincjach belgijskich, aby nie dopuścić najścia tego kraju, do obrony którego nie był jeszcze przygotowany; chodziło mu tylko o zachowanie pozorów, gdyż w Brukseli tolerował sztab generałów, noszących mundury z białą kokardą. Wreszcie i odpowiedzi księcia Kaunitza na żądanie wytłumaczenia się nie były bynajmniej zadawalające. Odmówił on nawet bezpośredniego porozumiewania się, a tylko polecił baronowi Cobentzel oświadczyć, że Austria nie odstąpi od podanych warunków. Odbudowanie monarchii francuskiej na podstawach sesji królewskiej z dnia 23 czerwca; powrócenie dóbr duchowieństwu, a posiadłości ziemskich ze wszystkimi ich prawami — książętom niemieckim w Alzacy; Avignonu i hrabstwa Venaissinu — papieżowi. Takie było *ultimatum* Austrii. W ten sposób wszelkie układy przestały być możliwe i na utrzymanie pokoju nie liczono już wcale. Francya została zagrożona losem, jakiemu uległa Holandya, a może i takim, jaki spotkał Polskę. Cała kwestya schodziła do tego, czy należy oczekiwać, lub też wyprzedzić wypowiedzenie wojny; czy należy korzystać z zapалу ludu, lub też pozwolić mu ochłonąć? Prawdziwym sprawcą wojny nie jest ten, kto ją wydaje, ale ten, kto ją wywołuje.

Dnia 20 kwietnia Ludwik XVI ukazał się wśród Zgromadzenia, otoczony wszystkimi swoimi ministrami. „Przychodzę, panowie — rzekł on — zaprzętnąć Zgromadzenie narodowe jednym z najważniejszych przedmiotów, jakie powinny obecnie zajmować uwagę przedstawicieli narodu. Mój minister spraw zagranicznych odczyta wam opracowany w mojej radzie raport o naszym położeniu politycznym.“ Dumouriez zabrał głos: przedstawił wszystkie żale Francyi do Austrii; cel konferencyi w Mantui, w Reichenbach i w Pilnic; koalicję, którą Austria utworzyła przeciw Rewolucyi francuskiej; jej tak widoczne zbrojenie się; otwartą protekcyę udzieloną ciału emigracyjnemu; ton rozkazujący i rozmyślną opieszałość w prowadzeniu układów,

oraz niemożliwe warunki jej *ultimatum*; w końcu po długim szeregu wywodów, motywowanych nieprzyjaznym postępowaniem króla Węgier i Czech (Franciszek II nie był jeszcze wybrany cesarzem), ważnością okoliczności, w jakich naród się znajdował, życzeniem jego silnie wyrażonem, że nie chce znosić żadnej zniewagi, jako też naruszenia swych praw, honorem i dobrą wiarą Ludwika XVI, w którego rękach spoczywa godność i bezpieczeństwo Francji, oświadczył się za koniecznością wypowiedzenia wojny Austrii. Ludwik XVI dodał głosem nieco zmienionym: „Wysłuchaliście panowie rezultatu układów moich z dworem wiedeńskim. Zakończenie raportu wyraża jednozgodne zdanie członków mojej rady: ja podzielam je również. Jest ono zgodne z żądaniem, objawionem mi kilkakrotnie przez Zgromadzenie narodowe i z uczuciami, z którymi wynurzyła się przede mną, wielka liczba obywateli różnych stron kraju; wszyscy przekładają wojnę nad widok znieważanej w dalszym ciągu godności narodu francuskiego i zagrożonej pewności bezpieczeństwa. Powinienem być naprzód wyczerpać wszystkie możliwe środki dla utrzymania pokoju. Według brzmienia konstytucji przychodzę dziś do Zgromadzenia narodowego z propozycją wojny przeciwko królowi Węgier i Czech.“ Po tych słowach króla dały się słyszeć słabe oklaski; ważność sprawy i doniosłość tego postanowienia przeniknęły nawskróś wszystkich wzruszeniem głębokiem a niemem. Natychmiast po oddaleniu się króla Zgromadzenie wyznaczyło na wieczór sesję nadzwyczajną, na której postanowiono wypowiedzenie wojny prawie jednogłośnie. W taki to sposób została podjęta ta wojna przeciw najgłówniejszemu z mocarstw sprzymierzonych, która się przeciągnęła przez ów wiek, utwierdziła zwycięstwo Rewolucji i zmieniła postać Europy.

Cała Francja przyjęła zapowiedź jej z radością. Wojna udzieliła nowego wstrząśnienia ludowi, już i tak wzburzonemu. Okręgi municypalności, stowarzyszenia ludowe rozpięły odezwy; zaciągano pobory, składano dobrowolne ofiary, kuto włócznie — cały naród zdawał się powstawać

w oczekiwaniu na Europę lub gotów do napadu na nią. Ale zapal, który w rezultacie zapewnia zwycięstwo, nie zastępuje na razie organizacji. To też przy rozpoczęciu kampanii można było liczyć tylko na wojska regularne i oczekiwać uformowania się nowo zaciężnych. Stan sił naszych był następujący: rozległa granica od Dunkierki aż do Huningue była podzielona między trzy wielkie dowództwa. Po lewej stronie pomiędzy Dunkierką a Philippeville stała armia północna, składająca się z czterdziestu tysięcy ludzi i ośmiu tysięcy koni pod dowództwem marszałka de Rochambeau. Lafayette rozporządzał armią środkową, złożoną z czterdziestu pięciu tysięcy ludzi i siedmiu tysięcy koni, zajmujących przestrzeń pomiędzy Philippeville a okopami, ciągnącymi się od Weissemburgu do Bazylei. Granica Alp i Pirenejów powierzona była generałowi Montesquiou, który miał armię nieliczną; ale też tej części Francji najmniejsze groziło niebezpieczeństwo.

Zdaniem marszałka do Rochambeau należało trzymać się w pozycji obronnej i strzedz naszych granic. Dumouriez przeciwnie żądał podjęcia inicjatywy ruchu, jak podjęto inicjatywę wojny, aby skorzystać z przewagi wcześniejszego pogotowia. Był on bardzo przedsiębiorczy; a ponieważ kierował sprawami wojskowymi, pomimo że był ministrem spraw zagranicznych, przeprowadził swój plan. Plan ten polegał na szybkim wtargnięciu do Belgii. Usiłowała ona w 1790 r. uwolnić się z pod jarzma austriackiego, a odniósłszy krótkotrwałe zwycięstwo, musiała następnie uleść siłom przeważającym. Dumouriez przypuszczał, że patryoci brabanccy sprzyjać będą atakowi francuzów, widząc w nim środek wyzwolenia dla siebie. W tym celu ułożył projekt trojakiego wtargnięcia. Dwaj generałowie, Teobald Dillon i Biron, którzy dowodzili we Flandryi pod Rochambeau, otrzymali rozkaz udania się — jeden z czterema tysiącami ludzi z Lille ku Tournai, drugi z dziewięcioma tysiącami z Valenciennes ku Mons. Równocześnie Lafayette z częścią swojej armii wyruszył z Metzu i forsownym marszem podążał ku Namur przez Stenay, Sedan, Mézières i Givet.

Ale plan ten przypuszczał w żołnierzach wyówiczenie, którego oni jeszcze nie mieli i wymagał ze strony wodzów bardzo trudnego porozumienia się. Zresztą kolumny przeznaczone do wtargnięcia nie miały siły odpowiedniej dla podobnego przedsięwzięcia. Zaledwie Teobald Dillon przeszedł granicę i spotkał nieprzyjaciela 28 kwietnia, straszna trwoga opanowała jego wojsko. Krzyknięto w szeregach: „Ratuj się kto może!“ — i on sam został pociągnięty przez swoich, którzy go zamordowali. Toż samo i wśród podobnych również okoliczności zdarzyło się w korpusie Birona, który musiał się cofnąć w nieładzie na dawne stanowiska. Tę nagłą i powszechną ucieczkę obu kolumn przypisać należy albo obawie przed nieprzyjacielem ze strony wojsk, które jeszcze ognia nie widziały, albo nieufności, jaką wzbudzali wodzowie, albo niechętnym, którzy krzyczeli zdradziecko.

Lafayette, dotarłszy do Bouvines, po przebyciu w ciągu kilku dni pięćdziesięciu mil po złych bardzo drogach, dowiedział się o klęskach pod Valenciennes i Lille; widząc, że cel wtargnięcia chybiony, sądził słusznie, że nie pozostało nic lepszego do zrobienia, jak dokonać odwrotu. Rochambeau skarżył się *na nagłość i brak związku w zleceniach danych mu z całą bezwzględnością. Ponieważ nie chciał zostać figurą bierną, zmuszoną do rozegrania według woli ministrów partyi, której kierunek winien być jemu pozostawiony*, więc podał się do dymisyi. Od tej chwili nasze wojska zachowały postawę obronną. Granica została rozdzielona między główne dowództwa, której jedna część, powierzona Lafayette'owi, rozciągała się od morza do Longwy, a druga, należąca do Lucknera, od Mozelli do Jura. Lafayette oddał lewe skrzydło swojej armii pod rozkazy Artiura Dillon, a prawem zetknął się z armią Lucknera, którego pomocnikiem (lieutenant) nad Renem był Biron. W takim położeniu oczekiwano na sprzymierzonych.

Tymczasem pierwsze niepowodzenia powiększyły niezgodę pomiędzy Feuillantami a Żyrondydami. Generalowie przypisywali je planom Dumourieza. Ministerjum składało

całą winę na sposób wykonania planu przez generałów, którzy wszyscy zostawali pod kierunkiem Narbonne'a i należeli do partii konstytucyjnej. Jakobini oskarżali przeciw rewolucjonistów, iż to oni byli sprawcami ucieczki, dając do niej hasło wołaniem: „Ratuj się kto może!“ Radość, której ci nie ukrywali wcale, ich nadzieje ujrzenia wkrótce skonfederowanych w Paryżu, emigrantów powracających i dawny porządek przywrócony — potwierdzały podejrzenie. Mniemano, że dwór, który zwiększył gwardyę utrzymywaną na żołdzie królewskim z tysiąca osmiuset do sześciu tysięcy ludzi, wybranych z grona przeciwwolucjonistów, był w porozumieniu z koalicją. Zadenuncyowano pod nazwą „komitetu austriackiego“ komitet sekretny, którego wszakże istnienia nie dowiedziono. Nieufność doszła do ostatecznego kresu.

Zgromadzenie chwyciło się natychmiast środków stronnictwa: weszło na drogę wojny i odtąd postanowiło kierować się daleko mniej sprawiedliwością, a daleko więcej ocaleniem publicznem. Wyzaczyło posiedzenia niustające, rozpuściło gwardyę będącą na żołdzie królewskim — wzrastające zemieszki religijne pobudziły je do uchwalenia dekretu skazującego na wygnanie księży zbuntowanych, aby nie mieć jednocześnie do czynienia z koalicją i z usmierzeniem zaburzeń. Chcąc naprawić ostatnie klęski i mieć niedaleko granicy armię rezerwową, przyjęła 8 czerwca na wniosek ministra wojny Servana projekt utworzenia pod Paryżem obozu, złożonego z dwudziestu tysięcy ludzi, zaciągniętych w departamentach. Starano się również rozegzaltować umysły przez urządzenie uroczystości rewolucyjnych i rozpoczęło organizację pospólstwa, uzbrajając je w piki; sądziło ono, że w tak wielkiem niebezpieczeństwie żadna pomoc nie powinna być uważaną za zbytęzną.

Przedsięwzięcie każdego z tych środków nie obyło się bez opozycji konstytucjonistów. Sprzeciwiali się ustanowieniu obozu złożonego z dwudziestu tysięcy ludzi, widząc w nim armię stronnictwa, zwołaną przeciw gwardyi narodowej i przeciw tronowi. Sztab główny tej gwardyi zapro-

testował — i natychmiast dokonano przeistoczenia tego ciała z korzyścią dla partyi przeważającej. Wprowadzono do nowej gwardyi narodowej kompanie uzbrojone w piki. Bardziej to jeszcze nie podobało się konstytucyonistom, niechętnie patrzącym na to zrównanie z nimi klasy niższej, która, jak im się zdawało, miała wyrugować mieszczaństwo przez motłoch. Potępiali całkiem otwarcie wygnanie księży, co uważali wprost za dekret proskrypcyjny.

Ludwik XVI traktował od niejakiego czasu daleko chłodniej swoich ministrów, którzy okazali się również bardziej wymagającymi względem niego. Nalegali, aby przyjął do swego otoczenia księży, którzy złożyli przysięgę, dla zachęcenia duchowieństwa do przyjęcia ustawy cywilnej i usunięcia powodów do zamieszek; opierał się temu stanowczo, zdecydowany nie robić już żadnych więcej ustępstw religijnych. Ostatnie dekrety były kresem jego łączności z Żyrondą; przez kilka dni nie wspominał wcale o tem, nie wyjawiając swojego postanowienia w tym względzie. Wtedy to Roland napisał do niego ów sławny list o jego obowiązkach konstytucyjnych, starając się nakłonić go, aby dla uspokojenia umysłów i umocnienia swej władzy, został szczerze królem Rewolucyi. List ten rozjątrzył ostatecznie Ludwika XVI, już zdecydowanego do zerwania z Żyrondistami. W zamiarach tych podtrzymywał go Dumouriez, który opuszczał swoje stanowisko i który z Duranthonem i Lacostem wytworzył odszczepieństwo w ministeryum przeciw Rolandowi, Servanowi i Clavièremu. Ale ambitny a zręczny Dumouriez doradzał Ludwikowi XVI, aby usunął tych ministrów, którzy jemu byli nie na rękę, a jednocześnie, aby zatwierdził dekret dla pozyskania popularności. Wmawiał w króla, że dekret przeciwko księżom może stać się właśnie dla nich środkiem bezpieczeństwa, albowiem wygnanie uchroni ich od proskrypcyi daleko gorszej; zobowiązywał się zapobiedz następstwom rewolucyjnym obozu 20 tysięcy ludzi, zwracając jego bataliony na armię, w miarę jak przybywać będą. Pod tymi warunkami Dumouriez decydował się przyjąć obowiązki ministra wojny i zetrzed

się z własnym stronnictwem; ale Ludwik XVI dnia 13 czerwca odprawił ministrów, następnie odrzucił dekrety i Dumouriez jako podejrzany odjechał do armii. Zgromadzenie oświadczyło, że Roland, Servan i Clavière unoszą z sobą żal narodu.

Król obrał nowych ministrów z pośród Feuillantów. Scypion Chambonnas otrzymał tekę spraw zagranicznych, Terrier-Montiel — spraw wewnętrznych, Beaulieu — skarbu, Lajarre — wojny, Lacoste i Duranthon pozostali tymczasowo przy tekach sprawiedliwości i marynarki. Wszyscy ci ludzie byli bez nazwiska, bez wziętości, a stronnictwo ich dobiegało kresu swego istnienia. Sytuacja konstytucyjna w okresie, podczas którego mieli panować, zmieniała się coraz bardziej na rewolucyjną. W jaki sposób stronnictwo legalne i umiarkowane mogło się być utrzymać pośród dwu partyj krańcowych i wojowniczych, z których jedna posuwała się z zewnątrz w zamiarze zniszczenia Rewolucyi, a druga chciała za jakąbądź cenę bronić jej? W tym stanie rzeczy Feuillanci stawali się zbyt cennymi. Król, odczuwający ich słabość, zdawał się liczyć już tylko na Europę i Mallet-Dupan został wysłany w poselstwie tajnem do sprzymierzonych.

Jednakże wszyscy, należący do okresu pierwszej Rewolucyi i prześcignięci potokiem ludowym, połączyli się w celu poparcia tego słabego ruchu wstecznego. Monarchiści, na czele których stał Lally-Follendal i Malouet, dwaj główni członkowie stronnictwa Mouniera i Neckera; Feuillanci, kierowani przez dawny tryumwirat Dupont, Lameth i Barnave; nareszcie Lafayette, cieszący się olbrzymią sławą konstytucjonisty, próbowali powściągnąć kluby, wzmocnić porządek rzeczy legalny i władzę królewską. Pomędzy Jakobinami ruch był wielki w tej epoce; wpływ ich stał się ogromny; trzymali oni górę w stronnictwie pospółstwa. Dla hamowania ich należało im przeciwstawić dawne stronnictwo mieszczańskie; ale to było w rozstroju i potęgą jego z każdym dniem słabła. W celu podniesienia tego stronnictwa Lafayette napisał 16 czerwca z obozu pod Maubeuge do

Zgromadzenia list, oskarżający partję jakobińską; żądał położenia końca panowaniu klubów, niezależności i umocnienia tronu konstytucyjnego, zaklinał Zgromadzenie w swoim imieniu, w imieniu swojej armii oraz wszystkich przyjaciół wolności, aby dla ocalenia publicznego nie używało innych środków, prócz przepisanych prawem. Śmiałe to pismo wywołało żywe spory pomiędzy lewicą i prawicą Zgromadzenia. Chociaż pobudki jego były czyste i bezinteresowne ze strony młodego generała, stojącego na czele armii, przypominało występ Kromwela i od tej chwili dobra sława Lafayette'a, aż dotąd szanowana przez jego przeciwników, zaczęła być napastowaną. Zresztą, zapatrując się na ten krok nawet ze stanowiska politycznego, uważać go należało za nierozważny. Żyronda, odsunięta od ministerium, powstrzymana w swych zamiarach oddziaływania na ocalenie publiczne, nie potrzebowała już podniety, a i sam Lafayette nie powinien był, nawet w interesie stronnictwa, używać swego wpływu daremnie. Żyronda marzyła, tak dla swojego, jako też i dla bezpieczeństwa Rewolucyi o odzyskaniu władzy, nie wychodząc po za granice przepisów konstytucyjnych. Celem jej nie było, jak następnie, zrzucenie z tronu króla, lecz przeciwnie, wprowadzenie go pośród swoich. Dlatego to uciekła się do gwałtownych petycyj pospółstwa. Z chwilą wypowiedzenia wojny podający petycye stawili się uzbrojeni przed Zgromadzeniem narodowem, oświadczając gotowość bronięcia ojczyzny i otrzymali pozwolenie przejścia w tem uzbrojeniu przez salę posiedzeń. Powolność ta była naganną i czyniła złudnemi wszelkie prawa przeciw zbiegowiskom; ale obie strony znajdowały się w położeniu niezwykłym i każda posługiwała się środkiem nielegalnym: dwór — Europa, Żyronda — ludem. Ten ostatni był niesłychanie wzburzony. Przywódcy przedmięć, pomiędzy którymi znajdowali się: deputowany Chabot, Santerre, rzeźnik Legendre, Gonchon, margrabia de Saint-Hurugues, przez dni kilka przysposabiali go do aktu rewolucyjnego, podobnego temu, który się powiódł na Polu Marsowem. Zbliżał się 20 czerwca, rocznica przysięgi złożonej w Krę-

gielni (Jeu de Paume). Pod pozorem uczczenia świętem obywatelskiem tego pamiętnego dnia i zatknięcia zielonej gałązki (un mai) na cześć wolności, tłum, złożony z około ośmiu tysięcy ludzi uzbrojonych, wyruszył z przedmieść Saint-Antoine i Saint-Marceau ku Zgromadzeniu.

Prokurator-syndyk Roederer przyszedł zawiadomić o tem Zgromadzenie, a tymczasem powstańcy przybyli do drzwi sali posiedzeń. Dowódcy ich domagali się przedstawienia petycyi i defilowania przed Zgromadzeniem. Powstał gwałtowny spór między prawicą, która nie chciała przyjmować petycyonistów uzbrojonych, i lewicą, która opierając się na pewnych zwyczajach, zgadzała się, ażeby ich wysłuchać. Vergniaud oświadczył, że Zgromadzenie obraża wszelkie zasady, przyjmując do swego łona zbiegowiska zbrojne; lecz zastanawiając się nad okolicznościami obecności, oświadczył również, że niepodobna przybyłym odmówić pozwolenia, udzielonego tylu innym. Nie było łatwym oprzeć się żądaniom tłumu podnieconego, ogromnego i popieranego przez partję przedstawicieli narodu. To też on cisnął się już w korytarzach, kiedy Zgromadzenie postanowiło dopuścić petycyonistów przed siebie. Wprowadzono deputacyę. Mówca jej przemawiał tonem groźby. Oświadczył, iż lud powstał, iż gotów do użycia gwałtownych środków, środków zawartych w deklaracyi praw, *oporu przeciw uciskowi* (resistance à l'oppression); że członkowie Zgromadzenia odmiennych przekonań (dissidents), jeśli są tacy, powinni *oczyścić grunt wolności* i udać się do Koblency; poczem przechodząc do istotnego przedmiotu tej buntowniczej petycyi, rzekł: „Władza wykonawcza nie jest wcale w zgodzie z wami; wystarczy nam dowód, że odprawiono ministrów patriotów. Czyż więc szczęście narodu wolnego zależy od kaprysu króla? A ten król, czyż powinien mieć inną wolę nad wolę prawa? Tego chce lud, a głowa jego warta głowy despotów koronowanych. Ta głowa jest drzewem genealogicznem narodu, a przed tym silnym dębem słaba trzcina winna się ugiąć! Użalamy się, panowie, na bezczynność naszych wojsk; żądamy, abyście dociekli przyczy-

ny tego; jeśli pochodzi ona od władzy wykonawczej, niech ta władza przepadnie!”

Zgromadzenie odpowiedziało podającym petycję, że rozważy ich żądania; wezwało ich następnie do poszanowania prawa i władz ustanowionych oraz dozwoliło defilować w swym obrębie. Orszak ten, złożony wówczas z około trzydziestu tysięcy osób, pomieszany z kobietami, dziećmi, gwardyą narodową, mężczyznami uzbrojonymi w piki, wśród których wznosiły się chorągwie i godła nawskróś rewolucyjne, przeciągnął przez salę, śpiewając sławną zwrotkę: *Ça ira!* i krzyząc: *Niech żyje naród! Niech żyją sankiuloci! Precz z veto!* Prowadził go Santerre i margrabia de Saint-Huruges. Po wyjściu ze Zgromadzenia skierowano się do zamku z petycyonistami na czele.

Zewnętrzne podwoje zostawiono otwarte z rozkazu króla; tłum rzucił się wówczas do wnętrza. Wkroczył do apartamentów, a kiedy zachwiały się drzwi pod uderzeniem toporów, Ludwik XVI kazał je otworzyć, ukazując się w towarzystwie zaledwie kilku osób. Fala ludowa zatrzymała się chwilowo przed nim; ale ci, co byli na zewnątrz, a których obecność królewska powstrzymać nie mogła, posuwali się naprzód. Umieszczono przezornie króla we framudze okna. Nigdy nie okazał on większej odwagi, niż w tym dniu oplakany. Otoczony gwardyą narodową, która odgradzała go od tłumu, siedząc na krześle postawionem na stole, ażeby mógł nieco swobodniej oddychać i być widzianym przez lud, zachował postawę spokojną i stanowczą. Odpowiadał niezłomnie tym, którzy głośnym wołaniem domagali się sankcyi dekretów: *Nie jest to ani forma, ani chwila otrzymania jej ode mnie.* Mając odwagę odmówić tego, co było głównym celem owego ruchu, nie uważał za stosowne odtrącać drobnostki, która dla niego nie miała znaczenia, ale w oczach tłumu była znakiem wolności: włożył więc na głowę czerwoną czapkę, podaną mu na ostrzu piki. Tłum był uszczęśliwiony tem ustępstwem. Wkrótce potem obsypał go oklaskami, gdy, dysząc z gorąca i pragnienia, napił się bez wahania ze szklanki, którą mu podał ja-

kiś napół pijany robotnik. Tymczasem nadbiegł Vergniaud, Isnard i kilku deputowanych z Żyromy, ażeby osłonić króla, przemówić do ludu i położyć koniec tym niegodnym scenom. Zgromadzenie, które przed chwilą zamknęło swe posiedzenie, zebrało się naprędce, przerażone owem wtargnięciem i wysłało kilku z urzędu deputacyj do Ludwika XVI, mających mu służyć za obronę. Wreszcie przybył spóźniony mer Pétion, wszedł na krzesło, przemówił do ludu, wezwał go do rozejścia się bez zgiełku i lud usłuchał. Nieokrziesani ci i gwałtowni powstańcy, pragnący otrzymać dekrety i ministrów, rozeszli się, obrzuciwszy króla groźbami i obelgami, lecz go nie ugięli.

Dzień 20 czerwca pobudził opinię konstytucyjną przeciw jego sprawcom. Pogwałcenie mieszkania, zniewagi wyrządzone Ludwikowi XVI, nielegalność petycji podanej wśród gwałtów motłochu i przyborów zbrojnych, wyrzucano żywo stronnictwu ludowemu. Chwilowo zmuszone ono było zachowywać się obronnie; nietylko bowiem winne było rozruchów, lecz poniosło istotną porażkę. Konstytucyoniści przybrali na nowo ton wyższości stronnictwa obrażonego i panującego; ale trwało to krótko, ponieważ dwór ich nie poparł. Gwardya narodowa oświadczyła się z gotowością trzymania straży przy Ludwiku XVI; ksiązę de Laroche-foucauld-Liancourt, dowodzący w Rouen, chciał go uprowadzić pomiędzy wojska, które mu były wierne; Lafayette proponował królowi przewiezienie do Compiègne i postawienie go na czele swojej armii; ale Ludwik XVI odrzucił wszystkie te przedstawienia. Sądził on, że niefortunna próba ostatniego pokuszenia zniechęci wicherzycieli, a że oczekiwał wyzwolenia ze strony mocarstw sprzymierzonych, bardziej podburzonych wypadkami dnia 20 czerwca, nie chciał się posługiwać konstytucyonistami, gdyż musiałby z nimi się układać.

Jednakże Lafayette przybył, aby spróbować ostatniego wysiłku na korzyść monarchii legalnej. Zabezpieczywszy dowództwo swojej armii i zebrawszy adresy przeciw ostatnim wypadkom, pospieszył do Paryża i dnia 28 czerwca

stał nieoczekiwany przed Zgromadzeniem. Żądał zarówno w imieniu swoim, jak i wojska, ukarania zamachów z dnia 20 czerwca i zniesienia sekty jakobińskiej. Wystąpienie jego wywołało różnorodne uczucia w Zgromadzeniu. Prawica pochwałała go bardzo, lewica zaś powstała przeciw jego postępowaniu. Guadet zalecał, aby rozpatrzono, czy nie jest winnym, opuszczając swą armię i przybywając dla dyktowania praw Zgromadzeniu. Reszta szacunku nie dozwoliła Zgromadzeniu iść za zdaniem Guadeta; po dość hałaśliwych rozprawach uczyniło Lafayette'owi ten zaszczyt, że go dopuściło do posiedzeń; lecz to było wszystko, co uczyniło ze swej strony. Wówczas Lafayette zwrócił się do gwardyi narodowej, która przez czas tak długi była mu przychylną i miał nadzieję z jej pomocą pozamykać kluby, rozpedzić Jakobinów, przywrócić Ludwikowi XVI całą władzę nadaną mu przez prawo i umocnić konstytucyę. Stronnictwo rewolucyjne było w osłupieniu, oczekując wszystkiego po śmiałości i szybkości działania tego przeciwnika z Pola Marsowego. Tymczasem dwór, który obawiał się tryumfu konstytucjonistów, przyczynił się sam do upadku projektów Lafayette'a; naznaczył on był przegląd wojska, czemu dwór przeszkodził wpływem swym na wodzów batalionów rojalistycznych. Grenadyerzy i strzelcy, kompanie wyborowe i lepiej jeszcze usposobione, niż inne, miały się zebrać u niego i stamtąd wyruszyć przeciwko klubom; otóż nie stawiło się nawet trzydziestu ludzi. Tak więc po daremnym usiłowaniu zjednoczenia dworu i gwardyi narodowej dla sprawy konstytucyjnej i wspólnej obrony, widząc się opuszczonym od tych wszystkich, których przyszedł ratować, Lafayette odjechał do swojej armii, straciwszy resztę popularności i wpływu. Zabiegi te były ostatnim znakiem życia stronnictwa konstytucyjnego.

Wówczas Zgromadzenie zwróciło się znów naturalnie do położenia Francyi, bynajmniej niezmienionego. Komisya nadzwyczajna z dwustu członków przedstawiła za pośrednictwem Pastoreta niepokojący obraz stanu i podziału stronnictw. Jan Debry w imieniu tejże samej komisyi propono-

wał, dla utrzymania na wodzy ludu, niesłuchanie wzburzonego, aby oznajmić, że skoro przesilenie stanie się nieuchronnem, Zgromadzenie obwieści je temi słowy: *ojczyzna jest w niebezpieczeństwie* i że wtedy przedsięwzięte zostaną środki bezpieczeństwa publicznego. Zaczęły się rozprawy nad tą ważną propozycją. Vergniaud odmalował w mowie, która wstrząsnęła do głębi Zgromadzeniem, wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie w tej chwili wystawioną była ojczyzna. Powiedział, że to *w imieniu króla* zgromadzili się emigranci, sprzymierzyli się panujący, wojska zagraniczne posunęły się do naszych granic, a zaburzenia wewnętrzne wybuchły. Oskarżał go o powstrzymywanie zapалу narodowego przez swe odmowy i wydawanie tym sposobem Francji w ręce koalicji. Przytoczył artykuł konstytucyi, orzekający, że *jeśliby król stanął na czele armii i skierował jej siły przeciw narodowi, albo, jeśliby się nie sprzeciwił aktem formalnym podobnemu przedsięwzięciu, dokonywanemu w jego imieniu, uważanym będzie za abdykującego z królestwa*. Przepuściwszy tedy, że Ludwik XVI sprzeciwiał się dobrowolnie środkom obrony ojczyzny, czyliż w takim razie — dodał — nie byłibyśmy w prawie powiedzieć mu: „O królu, który prawdopodobnie mniemałeś, wraz z tyranem Lysandrem, że prawda nie więcej warta od kłamstwa i że należy zabawiać ludzi przysięgami, jak się zabawia dzieci grą w kostki; który udawałeś miłość dla praw po to tylko, aby zachować władzę mającą służyć do urągania im, miłość do konstytucyi, ażeby nie straciła cię z tronu, na którym potrzebowałeś zostać, ażeby ją zniszczyć — czy sądzisz, że nas zdołasz podejść obłudnemi zapewnieniami, że nas zwiedziesz co do nieszczęść naszych przebiegłością usprawiedliwień? Czyżes nas bronił, przeciwstawiając wojskom zagranicznym siły, których słabość nie pozostawiała nawet wątpliwości co do ich przegranej? Czyżes nas bronił, usuwając wszystkie projekty, dążące do wewnętrznego wzmocnienia? Czy nie powściągnąwszy generała gwałcącego konstytucję i pętając odwagę tych, którzy jej służyli, chciałeś nas bronić? Czyż konstytucya pozostawiła ci wybór ministrów dla naszego szczęścia,

czy naszej zagłady? Czy uczyniła cię wodzem armii na naszą chwałę, czy też hańbę? Dała ci prawo sankcyi, listę cywilną i tyle prerogatyw, czyż na to, ażebyś konstytucyjnie gubił konstytucyę i państwo? Niel! nie! człowieku, którego wspaniałomyślność francuzów nie zdołała wzruszyć, którego jedynie miłość despotyzmu rozrzewnia... nie jesteś już niczem dla tej konstytucyi, którąś tak niecznie pogwałcił, dla ludu, któryś tak niecznie zdradził!“

W położeniu, w jakim znajdowała się Żyronda, nie liczyła na nic więcej, jak tylko na detronizacyę króla. Vergniaud, co prawda, wyrażał się jeszcze w sposób hipotetyczny; ale całe stronnictwo ludowe przypisywało istotnie Ludwikowi XVI zamiary, które w ustach Vergniauda były jedynie przypuszczeniem. W kilka dni później Brissot wyraził się otwarciej: „Niebezpieczeństwo, w jakim się znajdujemy — rzekł — jest najniezwyčajniejszem, jakie kiedy widziano w wiekach przeszłych. Ojczyzna jest zagrożoną, ale nie dla braku wojska, ani dlatego, żeby to wojsko było nieodważne, granice źle oszańcowane, lub środki ratunku niedostateczne... Nie. Jest w niebezpieczeństwie, ponieważ obezwładniono jej siły. A kto je obezwładnił? Jeden człowiek, ten sam, którego konstytucya uczyniła swym wodzem, a z którego wiarołomni doradcy zrobili jej wroga! Kazań wam się obawiać królów Węgier i Prus... A ja mówię, że główna siła tych królów jest na naszym dworze i tam ich najprzód zwalczyć należy. Kazano wam uderzyć na księży buntowniczych w całym królestwie... A ja mówię, że uderzywszy na dwór w Tuileriach, ugodzimy tych księży za jednym zamachem. Kazań wam ścigać wszystkich intrygantów, wszystkich buntowników, wszystkich spiskowców... Ja zaś utrzymuję, że wszyscy znikną, jeśli uderzycie na gabinet w Tuileriach; albowiem gabinet ten jest punktem, gdzie się schodzą wszystkie nici, gdzie się knują wszystkie intrygi, skąd wychodzą wszystkie podniety! Naród jest igraszką tego gabinetu. Oto tajemnica naszego położenia, oto źródło złego, oto, gdzie należy zwrócić środki zaradcze.“

W taki to sposób Żyronda przygotowywała Zgromadzenie do detronizacji. Ale przede wszystkim zajęto się wielką kwestią niebezpieczeństwa ojczyzny. Trzy komitety połączone oświadczyły, iż należało przedsięwziąć środki obrony publicznej i dnia 5 lipca Zgromadzenie wydało tę uroczystą odezwę: *Obywatele, ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!* Natychmiast wszystkie władze cywilne stanęły na stopie *czuwania nieustającego*; wszyscy obywatele, zdolni do noszenia broni i którzy już odbywali służbę w gwardyi narodowej, zostali powołani. Każdy powinien był wykazać broń i amunicję, w jaką jest zaopatrzony; rozdano włócznie tym, których nie można było uzbroić w karabiny; rozdano bataliony z ochotników na placach publicznych, pośrodku których zatknięto chorągwie z napisami: *Obywatele, ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!* i założono obóz pod Soisson. Wszystkie te środki obronne, stawszy się niezbędnymi, podniosły do najwyższego stopnia zapal rewolucyjny. Dało się to spostrzedz w rocznicę dnia 14 lipca, podczas której uczucie tłumu i sprzymierzonych z departamentów wybuchło bez opamiętania. Pétion dnia tego został bożyszczem ludu; otrzymał wszystkie honory sprzymierzenia (de la fédération). Na kilka dni przedtem był złożony z urzędu przez dyrektoryat departamentalny i radę z powodu swego zachowania się w dniu 20 czerwca; ale Zgromadzenie przywróciło go do jego czynności i jedyny okrzyk, wydany w dniu sprzymierzenia, był okrzykiem: *Pétion albo śmierć!* Niektóre bataliony gwardyi narodowej, jak batalion des Filles-Saint-Thomas, okazywały jeszcze przywiązanie do dworu; stały się też przedmiotem nieufności i urazy ludowej. Na Polach Elizejskich pobudzo do zwady grenadyerów des Filles-Saint-Thomas i sprzymierzonych z Marsylii, w której kilku grenadyerów zostało rannych. Przesilenie z dniem każdym stawało się bliższem; stronictwo wojny nie mogło dłużej ścierpieć konstytucyjnego. Napady na Lafayette'a pomnażały się; przesładowano go po dziennikach, denuncjowano w Zgromadzeniu. Wreszcie kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się: zamknięto klub Feuillantów, zniesiono kom-

panije grenadyerów i strzelców gwardyi narodowej, stanowiące siłę mieszczaństwa; żołnierze liniowi i część szwajcarów zostali wydaleny z Paryża i przygotowywano otwarcie katastrofę 10 sierpnia.

Pochód prusaków i sławny manifest brunświcki przyspieszył tę chwilę. Prusy połączyły się z Austryą i książętami niemieckimi przeciwko Francyi. Ta koalicya, do której przystąpił i dwór turyński, była straszną, chociaż nie obejmowała wszystkich mocarstw, mających zrazu z nią się zjednoczyć. Śmierć Gustawa III, mianowanego naprzód wodzem wojsk najezdniczych, oderwała Szwecyę; zastąpienie ministra Florida-Blanca przez hrabiego d'Aranda, człowieka przezornego i umiarkowanego, powstrzymała Hiszpanię; Rosya i Anglia pochwały tajemnie napaść ligi europejskiej, nie biorąc w niej jeszcze udziału. Po wypadkach wojennych, z których zdaliśmy sprawę, obserwowano się wzajemnie raczej, aniżeli walczone. W tym przeciągu czasu Lafayette przyzwyczaił swą armię do karności i poświęcenia, a Dumouriez, znajdujący się z Lucknerem w obozie przy Maulde, zaprawiał do walki powierzone sobie wojsko, prowadząc drobne potyczki z powodzeniem niestającym. Wytworzyli oni tym sposobem zawiązek dobrej armii, tem niezbędniejszej, że potrzebowano organizacyi i ufności dla odparcia blizkiego najścia sprzymierzonych.

Kierował niem książę Brunświcki. Posiadał on główne dowództwo nad wojskiem nieprzyjacielskiem, składającym się z siedemdziesięciu tysięcy prusaków i sześćdziesięciu ośmiu tysięcy austryaków, hesów lub emigrantów. Oto jakim był ten plan napadu: książę Brunświcki miał z prusakami przejść Ren w Koblency, postępować lewym brzegiem Mozelli i napaść na granicę Francyi w punkcie centralnym, najprzystępniejszym, kierując się ku stolicy przez Longwy, Verdun i Chalons. Książę Hohenlohe powinien był działać na lewym jego skrzydle w kierunku Thionville i Metzu z hesami oraz korpusem emigrantów, podczas gdy generał Clairfait z austryakami i innym korpusem emigrantów, zwyciężywszy Lafayette'a, stojącego pod Sedanem

i Mézières przeszedłby Meuzę i postępował przez Reims i Soissons na Paryż. Tak więc ze środka i dwóch boków od Mozelli, Renu oraz Niderlandów posuwano się dośrodkowo ku stolicy. Inne oddziały wojsk, rozstawione na pograniczu Renu i na krańcu granicy północnej, miały, atakując nasze wojska z tych stron, ułatwić natarcie środkowe.

Dnia 26 lipca, z chwilą wyruszenia armii i wyjścia jej z Koblency, książę Brunswicki ogłosił w imieniu cesarza i króla pruskiego manifest. Wyrzucił *tym, którzy przywłaszczyli sobie ster administracji we Francyi*, zakłócenie w niej porządku i obalenie prawowitego rządu; dopuszczenie się względem króla i jego rodziny gwałtownych zamachów, ponawianych codziennie; zniesienie samowolne praw i własności książąt niemieckich w Alzacyi i Lotaryngii; wreszcie przebranie miary wypowiedzeniem niesłusznej wojny najjaśniejszemu cesarzowi i napadem jego prowincyj w Niderlandach. Oświadczył, że sprzymierzeni monarchowie idą stłumić anarchię we Francyi, powstrzymać napaści wymierzone przeciw tronowi i ołtarzowi, przywrócić królowi bezpieczeństwo i wolność, których jest pozbawiony i dać mu możność wywierania swej prawowitej władzy. W następstwie uczynił odpowiedzialnemi gwardye narodowe i władze za wszelkie nieporządki, sprawione przed przybyciem wojsk koalicji. Wzywał je, aby powróciły do dawnej wierności. Zapowiedział, że mieszkańcy miast, którzy *ośmieliliby się bronić*, zostaną natychmiast ukarani jako buntownicy, z całą surowością wojenną, a domy ich będą zburzone lub spalone; że jeśli miasto Paryż nie przywróci królowi zupełnej swobody i nie przyzna mu należytego szacunku, książęta sprzymierzeni powołają do osobistej odpowiedzialności wszystkich członków Zgromadzenia narodowego, departamentu, okręgu, municypalności, gwardyi narodowej, oddając ich pod sąd wojenny bez nadziei przebaczenia; a również, gdyby zamek był wzięty przemocą lub znieważony, książęta wywrą zemstę przykładową i na zawsze pamiętną, wydając Paryż na łup wojska i całkowite zniszczenie. Przeciwnie, w razie szybko okazanej uległości rozkazom koali-

cy, przyrzekał mieszkańcom Paryża wstawienie się sprzymierzonych książąt do Ludwika XVI i wyjednanie przebaczenia za popełnione błędy lub omyłki.

Zapalczywy ten i niepolityczny manifest, który nie ukrywał zamiarów ani emigracyi, ani Europy, traktował cały wielki naród w sposób bezprzykładnie wyniosły i pogardliwy, zapowiadając otwarcie wszystkie klęski najazdu, a nadto despotyzm i zemstę — wywołał powstanie narodowe. Bardziej niż cokolwiekbądź innego przyspieszył upadek tronu i przeszkodził powodzeniu koalicyi. Jedno było tylko życzenie, jeden okrzyk oporu od końca do końca Francyi, a ktokolwiek by go nie podzielał, uważany byłby za zdrajcę ojczyzny i świętej sprawy jej niepodległości. Stronnictwo ludowe, postawione w konieczności zwyciężenia, nie widziało już wówczas innego wyjścia, jak unieważnienie władzy króla; ażeby ją zaś unieważnić, należało ogłosić detronizację. Ale w tem stronnictwie każdy chciał dojść do celu na swój sposób: Żyronda — za pomocą dekretu Zgromadzenia, przywódcy tłumu — za pomocą powstania. Danton, Robespierre, Kamil Desmoulins, Fabre d'Eglantine, Marat i inni tworzyli stronnictwo bez znaczenia, któremu potrzeba było rewolucyi, ażeby go wynieść z pośród ludu do Zgromadzenia i municypalności. Byli oni zresztą istotnymi przywódcami nowoorganizującego się ruchu za pomocą niższej klasy społecznej, przeciwko klasie średniej, do której należeli Żyrondyści przez swe stanowisko i nawyknięcia. Rozdwojenie nastąpiło natychmiast pomiędzy tymi, którzy chcieli usunąć tylko dwór z obecnego porządku rzeczy i tymi, którzy chcieli wprowadzić doń pospólstwo. Ci ostatni nie godzili się na powolność rozpraw. Wstrząsani wszystkimi namiętnościami rewolucyjnymi, przysposabiali się do ataku zbrojnego, do którego robili przygotowania otwarcie i oddawna.

Przedsięwzięcie ich było kilkakroć zamierzone i wstrzymane. Dnia 26 lipca miało wybuchnąć powstanie, ale było źle obmyślane i Pétion go nie dopuścił. Skoro przybyli sprzymierzeni (fédérés) marsylscy, ażeby się udać do obozu

pod Soissons, przedmieścia miały wyjść na ich spotkanie i wyruszyć z nimi zniemacka na zamek. Powstanie to także chybiło. Wszelako przybycie marsylczyków dodało odwagi spiskowcom stolicy i odbyły się pomiędzy nimi a sprzymierzonymi wodzami (chefs fédérés) obrady w Charenton nad obaleniem tronu. Sekeye były wielce wzburzone; oddział z Mauconseil ogłosił pierwszy swe powstanie, o czem urzędownie zawiadomił Zgromadzenie. Rozprawiano o detronizacji w klubach, a 3 sierpnia mer Pétion zażądał jej od ciała prawodawczego w imieniu gminy miejskiej i sekcji. Podanie było odesłane do komisji nadzwyczajnej z dwunastu członków. Dnia 8 rozpatrywano kwestyę postawienia pod zarzutem Lafayette'a. Większość ostatekiem odwagi popierała go żywo i nie bez narażenia się. Został uniewinniony; lecz wszystkich głosujących za nim po wyjściu z posiedzenia lud wygwizdał, ścigał i beczcecił.

Nazajutrz wzburzenie było nadzwyczajnem. Zgromadzenie otrzymało listy od wielu deputowanych, zawiadamiające, że w wigilię dnia po wyjściu z posiedzenia lżono ich i wygrazano śmiercią za to, że głosowali za uwolnieniem Lafayette'a. Vaublanc donosił, iż gromada ludzi otoczyła i przetrząsnęła jego mieszkanie, poszukując go. Girardin zawołał: „Niemożliwą jest jakakolwiek dyskusya bez zupełnej swobody. Oświadczam moim pełnomocodawcom, że nie będę brał udziału w obradach, jeśli ciało prawodawcze nie zapewni mi swobody i bezpieczeństwa.“ Vaublanc nalegał usilnie, aby Zgromadzenie przedsięwzięło najostrejsze środki, zapewniające poszanowanie prawu. Żądał również, aby sprzymierzeni (fédérés), których popierają Żyrodnyści, zostali bez zwłoki odesłani do Soissons. Podczas tych rozpraw prezydujący otrzymuje wiadomość od ministra sprawiedliwości de Joly. Przedstawia on, że złe doszło już do szczytu i że lud jest poduszczany do wszelkich nadużyć. Zdaje sprawę z popełnionych wczorajszego wieczoru, nietylko względem deputowanych, ale względem kilku innych osób. „Doniosłem — powiada minister — o tych zamachach sądowi kryminalnemu, lecz prawa są bezsilne; ho-

nor, uczciwość nakazują mi tu oświadczyć, że bez najszybszej pomocy ciała prawodawczego rząd nie może brać na siebie dalszej odpowiedzialności.“ Gdy się to dzieje, nadchodzi wiadomość, że sekcyja „des Quinze-Vingts“ postanowiła, iż w razie, gdyby detronizacyja nie była wyrzeczoną tego samego dnia, o północy uderzą w dzwony i bębny na trwogę i napadną zamek. Postanowienie to przedstawiono czterdziestu ośmiu sekcyjom i wszystkie je uznały, prócz jednej. Zgromadzenie wezwało prokuratora-syndyka departamentu, który zapewnił je o swych najlepszych chęciach, ale i o swej bezsilności zarazem, oraz mera, który odpowiedział, że z chwilą powrotu do władzy może wpłynąć na lud tylko w sposób doradczy. Zgromadzenie rozeszło się, nie podejmując żadnego środka.

Powstańcy naznaczyli termin oblegania zamku w dniu 10 sierpnia: dnia 8 marsylczycy zostali przeniesieni ze swych koszar przy ulicy Blanche do klasztoru Kordelierów wraz z bronią, armatami i sztandarem. Otrzymali oni z rozkazu administracyji policyjnej pięć tysięcy ładunków z kulami. Przedmieście Saint-Antoine było punktem zbornym powstania. Wieczorem, po bardzo burzliwym posiedzeniu, Jakobini udali się tam z całym orszakiem i wówczas zorganizowano powstanie. Postanowiono znieść departament, złożyć z urzędu Pétona, ażeby usunąć go od obowiązków jego stanowiska i wszelkiej odpowiedzialności; wreszcie zastąpić radę ogólną obecnej gminy miejskiej municypalnością powstańczą. Wichrzyciele udali się jednocześnie do sekcyj przedmieść i do koszar sprzymierzonych marsylczyków i bretonów.

Dwór od pewnego czasu był uprzedzony o niebezpieczeństwie i zajął stanowisko obronne. Może w tej chwili sądził, iż zdoła nietylko oprzeć się, lecz jeszcze powrócić do zupełnej swej władzy. Wnętrze zamku zajęte było przez szwajcarów w liczbie ośmiu czy dziewięciuset, przez oficerów gwardyi rozpuszczonej na urlop, oraz przez grono szlachty i rojalistów, którzy się stawili uzbrojeni w szable, szpady i pistolety. Głównodowodzący gwardyją narodową,

Mandat, pospieszył na obronę zamku ze swoim sztabem; wydał on rozkaz uzbrojenia się batalionom najbardziej oddanym sprawie konstytucyi. Ministrowie otaczali też króla: prokurator-syndyk departamentu przeniósł się tam tegoż samego wieczoru na rozkaz króla, który zawezwał również i mera Pétiona, ażeby się dowiedzieć o stanie Paryża i otrzymać upoważnienie odparcia siły siłą.

O północy odezwały się dzwony, uderzono w bębny, powstańcy gromadzą się i formują szeregi; członkowie sekcij znoszą municypalność i mianują tymczasową radę gminy miejskiej, która udaje się na ratusz, aby kierować powstaniem. Z drugiej strony, bataliony gwardyi narodowej spieszą ku zamkowi i tam rozmieszczają się w podwórzach i na głównych posterunkach wraz z żandarmami na koniach; kanonierzy z armatami zajmują ulice tuileryjskie, podczas gdy szwajcarzy i ochotnicy strzegą komnat. Obrona jest w zupełnym porządku.

Tymczasem niektórzy deputowani, zbudzeni dzwonem trwogi, udali się do sali ciała prawodawczego i otworzyli posiedzenie pod prezydencją Vergniauda. Uwiadomieni, że Pétion jest w Tuileryach i mniemając, iż został tam zatrzymany i potrzebuje być oswobodzonym, zawezwali go przed Zgromadzenie dla zdania sprawy ze stanu Paryża. Na ten rozkaz opuścił zamek. Stawił się przed Zgromadzeniem, gdzie przybyła deputacya upomnieć się o niego, sądząc również, że był więźniem w Tuileryach. Powrócił z tą deputacyą na ratusz i oddany został pod straż trzystu ludzi przez nową gminę (komunę). Ta ostatnia, nie chcąc w owym dniu bezładu uznawać innej władzy, prócz władz powstańczych, sprowadziła wczesnym rankiem komendanta Mandata, aby się od niego wywiedzieć o postanowieniach powziętych na zamku. Mandat wahał się, ale ponieważ nie wiedział o zmianie zaszłej w municypalności, a obowiązek kazał mu być jej posłusznym, udał się na ratusz po drugim wezwaniu otrzymanem od komuny; spostrzegłszy po wejściu nowe osobistości, zbladł. Zarzucono mu, że kazał wojsku strzelać do ludu. Zmieszał się. Odesłano go do Opactwa (Abbaye),

ale wychodzącego zabili mordercy na schodach ratusza. Komuna oddała natychmiast dowództwo gwardyi narodowej Santerre'owi.

Dwór został więc pozbawiony swego najbardziej stanowczego i wpływowego obrońcy. Obecność Mandata, dany mu rozkaz użycia siły w razie potrzeby, były niezbędne dla skłonienia gwardyi narodowej do walki. Widok szlachty i rojalistów studził ich zapał bardzo. Mandat sam przed odejściem błagał napróżno królowę o oddalenie tego otoczenia, którego opinie ściągały podejrzenie konstytucjonistów.

Okolo godziny czwartej rano królowa przywołała do siebie prokuratora-syndyka departamentu, Roederera, który spędził noc w Tuileryach i zapytała go, co należało czynić w tych okolicznościach. Roederer odpowiedział, iż wydaje mu się koniecznem, ażeby król wraz z rodziną udał się do Zgromadzenia narodowego. „Pan radzisz — rzekł Dubouchage — aby zaprowadzić króla do jego wroga.“ Roederer odpowiedział, że przed dwoma dniami na sześćsiuset członków tego Zgromadzenia czterystu oświadczyło się za Lafayettem i że zresztą podaje ten projekt tylko jako mniej niebezpieczny. Królowa powiedziała mu wówczas tonem bardzo stanowczym: „Panie, są tu przeciw siły; czas nareszcie przekonać się, kto zwycięży, król i konstytucya, czy też bunt.“ — „Pani — dodał Roederer — obaczmy, jakie są wydane rozporządzenia dla obrony.“ Zawezwano Lachesnaye'a, dowodzącego pod nieobecność Mandata. Zapytano go, czy przedsięwziął potrzebne środki, zabezpieczające zamek przed napływem zbiegowiska, czy kazał strzedz Karuzelu? Odpowiedział twierdząco, poczem zwracając się do królowej, rzekł do niej z wielkiem niezadowolaniem: „Nie powinienem przed Panią tajić, że apartamenty przepełnione są ludźmi różnego rodzaju, którzy wiele zawadzają służbie i tamują wolny dostęp do króla, co bardzo odstręcza gwardyę narodową.“ — „To niesłusznie — odparła królowa — odpowiadam panu za wszystkich ludzi znajdujących się tutaj; pójdą oni naprzód, w tył, w szeregach, jak

zechcecie; gotowi są na wszystko, co się okaże potrzebnem. Są to ludzie pewni.“ Ograniczono się na wysłaniu do Zgromadzenia dwóch ministrów, de Joly'ego i Championa, z zawiadomieniem o niebezpieczeństwie oraz z żądaniem komisarzy i pomocy *).

Rozdwojenie istniało już pomiędzy obrońcami zamku, kiedy Ludwik XVI robił ich przegląd o godzinie piątej rano. Najprzód obszedł posterunki wewnętrzne, które znalazł ożywione najlepszymi chęciami; towarzyszyło mu kilka osób z rodziny; był nadzwyczaj smutny. „Nie odłączę — rzekł — sprawy mojej od sprawy dobrych obywateli; ocalimy się lub zginiemy.“ Następnie zeszedł w podwórza, otoczony kilku generałami. Z ukazaniem się jego uderzono w bębny; rozległ się okrzyk: „Niech żyje król!“, powtórzony przez gwardyę narodową; ale kanonierzy i batalion Czerwonego Krzyża odpowiedzieli nań, wołając: „Niech żyje naród!“ W tejsze chwili nadciągnęły świeże bataliony, uzbrojone w karabiny i włócznie, które defilując przed królem, ażeby stanąć na tarasie Sekwany, wykrzykiwały: „Niech żyje naród! Niech żyje Pétion!“ Król czynił dalszy przegląd, zasmucony tą przepowiednią. Z najwyższymi oznakami poświęcenia witany był przez bataliony des Filles-Saint-Thomas i Petits-Pères, zajmujące taras wzdłuż zamku. Gdy przechodził przez ogród, dla przejrzenia posterunków przy Pont-Tournant, bataliony uzbrojone w piki ścigały go okrzykami: „Precz z veto! Precz ze zdrajcą!“ A kiedy król powrócił, opuściły swoje stanowisko, rozlokowały się przy Pont-Royal i skierowały armaty na zamek. Dwa inne bataliony, ustawione w podwórzach, poszły za ich przykładem i zajęły plac przed Karuzelem w postawie zaczepnej. Wchodząc do zamku, król był blady, zniechęcony, a królowa rzekła: „Wszystko stracone! Ten mniemany przegląd uczynił więcej złego, niż dobrego.“

*) Kronika pięćdziesięciu dni, od 20 czerwca do 10 sierpnia 1792 r. ułożona według notatek autentycznych, przez P. L. Roederera, Paryż, 1832. Historia tej epoki jest w niej opowiedziana z największymi szczegółami i z najskrupulatniejszą dokładnością.

Podczas gdy się to wszystko działo w Tuileriach, powstańcy posuwali się kilku kolumnami; noc im zeszała na zbieraniu się i organizowaniu. Z samego rana zdobyli arsenał i rozebrali broń. Kolumna z przedmieścia Saint-Antoine, złożona z piętnastu tysięcy ludzi i druga z przedmieścia Saint-Marceau, licząca pięć tysięcy, wyruszyły około szóstej rano. Tłum powiększał je po drodze. Dyrektoryat departamentalny kazał ustawić armaty na Pont-Neuf, aby nie dopuścić złączenia się napastujących z obu stron rzeki; ale prokurator komuny, Manuel, wydał rozporządzenie cofnięcia ich z tej pozycyi, oswobodzając przejście mostu. Już przednia straż przedmieść, składająca się ze sprzymierzonych (fédérés) marsylskich i bretońskich, wyszedłszy z ulicy Saint-Honoré, zabierała się do walki przed Karuzelem, kierując działa na zamek. De Joly i Champion powrócili ze Zgromadzenia, oznajmiając, że zastali liczbę członków niewystarczającą do obradowania, że składało się ono zaledwie z sześćdziesięciu lub osiemdziesięciu osób i że nie wysłuchało ich przedstawień. Wtedy to prokurator-syndyk departamentu, Roederer, wraz z członkami departamentu wyszedł do powstańców, powiedział, że tłum tak liczny nie może mieć dostępu do króla, ani też do Zgromadzenia narodowego i wezwał ich do wyznaczenia dwudziestu deputowanych i powierzenia im swych żądań. Lecz nie słuchano go wcale. Zwrócił się do gwardyi narodowej, powołał się na artykuł prawa, nakazujący w razie najścia odpiierać siłę — siłą, ale bardzo mała część gwardyi narodowej zdawała się być skłonną ku temu, a kanonierzy za całą odpowiedź wykręcili kule z armat. Roederer widząc, że powstańcy mają wszędzie przewagę, że stali się panami komuny, że rozporządzają tłumem, a nawet wojskiem, wrócił pospiesznie do zamku na czele dyrektoryatu wykonawczego.

Król naradzał się z królową i ministrami. Urzędnik municypalny rzucił popłoch, oznajmiając, że kolumny powstańcze zbliżają się do Tuileriów. „Czegóż oni chcą?“ — zapytał wielki kanclerz de Joly. „Detronizacyi“ — odpowiedział urzędnik. „Niech zgromadzenie to rozstrzygnie“ —

dodał minister. „Ale po detronizacji cóż dalej nastąpi?“ — zapytała królowa. Urzędnik municypalny skłonił się, nie odrzekłszy. W tej chwili wszedł Roederer, który zwiększył przerażenie dworu, oświadczając, że niebezpieczeństwo bardzo groźne, że gromady powstańcze są nieprzejednane, a gwardya narodowa nie jest pewną. „Najjaśniejszy Panie — rzekł tonem nagłym — Wasza Królewska Mość nie ma ani pięciu minut do stracenia; tylko wśród Zgromadzenia narodowego znaleźć możesz bezpieczeństwo; zdaniem departamentu, trzeba się tam udać bezzwłocznie; w podwórzach niema dostatecznej liczby ludzi do obrony zamku; a nadto nie są oni przychylnie usposobieni. Kanonierzy na samą wzmiankę o obronie powykęcali naboje z armat.“ Zrazu król, odpowiedział, że nie widział tak wielu ludzi przed Karuzelem, a królowa dodała z żywością, że król posiada siły do bronięcia zamku. Ale na ponowne naleganie Roederera król, popatrzwszy nań uważnie przez kilka sekund, zwrócił się do królowej i rzekł, wstając: „Pójdźmy!“ Madame Elisabeth, podchodząc wówczas do prokuratora-syndyka, zapytała: „Panie Roederer, czy odpowiadasz za życie króla?“ — „Tak pani, mojem własnem — odparł — isé będę tuż przy nim.“

Ludwik XVI wyszedł ze swego pokoju z rodziną, z ministrami, z członkami departamentu, oznajmiając osobom przybyłym do zamku z zamiarem bronięcia go, że udaje się do Zgromadzenia narodowego. Stał pomiędzy dwoma szeregami gwardzistów narodowych, wezwanych, ażeby mu służyć za eskortę, przeszedł przez komnaty i ogród Tuileryjski. Deputacya ze Zgromadzenia, uprzedzonego o przybyciu króla, wyszła na jego spotkanie. „Najjaśniejszy Panie — przemówił przewodniczący tej deputacyi — Zgromadzenie, pragnąc przyczynić się do twojego bezpieczeństwa, ofiaruje ci i twej rodzinie schronienie w swem łonie.“ Orszak ruszył w pochód i z wielką trudnością przebył taras Feuillantów, zapelniony tłumem bardzo ożywionym, który miotał obelgi i pogrożki. Król wraz z rodziną przy tak uciążliwym pochodzie dostał się do sali Zgroma-

dzenia, gdzie zajął miejsca przeznaczone dla ministrów. „Panowie — odezwał się wówczas — przybyłem tutaj, chcąc uniknąć wielkiej zbrodni i sądzę, że nigdzie nie mogę być bezpieczniejszym, niż wśród was.“ — „Najjaśniejszy Panie — odparł Vergniaud, przewodniczący Zgromadzenia — możesz liczyć na stałość Zgromadzenia narodowego; członkowie jego przysięgli umrzeć w obronie praw ludu i władz konstytucyjnych.“ Poczem król usiadł obok prezydenta. Ale Chabot przypomniał, że Zgromadzenie nie może obradować w obecności króla; zatem Ludwik XVI przeszedł z rodziną i ministrami do łoży *Logografu* (stenografów), znajdującej się za prezydentem i skąd można było wszystko widzieć i wszystko słyszeć.

Z odejściem króla ustał wszelki powód oporu. Zresztą środki obrony zmniejszyły się przez oddalenie gwardzystów narodowych, eskortujących Ludwika XVI. Żandarmi opuścili swe stanowisko, wołając: „Niech żyje naród!“ Gwardya narodowa przechyliła się na stronę oblegających. Ale nieprzyjaciele stali wobec siebie i chociaż powód do walki już nie istniał, mimo to już ona się wszczęła. Kolumny powstańcze otaczały zamek. Marsylczycy i bretonowie, przodujący w szeregach, wylamali bramę królewską na placu Karuzelu i wdarli się na dziedzińce zamkowe. Dowodził nimi dawny podoficer, zowiący się Westerman, przyjaciel Dantona i człowiek wielkiej odwagi. Uszykował swój oddział do boju i podstąpił do kanonierów, którzy za jego namową przyłączyli się do marsylczyków wraz z działami. W oknach zamkowych stali szwajcarzy w postawie nieruchomej. Oba wojska poglądały na siebie czas jakiś, nie zaczepiając się. Kilku z oblegających podeszło nawet w chęci zbratania się, a szwajcarzy wyrzucali przez okna ładunki na znak zgody; tamci podstąpili aż do przedsiönka, zajętego przez innych obrońców zamku. Baryera rozdzielała ich. Tam rozpoczęła się walka i nie wiadomo dotąd, która strona dała hasło napaści. Szwajcarzy wówczas rozpoczęli morderczy ogień, powstańcy się rozpiierzchli. Plac Karuzelu został opróżniony. Wkrótce jednak marsylczycy i bretonowie

powrócili z większą siłą: bombardowano i obsaczano szwajcarów. Trzymali się, pokąd nie odebrali od króla rozkazu zaprzestania ognia. Rozjątrzeni jednak powstańcy ścigali ich dalej, dopuszczając się najkrwawszego odwetu. Nie była to już walka, lecz rzeź: pospólstwo oddało się w zamku wszelkim bezprawiom zwycięstwa.

Podczas tego Zgromadzenie znajdowało się w najwyższej trwodze. Pierwsze strzały działowe wywołały przerażenie. W miarę wzmagającej się walki artyleryjskiej popłoch wzrastał. Była chwila, w której członkowie Zgromadzenia uważali się za zgubionych. Jakiś oficer wpadł do sali, wołając: „Na miejsca, prawodawcy, jesteście zdobyć!” Kilku deputowanych powstało, chcąc wyjść. „Nie, nie — oparli się inni — to jest nasze stanowisko.“ Trybuny wykrzyknęły zaraz: „Niech żyje Zgromadzenie narodowe!“ a Zgromadzenie odpowiedziało głośno: „Niech żyje naród!“ Nareszcie usłyszano z zewnątrz okrzyki: „Zwycięstwo! zwycięstwo!“ Los monarchii był rozstrzygnięty.

Zgromadzenie wydało natychmiast odezwę, nawołując do przywrócenia spokoju i zaklinając lud, aby szanował sprawiedliwość, swych urzędników, prawa człowieka, wolność, równość. Ale pospólstwo i jego przywódcy, posiadłszy wszechwładzę, postanowili używać jej. Nowa municypalność przybywała, ażeby dać poznać swą potęgę. Poprzedzały ją trzy chorągwie z napisami: *Ojczyzna, wolność, równość*. Przemowa jej była rozkazująca i kończyła się żądaniem złożenia z urzędu króla i konwencji narodowej. Deputacje napływały jedna za drugą, a wszystkie przedstawiały jednaki życzenie, czyli jaśniej mówiąc, wydawały jednaki rozkaz. Zgromadzenie widziało się zmuszonym zadowolić je. Jednakże nie chciało brać na swą odpowiedzialność detronizacji króla. Vergniaud wstąpił na trybunę w imieniu komisji dwunastu i rzekł: „Przychodzę podać wam środek bardzo surowy, odwołuję się wszakże do waszej boleści, ażeby osądzić, jak wiele zależy na natychmiastowem przyjęciu go.“ Środek ten polegał na zwołaniu Zgromadzenia narodowego, na złożeniu ministrów, zawieszeniu władzy

króla. Zgromadzenie przyjęło go jednogodnie. Przywołano ministrów Żyrodystów; wprowadzono w wykonanie sławne dekrety; wywieziono około czterech tysięcy księży, niezwiązanych przysięgą i wysłano komisarzy do wojsk, aby się co do nich zapewnić. Ludwik XVI, któremu Zgromadzenie wyznaczyło naprzód pałac Luksemburski na mieszkanie, został jako więzień przeniesiony do Temple, przez wszechmocną komunę, pod pozorem, że inaczej nie może odpowiadać za jego osobę. W końcu dzień 23 września został naznaczony na otwarcie Zgromadzenia nadzwyczajnego, które miało rozstrzygać o losie władzy królewskiej. Lecz władza ta w istocie rzeczy upadła z dniem 10 sierpnia, z dniem powstania spóółstwa przeciw klasie średniej i przeciw tronowi konstytucyjnemu, jak 14 lipca był dniem powstania klasy średniej przeciw klasom uprzywilejowanym i nieograniczonej władzy korony. Dzień 10 sierpnia rozpoczął epokę dyktatorską i samowolną rewolucyi. Okoliczności, stając się coraz trudniejszemi, wywołały wielką wojnę, która rozbudziła nadmiar energii, a energia ta rozkielznana, ponieważ była ludową, uczyniła niespokojnem, gnębiącym i okrutnem panowanie klasy niższej. Wówczas natura zagadnienia zmieniła się całkiem; nie miało ono już na celu wolności, ale ocalenie publiczne; a okres Konwencyi, poczynawszy od końca konstytucyi z 1791 roku aż do chwili ustanowienia Dyrektoryatu przez konstytucyę z roku III, był długą kampanią rewolucyi przeciw stronnictwom i przeciw Europie. I czyliż mogło być inaczej? „Przy raz ustalonym ruchu rewolucyjnym — powiada de Maistre *) — Francya i monarchia mogły być ocalone jedynie przez jakobinizm. Nasi potomkowie, którzy bardzo mało troszczyć się będą o nasze cierpienia i którzy tańczyć będą na naszych grobach, wyśmieją naszą ciemnotę obecną. Pocieszą się łatwo po nadużyciach, na które patrzyliśmy, a które zachowają całość najpiękniejszego królestwa.“

*) *Uwagi o Francyi*, Lozanna, 1796.

Departamenty przyklasnęły wypadkom z d. 10 sierpnia. Armia, której udziela się zawsze nieco później wpływ rewolucyi, była jeszcze rojalistyczno-konstytucyjną; ponieważ jednak wojska podlegały stronnictwom, musiały uleże z łatwością opinii panującej. Generałowie drugorzędni, tacy, jak Dumouriez, Custine, Biron, Kellerman, Labourdonnaie, skłonni byli do uznania ostatnich zmian. Nic nie postanowili jeszcze, mając nadzieję, że ta rewolucya przyniesie im awanse. Nie tak się rzecz miała z dwoma naczelnymi generałami. Luckner chwiał się niezdecydowany pomiędzy powstaniem z 10 sierpnia, które nazywał „małym wypadkiem zaszłym w Paryżu,“ a swoim przyjacielem Lafayettem. Ten ostatni, przywódca partii konstytucyjnej, przejęty nawskróś ważnością swojej przysięgi, pragnął wciąż jeszcze bronić wywróconego tronu i konstytucyi, która już nie istniała. Miał pod swoim dowództwem około trzydziestu tysięcy ludzi, przywiązanych do jego sprawy i jego osoby. Główna jego kwatera znajdowała się w pobliżu Sedanu. Mając zamiar waleczyć na korzyść konstytucyi, porozumiewał się z municypalnością tego miasta i dyrektoryatem departamentu Ardenów, w celu ustanowienia cywilnego centrum, do którego mogłyby się przyłączyć wszystkie departamenty. Trzej komisarze, Kersaint, Antonelle, Péraldy, wysłani przez ciało prawodawcze do jego armii, zostali zatrzymani i osadzeni w wieży sedańskiej. Postępek ten usprawiedliwiono tem, że ponieważ *Zgromadzenie zostało pogwałconem, członkowie podejmujący się podobnej misyi mogli być tylko wodzami lub narzędziami buntu, który ujarzmił Zgromadzenie narodowe i króla.* Poczem wojska oraz władze cywilne ponowiły przysięgę konstytucyi i Lafayette usiłował zwiększyć obręb powstania wojskowego przeciw powstaniu ludowemu.

Być może, że w chwili owej generał Lafayette za wiele myślał o przeszłości, o prawie, o wspólnych przysięgach, a nie dość o położeniu istotnie nadzwyczajnem, w jakim znajdowała się Francya. Widział on tylko zniweczone najdroższe nadzieje przyjaciół wolności, państwo zawładnięte

przez demagogię i anarchiczne rządy Jakobinów; lecz nie dostrzegł smutnego fatalizmu położenia, prowadzącego do tryumfu tych ostatnich uczestników Rewolucyi. Mieszczaństwo, które było dość silnem, ażeby obalić dawny porządek rzeczy i wynieść się ponad klasy uprzywilejowane, ale które wypoczywało po tem zwycięztwie, nie zdawało się zdolnem do odparcia emigracyi i Europy całej. Dla podolenia takiemu zadaniu dokonywało się nowe wstrząśnienie, tworzyła się nowa wiara; napływała klasa liczna, pełna zapału, jeszcze niewyczerpana i pałająca taką namiętnością dla dnia 10 sierpnia, jaką czuło mieszczaństwo dla 14 lipca. Lafayette nie mógł pogodzić się z nią; zwalczał ją za Konstytuanty, na Polu Marsowem, przed i po 20 czerwca. Nie mógł on trzymać się swej dawnej roli, ani bronić istnienia stronnictwa sprawiedliwego, lecz osądzonego przez wypadki, bez narażenia losów swojego kraju i następstw Rewolucyi, do której był szczerze przywiązany. Opór jego przedłużając się dalej, byłby wzniecił wojnę domową pomiędzy wojskiem a ludem, w chwili, w której nie było nawet pewnem, czy połączenie wszystkich wysiłków wystarczy na pokonanie wojny zagranicznej.

Działo się to dnia 19 sierpnia. Armia najezdnicza, wyruszywszy 30 lipca z Koblencyi, szła w górę Mozelli i posuwała się ku tej granicy. Wojsko skłonem było, ze względu na ogólne niebezpieczeństwo, poddać się rozkazom Zgromadzenia; Luckner, pochwalający zrazu postępowanie Lafayette'a, odwołał swe zdanie, *placząc i wyprzysięgając się* przed municypalnością Metz; Lafayette uczuł sam, iż trzeba było ustąpić wobec silniejszego przeznaczenia. Opuścił swoją armię, biorąc na siebie odpowiedzialność za całe to powstanie. Towarzyszyli mu Bureau-de-Pussy, Latour-Maubourg, Aleksander Lameth i kilku innych oficerów jego sztabu. Dążył po przez posterunki nieprzyjacielskie ku Holandyi, skąd zamierzał udać się do Stanów Zjednoczonych, swej drugiej ojczyzny. Poznano go jednak i zatrzymano wraz z towarzyszami. Wbrew wszelkim prawom ludzkim, traktowany jako jeńiec wojenny, został najprzód zamknięty

w więzieniu magdeburgskim, a następnie przez austriaków w Ołomuńcu. Parlament angielski sam ze swej strony czynił za nim starania; ale dopiero Bonaparte uwolnił go z więzienia po traktacie w Campo-Formio. W ciągu czteroletniej najcięższej niewoli, wystawiony na wszelkie niedostatki, nieświadom losu wolności i swej ojczyzny, mając przed sobą jedynie opłakaną dolę więźnia, okazywał najbardziej bohaterką odwagę. Uwolnienie jego uczyniono zależnem od wyparcia się niektórych przekonań, ale wołał pozostać pogrzebanym w więzieniu, niżeli zaprzeczyć się świętej sprawy, której się poświęcił. Za naszych czasów życie niewielu ludzi było tak czystem, jak Lafayette'a, niewiele charakterów było piękniejszych, niewiele popularności dłużej trwających i lepiej zdobytych. Broniąc w Ameryce wolności przy boku Washingtona, pragnął w podobny sposób jak tamten zaprowadzić ją we Francji; {lecz czyż to piękne zadanie możebnem było podczas naszej Rewolucyi? Jeśli naród jaki ubiega się o wolność bez rozterek wewnętrznych i ma nieprzyjaciół tylko w cudzoziemcach, może znaleźć oswobodziciela i wydać w Niderlandach — księcia Oranii, w Ameryce — Washingtona; ale jeżeli dobija się o nią wbrew swoim i przeciwni obcym, wśród stronnictw i walk, może wydać tylko Kromwella lub Bonapartego, którzy obwołują się dyktatorami pośród zapasów lub po wyczerpaniu się stronnictw. Lafayette, czynny w pierwszej epoce przelomu, oświadczył się z zapalem za jej rezultatami. Został przywódcą klasy średniej, na czele gwardyi narodowej podczas Konstytuanty, lub na czele wojska za Zgromadzenia prawodawczego. Wzniósł się przez nią i znikł wraz z nią. Można rzec o nim, że jeżeli dopuścił się jakichś błędów swego stanowiska, miał zawsze jeden cel — wolność i posługiwał się jednym tylko środkiem — prawem. Sposób, w jaki, młodym jeszcze będąc, poświęcił się oswobodzeniu dwóch światów, jego chwalebne zachowanie się, jego niezłomna stałość, otoczą go czciami u potomności, wobec której człowiek nie ma dwu sław, jak w czasie ścierania się stronnictw, ale zdobywa swoją prawdziwą chwałę.

Sprawcy wypadków 10 sierpnia dzielili się coraz bardziej, nie mogąc się porozumieć co do rezultatów, jakie powinna była wydać ta Rewolucya. Stronnictwo zuchwałe i gwałtowne, które zawładnęło gminą (komuną), chciało za pośrednictwem jej opanować Paryż, za pośrednictwem Paryża — Zgromadzenie narodowe, a za pośrednictwem Zgromadzenia — Francję. Po wyjednaniu przeniesienia Ludwika XVI do Temple, kazało zburzyć wszystkie posągi królów i zniszczyć wszelkie godła monarsze. Ponieważ dyrektoryat departamentalny dzierżył władzę nadzorczą nad municypalnością, zniosło go, dla uczynienia jej niezależną. Prawo wymagało pewnych warunków, ażeby zostać obywatelem czynnym; zawyrokowano zawieszenie go, wprowadzając tym sposobem pospólstwo do zarządu państwa. Jednocześnie zażądało ustanowienia nadzwyczajnego trybunału, któryby sądził spiskowców z 10 sierpnia. Zgromadzenie, nie okazując dostatecznej uległości i starając się za pomocą proklamacyi przywrócić w narodzie uczucie bardziej umiarkowane oraz sprawiedliwe, otrzymało z ratusza poselstwo z pogrozkami. „Jako obywatel — mówił jeden z członków gminy (komuny) — jako urzędnik ludu, przybywam oznajmić wam, że dzisiejszego wieczoru, o północy, odezwie się dzwon, uderzą na alarm. Lud znużył się tem, że nie został pomszczonym; drżycie z obawy, aby sam sobie nie wymierzył sprawiedliwości.“ „Jeżeli w ciągu dwu lub trzech godzin — odzywał się inny — przewodniczący sądu przysięgłych nie zostanie zamianowany, jeżeli sąd przysięgłych nie będzie w możności działania, wielkie nieszczęścia spadną na Paryż.“ Dla zapobieżenia nowym klęskom Zgromadzenie było zmuszone ustanowić nadzwyczajny trybunał kryminalny. Trybunał ten skazał kilka osób, ale komunie, nurtowanej ohydnyymi zamiarami, wydał się nie dość sprężystym.

Miała ona na czele Marata, Panisa, Sergenta, Duplaina, Lenfenta, Leforta, Jourdeuila, Collot d'Herboisa, Billaud-Varennesa, Talliena i innych. Ale głównym przywódcą tego stronnictwa był podówczas Danton, który więcej,

niż ktokolwiek, przyczynił się do wypadków 10 sierpnia. Przez tę całą noc biegał on od sekcij do koszar marsylczyków i bretonów, a stamtąd do przedmieść. Członek komuny rewolucyjnej, kierował on jej czynnościami, a następnie otrzymał nominację na ministra sprawiedliwości.

Danton był olbrzymem, jako rewolucjonista. Żaden środek nie wydawał mu się nagannym, byle tylko był mu użytecznym; według niego wszystko było możebnem, na co stawiała odwagi. Danton, zwany Mirabeau ludowym, podobny był do tego trybuna klas wyższych: rysy miał wydatne, głos silny, ruchy gwałtowne, wymowę śmiałą, czoło dominujące. Występki ich były również jednakie, ale wady Mirabeau były wadami patrycyusza, a Dantona — wadami demokracji; i śmiałość pomysłów Mirabeau odnajdywała się w Dantonie, ale w odmienny sposób, ponieważ pochodził on w Rewolucyi z innej klasy i z innej epoki. Gwałtowny, obarczony długami i potrzebami, obyczajów rozwiązłych, oddający się na przemian namiętnościom lub swemu stronnictwu, strasznym był w swej polityce, gdy szło o dojście do jakiegoś celu, a powracał do zubożenia po osiągnięciu go. Potężny ten demagog przedstawiał mieszaninę wad i zalet przeciwnych sobie. Chociaż zaprzedał się był dworowi, zachował wyniosłą zuchwałość swych uczuć republikańskich, nawet w nieczemności swego zepsucia. Okazał się tępicielem bez okrucieństwa, nieublaganym względem mas, a ludzkim i nawet wspaniałomyślnym dla jednostek *). Rewolucya w czasach jego była grą, w której zwycięzca, jeżeli tego potrzebował, wygrywał życie zwyciężonego. Ocalenie własnego stronnictwa szło u niego przed prawem, nawet przed uczuciem ludzkim i to właśnie tłumaczy jego zamachy po 10 sierpnia, oraz powrót do umiarkowania, skoro sądził, że rzeczpospolita jest ustaloną.

*) W owym czasie, gdy komuna przygotowywała rzeź na dzień 2 września, uratował wszystkich tych, którzy się do niego zgłosili; za własnym idąc popędem, kazał wypuścić z więzienia Duporta, Barnave'a i K. Lametha, chociaż byli oni niejako jego osobistymi przeciwnikami.

W tej epoce prusacy posuwający się według powyżej wskazanego porządku, przeszli granicę po dwudziestodniowym marszu. Armia Sedanu była bez wodza i niezdolna oprzeć się siłom tak przeważającym i tak dobrze zorganizowanym. Dnia 20 sierpnia Longwy zostało osaczone przez prusaków, 21 zbombardowano je, a 24 kapitulowało. Dnia 30 wojsko nieprzyjacielskie podstąpiło pod Verdun, otoczyło je i rozpoczęło bombardowanie. Po wzięciu Verdun droga do stolicy stanęła otworem. Zdobycie Longwy, bliskość tak wielkiego niebezpieczeństwa, wtrąciły Paryż w stan największego wzburzenia i popłochu. Rada wykonawcza, złożona z ministrów, została powołaną do komitetu obrony powszechnej, ażeby obmyśleć najpewniejsze środki wobec okoliczności tak niebezpiecznych. Jedni chcieli oczekiwać nieprzyjaciela pod murami stolicy, drudzy — cofnąć się do Saumur. Kiedy przyszła kolej mówienia na Dantona, rzekł: „Wszak o tem wiecie, że Francya jest w Paryżu; jeśli pozostawicie stolicę cudzoziemcowi, wydacie mu i siebie i Francję. W Paryżu trzeba utrzymać się wszelkimi siłami; nie mogę przyjąć planu zalecającego wydalenie was stąd. Drugi projekt nie wydaje mi się lepszym. Niepodobna myśleć o walce pod murami stolicy; 10 sierpnia podzielił Francję na dwa stronnictwa, z których jedno przywiązaniem jest do władzy królewskiej, a drugie pragnie Rzeczypospolitej. Na to ostatnie, którego nadzwyczajna mniejszość w państwie nie powinna wam być tajną, możecie jedynie liczyć w razie walki. Tamto nie pójdzie do boju, wicherzyć będzie w Paryżu na rzecz cudzoziemca; wtedy wasi obrońcy, wzięci we dwa ognie, isć będą na śmierć, żeby go odeprzeć. Jeżeli polegną, o czem nie wątpię, zguba Francyi i wasza jest nieuniknioną; jeśli zaś wbrew wszelkim oczekiwaniom powrócą zwycięzcami koalicji, zwycięstwo to będzie niemniej waszą porażką, bo kosztować was będzie tysiące dzielnych, wówczas kiedy rojalisci, liczniejsi od was, nie stracą ze swych sił i wpływu. Mojem zdaniem, chcąc pomieszać im szyki i powstrzymać nieprzyjaciela, trzeba przerazić rojalistów.“ Komitet, który zrozumiał znaczenie

tych słów okropnych, zdumiał. „Tak jest, powiadam wam — powtórzył Danton — trzeba napędzić im strachu...” A ponieważ komitet przerażeniem swem i milczeniem odrzucił tę ohydną propozycję, Danton porozumiał się z komuną: chciał za pomocą trwogi zgnieść swych nieprzyjaciół, wciągać coraz bardziej pospólstwo, czyniąc je swoim współnikiem i nie pozostawić Rewolucyi innej ucieczki, nad zwycięstwo.

Dokonano rewizyi po domach z ponurą i nadzwyczajną okazałością; uwięziono wielką liczbę osób, podejrzanych stronnictwu rewolucyjnemu, wskutek swego stanowiska i sposobu myślenia. Nieszczęśliwych tych więźniów wybrano przeważnie spośród dwu klas odszczepieńczych, to jest spośród duchowieństwa i szlachty, które oskarżono o spisek za ciała prawodawczego. Obywatele, zdadni do noszenia broni, zostali zaciągnięci w szeregi na Polu Marsowem i wyruszyli dnia 1 września ku granicy. Uderzono na alarm, odezwały się dzwony, strzelano z dział, a Danton stanąwszy przed Zgromadzeniem, aby mu zdać sprawę ze środków przedsięwziętych dla ratowania ojczyzny, rzekł: „Głos dział, który słyszycie, nie jest bynajmniej głosem trwogi; jest to atak na naszych nieprzyjaciół. Aby ich zwyciężyć, aby ich pokonać, czegoż potrzeba? Śmiałości — jeszcze raz śmiałości — i zawsze śmiałości!” Wiadomość o wzięciu Verdun nadeszła w nocy z 1 na 2 września. Komuna skorzystała z chwili, kiedy Paryż przerażony sądził, iż nieprzyjaciół stoi już u jego wrót, ażeby dokonać swych strasznych zamiarów. Działa znów zagrzmiały, uderzono w dzwon na trwogę, pozamykano rogatki i rozpoczęto rzezie.

Więźniów zamkniętych u Karmelitów, w Opactwie, w więzieniach la Conciergerie i la Force, wymordowała w ciągu trzech dni gromada złożona z około trzystu oprawców, kierowanych i opłacanych przez komunę. Ci, ze spokojnym fanatyzmem znieważając dla zbrodni święte formy sprawiedliwości, raz jako sędziowie, to znów wykonawcy, zdawali się nie tyle wywierać zemstę, ile raczej pełnić rzemiosło; mordowali na zimno, bez wyrzutów sumienia,

z przekonaniem fanatyków i posłuszeństwem katów. Jeżeli jakieś nadzwyczajne okoliczności wzruszyły ich i przypomniały im uczucia ludzkie, względy sprawiedliwości i miłosierdzia, dali się zmiękczyć na chwilę i znowu rozpoczynali swe dzieło. W taki to sposób ocalało kilka ofiar, ale było ich bardzo niewiele. Zgromadzenie chciało przeszkodzić rzeziom, lecz nie mogło; ministerium było również bezsilnem, jak Zgromadzenie; dzika tylko komuna mogła wszystko i wszystkiemu rozkazywała; mer Pétion został usunięty; żołnierze strzegący więzień obawiali się stawiać oporu mordercom i pozwalali im działać; pospólstwo zdawało się być ich współnikiem, albo też zachowywało się obojętnie; reszta obywateli nie śmiała nawet okazać swego przerażenia i możnaby się dziwić, że zbrodnia tak wielka i tak długo trwająca mogła być dokonywaną i cierpianą, gdybyśmy nie wiedzieli, do czego fanatyzm stronnictw dopuścić może i co strach znieść może. Jednakże kara za tę niesłychaną zbrodnię spadła w końcu na głowy jej sprawców. Większość ich zginęła w odmęcie burzy, którą wzniciła i za pomocą środków gwałtownych, którymi się posługiwała. Rzadko się zdarza, ażeby ludzie stronnictwa nie doświadczyli losu narzuconego innym.

Rada wykonawcza, kierowana w zakresie działalności wojskowej przez Servana, kazała posuwać się batalionom nowozaciągniętym ku granicy. Chciała ona postawić najzręczniejszego generała na stanowisku najbardziej zagrożonem, ale wybór był kłopotliwy. Z pośród generałów, którzy się oświadczyli za ostatnimi wypadkami politycznymi, Kellerman wydawał się zdatnym jedynie na drugorzędnego dowódcę; wysłano go więc na miejsce chwiejnego Lucknera. Custine, jakkolwiek nie zbywało mu na doświadczeniu wojennem, zdolniejszym był do jakiegoś śmiałego przedsięwzięcia, aniżeli do prowadzenia wielkiej armii, od której miały zależeć losy Francji. Nie wierzono również w wysokie uzdolnienie wojskowe Birona, Labourdonnaie'a i innych generałów, których pozostawiono na ich dawniejszych stanowiskach wraz z oddziałami, jakie mieli pod swem do-

wództwem. Pozostawał już tylko Dumouriez, do którego Żyrondyści czuli nieco urazy i zresztą podejrzewali jego ambitne zamiary, upodobania i charakter awanturniczy, oddając niemniej sprawiedliwość wyższym jego zdolnościom. Ale ponieważ był to jedyny generał, godny tak doniosłego stanowiska, rada wykonawcza oddała mu dowództwo armii nad Mozellą.

Dumouriez udał się śpiesznie z obozu przy Maulde do obozu pod Sedanem. Zebrał radę wojenną, na której jednogłośnie postanowiono cofnąć się ku Chalons lub Reims, osłaniając się Marną. Zamiast pójść za tą niebezpieczną radą, która byłaby zniechęciła wojsko, wydała na łup Lotaryngię, Trzy Biskupstwa, część Szampanii i otworzyła drogę do Paryża, Dumouriez powziął projekt genialnego człowieka. Spostrzegł, iż trzeba było śmiałym pochodem dojść do lasów Argonny, gdzie niezawodnie uda się powstrzymać nieprzyjaciela. Las ten miał cztery wyjścia: przez Chêne-Populeux z lewej strony, przez Croix-au-Bois i Grandpré w pośrodku, przez Islettes na prawo i te otwierały lub zamykały wchód do Francji. Prusacy oddaleni byli stamtąd zaledwie o mil sześć, a Dumouriez potrzebował przebieżyć dwanaście, skrywając swe zamiary taktyczne, ażeby mógł zawładnąć pozycją. Dokonał tego w sposób bardzo zręczny i śmiały: generał Dillon, wysłany na Islettes, zajął je z siedmiu tysiącami ludzi; sam Dumouriez przybył do Grandpré i rozłożył się obozem, liczącym trzynaście tysięcy ludzi; Croix-au-Bois i Chêne-Populeux zostały też zajęte i strzeżone przez kilka oddziałów. Wówczas napisał do ministra wojny Servana: „Verdun zdobyte. Oczekuję prusaków. Obozy w Grandpré i w Islettes są Termopilami Francji: ale będę szczęśliwszym od Leonidasa.“

Na takim stanowisku Dumouriez mógł zatrzymać nieprzyjaciela, oczekując posiłków, które nadciągały ze wszystkich stron Francji. Bataliony ochotników udawały się najprzód do obozów, znajdujących się wewnątrz kraju, skąd wysyłano je do jego armii, uorganizowawszy je nieco. Z nad granicy Flandryi Beurnonville otrzymał rozkaz wy-

ruszenia z dziesięciu tysiącami ludzi i zatrzymania się w Rhétel, po lewej stronie Dumourieza, w dniu 13 września. Duval również miał się udać z siedmiu tysiącami ludzi do Chêne-Populeux; w końcu Kellerman szedł z Metzku ku prawej jego stronie, wzmacniając go dwudziestu dwoma tysiącami ludzi. Chodziło więc tylko o zyskanie na czasie.

Księżę Brunświcki, opanowawszy Verdun, przeszedł Meuzę trzema kolumnami. Generał Clairfait działał po prawej jego stronie, a księżę de Hohenlohe po lewej. Zwątpiwszy, aby mógł zmusić Dumourieza do opuszczenia zajmowanych pozycji, atakując go z frontu, próbował zająć go od tyłu. Dumouriez był tyle nieostrożnym, że zgromadził wszystkie swe siły w Grandpré i w Islettes, obsadzając słabo Chêne-Populeux i Croix-au-Bois, które co prawda były stanowiskami mniej ważnymi. Prusacy zajęli je i omal nie opanowali obozu w Grandpré i nie zmusili Dumourieza do złożenia broni. Pomimo tak ważnego błędu, niweczącego jego pierwsze kroki, nie zważył jednak o swem położeniu. Zwinął potajemnie obóz w nocy 14 września, przeszedł Aisne, której dostępu mogli mu byli wzbronić, dokonał również zręcznego odwrotu, jakim był pochód jego do Argonny i skupił swe siły w obozie pod Saint-Menehould. Już w Argonnie opóźnił pochód prusaków; chwila stawała się coraz to gorszą; potrzebował tylko utrzymać się na swem nowem stanowisku aż do połączenia się z Kellermanem i Beurnonvillem, a powodzenie kampanii byłoby już pewnem. Wojska zaprawiły się do walki, a po przybyciu Kellermana i Beurnonville'a, co nastąpiło dnia 17, liczba żołnierzy wzrosła prawie do siedemdziesięciu tysięcy.

Armia pruska śledziła obroty Dumourieza. Dnia 20 natarła na Kellermana w Valmy, aby przeciąć wojsku francuskiemu odwrót do Châlons. Żywa kanonada rozpoczęła się z obu stron. Następnie prusacy w zwartych kolumnach wstąpili na wzgórze Valmy, chcąc je opanować. Kellerman sformował też swoją piechotę w kolumny, nie kazał jej strzelać, tylko czekać na zbliżenie się nieprzyjaciela, ażeby go wziąć na bagnety. Wydał ten rozkaz przy okrzyku: „Niech

żyje naród!“, a okrzyk ów, powtórzony z końca do końca szeregów, zadziwił prusaków jeszcze bardziej, niż stałość postawy naszych wojsk. Księżę Brunświcki kazał się cofnąć swoim batalionom, już nieco zachwianym; kanonada trwała jeszcze do wieczora; nieprzyjaciel próbował nowego ataku, ale został odparty. Tryumf nam pozostał, a powodzenie pod Valmy, prawie nie nieznaczące, wywarło na nasze wojska i na opinię we Francyi wrażenie najzupełniejszego zwycięstwa. Od tej też chwili rozpoczęło się zniechęcenie nieprzyjaciela i jego odwrót. Prusacy na skutek zapewnień emigrantów dali się wplątać do tej wyprawy, jak gdyby do przechadzki wojennej; nie mieli ani magazynów, ani żywności. W otwartem polu spotykali opór coraz to żywszy; ciągle deszcze rozmiękzały drogi, żołnierze brnęli w błocie po kolana i od czterech dni całem ich pożywieniem było gotowane zboże. Więc też choroby, powstałe z picia wody nasyczonej kredą, z niedostatku i wilgoci, poczyniły najstraszniejsze spustoszenia w ich szeregach. Księżę Brunświcki doradzał odwrót, wbrew zdaniu króla pruskiego i emigrantów, którzy chcieli próbować jeszcze szczęścia w bitwie i opanować Chalons. Ale ponieważ losy monarchii pruskiej związane były z armią, a w razie porażki całkowita jej strata stawała się nieuniknioną, rada księcia Brunświckiego przemogła. Rozpoczęto układy, a prusacy odstępując od swych pierwszych wymagań, żądali już tylko przywrócenia króla na tron konstytucyjny. Tymczasem Konwencya zebrała się, ogłoszono rzeczpospolitą i rada wykonawcza odpowiedziała, że *rzeczpospolita francuska nie może słuchać żadnych przedstawień przed zupełnem ustąpieniem wojsk pruskich z terytorjum francuskiego*. Prusacy rozpoczęli więc odwrót 30 września wieczorem; słabo niepokojeni przez Kellermana, którego wysłał za nimi Dumouriez, podczas gdy sam udał się do Paryża, aby się nacieszyć swem zwycięstwem i ułożyć najście Belgii. Wojska francuskie powróciły do Verdun i do Longwy, a nieprzyjaciel, po przebyciu Ardenów i Luksemburga, przeszedł Ren w Koblencyi pod koniec października.

Wyprawa ta odznaczyła się ogólnymi powodzeniami Francyi. We Flandryi ksiązę Saxe-Teschen zmuszony był zaprzestać oblężenia Lille, po siedmiu dniach straszego bombardowania bez przerwy, ale i bez skutku. Nad Renem, Custine zdobył Trewir, Spire i Moguncyę. W Alpach generał Montesquiou opanował Sabaudyę, a generał Anselmo hrabstwo Nicy. Wojska nasze, zwyciężkie na wszystkich punktach, działały wszędzie zaczepnie i Rewolucya ocalała.

Gdyby nam przedstawiono obraz państwa, które wyszło z wielkiego przesilenia i gdyby powiedziano: państwo to miało rząd absolutny, którego władzę ograniczono; dwie klasy uprzywilejowane, które straciły swoją przewagę; ogromny lud, już wyzwolony pod wpływem cywilizacji i światła, lecz nieposiadający praw politycznych, które był zmuszony, z powodu doznawanych odmów, sam sobie zdobywać—i gdyby nadto dodano: rząd, sprzeciwiając się zrazu tej rewolucyi, poddał się jej; ale klasy uprzywilejowane zwalczały ją ciągle—oto, jakie wnioski możnaby wyprowadzić z tych danych:

Rząd dozna zału, naród objawiać będzie nieufność, a klasy uprzywilejowane napadać nowy porządek, każda w swój sposób. Szlachta, za słaba do działania wewnątrz, wyemigruje i pójdzie podburzać mocarstwa zagraniczne, a te poczynią przygotowania do ataku. Duchowieństwo, straciwszy na zewnątrz swe środki działania, pozostanie w kraju, gdzie wyszukiwać będzie nieprzyjaciół rewolucyi. Lud, zagrożony z zewnątrz, skompromitowany wewnątrz, rozdrażniony przeciw emigracji zbrojącej cudzoziemców, przeciw cudzoziemcom napastującym jego niepodległość, przeciw duchowieństwu szerzącemu powstanie w kraju — musi uważać za nieprzyjaciół: duchowieństwo, emigrację i cudzoziemców. Zażąda naprzód nadzoru, a następnie wygnania księży nieposłusznych, konfiskaty dochodu emigrantów, a wreszcie wojny przeciw Europie skoalizowanej, ażeby ją uprzędzić. Pierwsi twórcy rewolucyi potępią jej środki, gwałcające prawo; dalsi jej działacze przeciwnie dopatrzą w nich ocalenie ojczyzny i wybuchnie niezgoda między ty-

mi, którzy przekładać będą konstytucję nad państwo, a tymi, którzy państwo przelożą nad konstytucję. Panujący, popchnięty interesami korony, swojemi uczuciami i sumieniem do odrzucenia podobnej polityki, uchodzić będzie za współnika przeciw-rewolucyi, ponieważ będzie się zdawał ją popierać. Rewolucyoniści spróbują wówczas pozyskać króla, strasząc go, a gdy im się to nie uda, obalą monarchię.

Taką była historia Zgromadzenia prawodawczego. Zamieszki wewnętrzne wywołały dekret przeciwko księżom; pogroźki zewnętrzne — dekret przeciwko emigrantom; zmowa mocarstw zagranicznych — wojnę przeciw Europie; pierwsza porażka naszych wojsk — dekret obozu dwudziestotysięcznego. Odrzucenie większej części tych wyroków skłoniło Żyrodystów do podejrzewania Ludwika XVI; niesnaski ich i konstytucjonistów, którzy chcieli okazać się, jedni prawodawcami, jak za czasów pokoju, drudzy — nieprzyjaciółmi, jak za czasów wojny — poróżniło stronników Rewolucyi. Dla Żyrodystów kwestya wolności polegała na zwycięztwie, a zwycięztwo na dekretach. Dnia 20 czerwca usiłowali wyjednać przyjęcie ich, ale ponieważ nie dopięli celu, sądzili, że należało wyrzec się Rewolucyi lub tronu i wywołali wypadki 10 sierpnia. Tak więc bez zamieszek, sprowadzonych przez emigrantów, król byłby prawdopodobnie pogodził się z konstytucją, a rewolucyoniści nie byliby mogli myśleć o rzeczypospolitej.

KONWENCYA NARODOWA.

ROZDZIAŁ VI.

Od 21 września 1792 r. do 21 stycznia 1793 r.

Pierwsze kroki Konwencyi. — Sposób, w jaki powstała. — Współzawodnictwo Żyrondyistów z Górą (Montagnards). — Siła i widoki tych dwóch stronnictw. — Robespierre, Żyrondyści oskarżają go o dążenie do dyktatury. — Marat. — Nowe oskarżenie Robespierre'a przez Louveta; obrona Robespierre'a; Konwencya przechodzi do porządku dziennego. — Góra, wyszedłszy zwycięsko z tej walki, żąda sądu na Ludwika XVI. — Opinie stronnictw w tym względzie. — Konwencya postanawia, że Ludwik XVI będzie sądzonym i to przez nią. — Ludwik XVI w Temple; jego odpowiedzi przed Konwencyą; jego obrona; skazanie; odwaga i pogoda jego chwili ostatnich. — Co posiadał i czego mu niedostawało jako królowi.

Konwencya ukonstytuowała się dnia 20 września 1792 r. i otworzyła swoje obrady 21. Zaraz na pierwszym swoim posiedzeniu obaliła władzę królewską i ogłosiła Rzeczpospolitą. Dnia 22 owładnęła Rewolucją, oświadczając, że datować będzie nie *od roku IV wolności*, ale *od roku I Rzeczypospolitej francuskiej*. Po tych pierwszych postanowieniach, uchwalonych jednogłośnie i z pewnem współzawodnictwem demokracji i entuzjazmu, przez oba stronnictwa, które rozdzieliły się pod koniec Zgromadzenia prawodawczego, Konwencya, zamiast rozpocząć swe prace, wpadła w spory wewnętrzne. Żyrondyści i Góra (Montagnards), przed nastaniem nowej Rewolucyi, chcieli wiedzieć, do kogo z nich należeć ona będzie, a niezmierne niebezpieczeństwa położenia nie zapobiegły ich walce. Bardziej niż kiedykol-

wiek należało obawiać się usiłowań Europy. Austria, Prusy i niektórzy książęta Niemiec zaczęły Francję przed 10 sierpnia, więc wszystko kazało przypuszczać, że i inni władcy oświadczą się przeciwko niej, po upadku monarchii, uwięzieniu Ludwika XVI i rzeziach wrześniowych. Wewnątrz liczba nieprzyjaciół Rewolucji wzrosła się. Należało dołączyć do stronników dawnego porządku, do szlachty i duchowieństwa, stronników monarchii konstytucyjnej, tych, dla których los Ludwika XVI był przedmiotem żywej troski i tych, którzy nie wierzyli w możliwość swobody bez porządku i pod panowaniem pospółstwa. Wśród tylu przeszkód i tylu przeciwników, w chwili, kiedy ich połączenie nie było zbyt trudnem, nawet ażeby walczyć, Żyrodysty i Góra napadali na siebie z najbardziej nieubłaganą zajądłością. Prawda, że te dwa stronnictwa były nieprzejednane i że ich wodzowie nie mogli się zbliżyć: tyle było powodów rozłąki w ich współzawodnictwie panowania i w ich zamiarach.

Żyrodystów zmusiły wypadki do zostania republikanami. Najodpowiedniejszą wydawała im się rola konstytucjonistów. Prawość ich zamiarów, ich wstręt do pospółstwa, odraza do środków gwałtownych, a zwłaszcza przezorność, pozwalająca jedynie kusić się o rzeczy możebne — wszystko to stawało się dla nich prawem; ale nie było im dozwolone pozostać takimi, jakimi się zrazu okazali. Staczali się po pochyłości, pociągającej ich do rzeczypospolitej i zwolna wdroszyli się do tej formy rządu. Chociaż dziś pragnęli jej gorąco i w dobrej wierze, czuli, jak trudno będzie wprowadzić ją i ustalić. Rzecz wydawała im się wielką i piękną, dostrzegali wszakże, że brak jej ludzi. Pospółstwo nie posiadało ani oświaty, ani obyczajów odpowiednich temu rodzajowi zarządu publicznego. Rewolucya, wytworzona przez zgromadzenie Konstytuanty, była prawowitą (légitime), raz przez to, że się stała możliwą, a powtóre, że była słuszną: miała ona swoją konstytucję i swoich obywateli. Ale nowa rewolucya, która powołałaby do steru klasę niższą, nie mogła być trwałą. Obrażała za wiele interesów i mogła mieć

tylko chwilowych obrońców; klasa niższa, mogąca z korzyścią brać udział w jakimś przesileniu, nie może czynić tego stale. Jednakże na niej należało się wesprzeć, przystając na tę drugą rewolucję. Żyrodystyści nie uczynili tego i znaleźli się w położeniu całkiem fałszywym; stracili poparcie konstytucjonistów, nie pozyskawszy demokratów i nie mając za sobą ani wysokiej, ani niskiej warstwy społecznej. Tworzyli też tylko pół-stronnicтво, które szybko zostało obalonym, gdyż brak mu było podstaw. Żyrodystyści po 15 sierpnia byli tem pomiędzy klasą średnią i pospółstwem, czem *monarchiści* (monarchiens), czyli stronnicтво Neckera i Mouniera było po 24 lipca pomiędzy klasami uprzywilejowanymi a mieszczaństwem.

Góra przeciwnie pragnęła rzeczypospolitej z ludem. Przywódcy tego stronnicтва, przyćmieni wziętością Żyrodystów, usiłowali obalić ich i zastąpić. Byli mniej światli, mniej wymowni, ale zęczniejsi, bardziej stanowczy i nieskrupulatni w wyborze środków. Najskrajniejsza demokracja wydawała im się najlepszym z rządów, a to, co nazywali ludem, to jest niższa klasa, było ciąglem przedmiotem ich pochlebstw i zabiegów, o tyle żarliwych, o ile interesowanych. Żadne stronnicтво nie było bardziej niebezpieczne, ale też żadne nie było bardziej konsekwentne: pracowało dla tych, z którymi walczyło.

Od czasu otwarcia Konwencyi, Żyrodystyści zajmowali prawą stronę, a Góra szczyt lewej, skąd też powstała ich nazwa. Żyrodystyści byli najsilniejsi w Zgromadzeniu: wybory departamentów wogóle wypadły według ich myśli. Wielu deputowanych ze Zgromadzenia prawodawczego zostało napowrót wybranych; a ponieważ w takich chwilach związki dużo znaczą, wszyscy członkowie, którzy trzymali z deputacją Żyrodysty lub też z gminą (komuną) Paryża przed 10 sierpnia, powracali z temi samemi przekonaniem. Inni przybyli bez systemu, bez stronnicтва, bez przywiązania, bez nieprzyjaźni: utworzyli oni to, co nazwano w tej epoce *Plaszczyzną* albo *Niziną* (la Plaine ou le Marais). To zgromadzenie bezinteresowne w walkach Żyrodysty z Górą stało

po stronie najsprawiedliwszej, pokąd mu wolno było być umiarkowanym, to jest pokąd nie zaczęło się lękać o siebie.

Góra składała się z deputowanych Paryża, których wybrano pod wpływem gminy (komuny) z 10 sierpnia i z kilku bardzo wybitnych republikanów departamentalnych; następnie pomnożyła się tymi, których podnieciły wypadki lub których napędziła trwoga. Ale chociaż w Konwencji liczebnie mniejsza, niemniej była ona bardzo potężną nawet w tej epoce. W Paryżu panowała; gminę (komunę) miała za sobą, ta zaś doszła była do powagi władzy pierwszorzędnej w państwie. Góra próbowała opanować departamenty we Francji, zaprowadzając pomiędzy municypalnością Paryża i innymi municypalnościami ciągle porozumiewania się co do zamiarów i postępowania; nie całkiem jednak jej się powiodło i większa część departamentów sprzyjała jej przeciwnikom, utrzymującym dobre ich usposobienie za pośrednictwem broszur i dzienników wysyłanych przez ministra Rolanda, którego dom Góra nazywała „biurem ducha publicznego,“ a przyjaciół „intrygantami.“ Oprócz jednak związku z gminami, który prędzej lub później musiał im się udać, mieli związek z Jakobinami. Klub ten, najbardziej wpływowy, najdawniejszy i najrozleglejszy, nie zmieniając nazwy, zmieniał usposobienie podczas każdego przesilenia; były to ramy gotowe dla ludzi przeważnego wpływu, którzy wyłączały odszczepieńców. Paryski był stolicą jakobinizmu i rządził innymi prawie wszechwładnie. Góra zawładnęła nim; to posługując się denuncyacyą, to budząc odrazę, wycofała z niej Żyrodystów, a członków pochodzenia mieszczańskiego zastąpiła *Sankiulotami*. Żyrodystom pozostało tylko ministerjum, które stojąc w opozycji z komuną, było bezsilnem w Paryżu. Góra przeciwnie rozporządzała całą rzeczywistą siłą stolicy; duchem ogółu przez Jakobinów, sekeyami i przedmieściami przez *Sankiulotów*, nareszcie powstaniem przez municypalność.

Po zatwierdzeniu Rzeczypospolitej, pierwszą myślą stronnictw było rozpoczęcie walki pomiędzy sobą. Żyron-

dysci, oburzeni rzeziami wrześnieowemi, patrzyli ze zgrozą, na obsadę Konwencyi, złożoną z ludzi, którzy właśnie je doradzali lub zalecali. Z pomiędzy nich dwóch zwłaszcza przejmowało ich wstrętem i odrazą: Robespierre, w którym widzieli dążność do tyranii i Marat, który od początku Rewolucyi występował w swych pismach jako apostoł mordu. Oskarżyli Robespierre'a z większą zawziętością, niż przeczornością; nie był on jeszcze tak dalece groźnym, aby mógł ściągnąć na siebie zarzut o dyktaturę. Nieprzyjaciele, oskarżając go o zamiary wówczas nieprawdopodobne, a do dowiedzenia niemożliwe, powiększyli sami jego popularność i znaczenie.

Robespierre, który odegrał tak straszną rolę w naszej rewolucyi, zaczął występować na plan pierwszy. Dotychczas, pomimo wszelkich usiłowań, miał zawsze wyższych od siebie w swoim własnym stronnictwie: za Konstytuanty — sławnych przywódców tego zgromadzenia; za Ciała prawodawczego — Brissota i Pétiona; 10 sierpnia — Dantona. W tych rozmaitych epokach oświadczał się stanowczo przeciwko tym, których sława lub popularność przyémiewały go. Pośród znakomitych osobistości pierwszego Zgromadzenia, nie mogąc zwrócić na siebie inaczej uwagi, jak dziwacznością swoich przekonań, występował z przesadnym reformatorstwem; podczas drugiego — przeistoczył się w konstytucyonistę, ponieważ współzawodnicy jego byli nowatorami i u Jakobinów przemawiał za pokojem dlatego, że jego współzawodnicy chcieli wojny; po 10 sierpnia dokładał wszelkich starań w tym klubie, aby zgubić Żyrodystów i wysadzić Dantona, łącząc zawsze sprawę swojej próżności ze sprawą pospółstwa. Człowiek ten o zdolnościach pospółitych, charakteru próżnego, zawdzięczał właśnie swojej niższości to, że wypłynął na wierzch jednym z ostatnich, co jest wielką korzyścią w rewolucyi, a swojej palącej miłości własnej zawdzięczał to, że zmierzał do pierwszorzędnego stanowiska, że czynił wszystko, aby je zająć, że na wszystko się ważył, aby się na niem utrzymać. Robespierre miał wszelkie właściwości tyрана: duszę wcale niewielką, co

prawda, ale też bardzo niezwykłą, przewagę, jaką daje namiętność wyłączna, wszelkie pozory patryotyzmu, zasłużoną opinię nieskazitelności, obyczaje surowe i brak odrazy do rozlewu krwi. Był on dowodem, że wśród rozruchów wewnętrznych nie umysłem dochodzi się do wyniesienia politycznego, ale postępowaniem i że mierność uparta jest potężniejszą od geniuszu, który się zastanawia. A trzeba również i to dodać, że Robespierre miał podpórę w ogromnej i fanatycznej sekcji, której rządów domagał się i której zasady podtrzymywał, począwszy od końca Konstytuanty. Sekta ta, która zrodziła się w wieku XVIII, przedstawiała pewne jego opinie. Symbolem jej politycznym było bezwzględne zwierzchnictwo *Umowy społecznej* (*Contrat social*) J. J. Rousseau'a, a zasadą wiary deizm *Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego* (*Profession de foi du Vicaire savoyard*); urzeczywistniła je nawet później chwilowo w konstytucji 93 i w czasie kultu *Istoty najwyższej* (*de l'Être suprême*). W różnych okresach Rewolucji więcej było systemu i fanatyzmu, aniżeli mniemano.

Bądź to, że Żyryndyści przewidzieli naprzód panowanie Robespierre'a, bądź też raczej, że się dali unieść swojej niechęci osobistej, dość, że go oskarżyli o największą zbrodnię wobec republikanów. Duch buntu wstrząsnął całym Paryżem: Żyryndyści chcieli ustanowić prawo przeciwko tym, którzy nawołują do nieporządków, gwałtów i jednocześnie nadać Konwencji siłę niezależną, zaczerpniętą w osiemdziesięciu trzech departamentach. Kazali wyznaczyć komisję, umocowaną do złożenia raportu w tym względzie. Góra napadła na ten projekt, jako na obelgę wyrządzoną Paryżowi; Żyrynda broniła go, zwracając uwagę na projekt tryumwiratu, pomysły przez deputację Paryża. „Urodziłem się w Paryżu — rzekł wówczas Osselin; jestem deputowanym tego miasta. Słyszę tu o stronnictwie, zawiązanem w jego łonie, które chce dyktatury, tryumwirów, trybunów. Oświadczam, że trzeba być z gruntu głupcem lub z gruntu łotrem, aby powziąć podobny projekt. Niech kłątwa spadnie na tego z grona deputacji paryskiej, kto się

ośmieli począć myśl taką! — „Tak jest — zawołał Robecqui, marsylczyk — tak jest, znajduje się w tem zgromadzeniu stronnictwo, które wzdycha do dyktatury, a wodza tego nazwę po imieniu — to Robespierre! Tego człowieka denuncyuję.“ Barbaroux poparł to oskarżenie swoim świadectwem; był on jednym z głównych sprawoów 10 sierpnia, wodzem marsylczyków i cieszył się dość znacznym wpływem na Południu. Zapewniał, że w epoce 10 sierpnia, kiedy marsylczycy byli poszukiwani przez oba stronnictwa, na które dzieliła się stolica, został zawezwany do Robespierre'a, że tam zachęcano go, aby się przyłączył do obywateli, posiadających większą popularność i że Panis wymienił mu *Robespierre'a jako człowieka cnotliwego, mającego zostać dyktatorem Francyi.* Barbaroux był człowiekiem czynu. Prawica liczyła kilku członków, którzy myśleli wraz z nim, że trzeba zwyciężyć przeciwników, bo inaczej będą przez nich zwyciężeni. Chcieli oni, aby posługując się Konwencją, przeciw gminie (komunie), przeciwstawiono departamenty Paryżowi i aby nie oszczędzano bynajmniej nieprzyjaciół, póki byli słabymi, gdyż w przeciwnym razie mieliby oni czas do wzmocnienia się. Ale większość obawiała się zerwania i wzdragała się przeciw środkom gwałtownym.

Oskarżenie Robespierre'a nie miało następstw; natomiast ucepiono się Marata, który doradzał dyktaturę w swoim dzienniku *Przyjaciel ludu (Ami du peuple)* i wysławiał rzezie. Kiedy wszedł na trybunę dla usprawiedliwienia się, uczucie zgrozy przejęło całe zgromadzenie. *Precz, precz!* zawołano ze wszech stron. Marat pozostał niewzruszony. Korzystając z chwilowej ciszy, rzekł: „Mam w tem zgromadzeniu wielką liczbę osobistych nieprzyjaciół.“ — *Wszystkich, wszystkich.* — „Powołuję się na ich wstyd; upominam, aby zaprzestali szalonych wrzasków i nieprzyzwoitych pogróźek przeciw człowiekowi, który służył wolności i im samym znacznie więcej, niż oni sądzą; niechże raz jeden zechcą mnie posłuchać!“ I człowiek ten wyłożył śród Konwencji, zdumionej jego odwagą i zimną krwią, wszystko, cokolwiek myślał o proskrypcjach i o dyktaturze. W ciągu długiego

czasu uciekał z suterena do suterena przed oburzeniem publicznym i wyrokami aresztu, wymierzonymi przeciwko niemu. Ukazywały się tylko krwawe jego pisma; domagał się w nich głów i przygotowywał spóółstwo do rzezi wrzesniowych.

Niema szaleństwa, któreby nie przedostało się do głowy ludzkiej, a co gorsza, któreby nie mogło być urzeczywistnione w jakiejś chwili. Marat był opętany przez kilka myśli uporczywych (*idées fixes*). Rewolucya posiadała nieprzyjaciół, a według niego, jeśli miała trwać, nie powinna była ich posiadać; uważał przeto za rzecz bardzo słuszną wytepienie ich i mianowanie dyktatora, któryby się zajął wyłącznie proskrypcją; mówił z wyniosłością o tych dwóch środkach i z cynicznym okrucieństwem, nie oszczędzając ani przyzwoitości, ani życia ludzkiego, a nadto obrzucając pogardą wszystkie słabe umysły, które zamiast lubować się głębiokością jego projektów, nazywały je wstrętnymi. Rewolucya miała równie jak on działaczy krwiożerczych, ale ani jednego, któryby tak zgubny wpływ wywierał na swą epokę. Zniszczył moralność stronnictw, i tak już dość słabą, podniósł dwie idee, urzeczywistnione następnie przez Komitet ocalenia publicznego, za pośrednictwem jego komisarzów lub jego rządu, to jest — tepienie całych mas i dyktaturę.

Oskarżenie Marata nie miało już dalszych skutków; większą on budził odrazę, ale mniejszą nienawiść, niż Robespierre. Jedni widzieli w nim wprost waryata, drudzy traktowali jego rozprawy jako zatargi stronnictwa, nie zaś jak przedmiot mogący obchodzić Rzeczpospolitę. Zresztą nie zdawało się rzeczą bezpieczną oczyszczać Konwencyę, lub wydawać akt oskarżenia na jednego z jej członków; był to krok trudny nawet dla stronnictw. Danton nie uniewinnił wcale Marata: „Nie lubię go — mówił — doświadczyłem jego temperamentu: istny to wulkan, opryskliwy i nietowarzystki. Ale pocóż szukać w tem, co on pisze, języka buntu? Czyliż wzburzenie ogólne ma inną przyczynę, jak sam ruch rewolucyjny?“ Robespierre ze swej strony zapewniał, że

mało znał Marata, że przed 10 sierpnia miał z nim tylko jedną rozmowę, poczem Marat, którego gwałtownych opinij on wcale nie podzielał, uważał jego poglądy polityczne za tak ciasne, iż napisał w swoim dzienniku: *nie posiada ani poglądów, ani odwagi męża stanu.*

On wszakże stał się przedmiotem większego wybuchu, ponieważ jego obawiano się więcej. Pierwsze oskarżenie Rebecqui'ego i Barbaroux'a nie powiodło się. Wkrótce potem minister Roland złożył raport o stanie Francyi i Paryża; zaznaczał w nim rzeznie wrzesniowe, wdzieranie się gminy (komuny) do władzy, intrygi wicherzycieli. „Jeśli — mówił on — najmędrsi i najdzielniejsi obrońcy wolności przedstawiani są jako ludzie nienawistni albo podejrzani, jeśli zasady buntu i mordu są głośno wyznawane, oklaskiwane w zgromadzeniach, a wrzawa podnosi się nawet przeciw samej Konwencji, nie mogę już o tem wątpić, że stronnicy dawnego porządku lub też fałszywi przyjaciele ludu, kryjąc swe szaleństwo, czy też swoją nikczemność pod maską patryotyzmu, powzięli zamiar dokonania przewrotu, w którym mają nadzieję wynieść się na ruinach i trupach, oraz zakosztować krwi, złota i okrucieństwa!“ Na poparcie swego sprawozdania przyniósł list wice-prezydenta drugiej sekcyi trybunału kryminalnego, zawiadamiający go o tem, że on i najznakomitsi z Żyrondystów byli zagrożeni; że według wyrażenia ich nieprzyjaciół, *potrzeba jeszcze jednego upustu krwi* i że ci ludzie nie chcieli słyszeć o nikim, prócz o Robespierre.

Po tych słowach Robespierre bieży usprawiedliwić się z trybuny: „Nikt — woła nie będzie śmiał oskarżać mnie w oczy.“ — „Ja — odpowiada Louvet, jeden z najodważniejszych ludzi w Żyrondzie. Tak jest Robespierre, ja oskarżam cię“ — ciągnie dalej, przeszywając go swym palącym wzrokiem. Robespierre, który dotychczas nie stracił pewności siebie, poruszył się; on już raz zmierzył się był u Jakobinów z tym potężnym przeciwnikiem i znał jego dowcip, gwałtowność i odwagę. Louvet natychmiast zabrał głos i w jednej z najbardziej wymownych improwizacyj nie

oszczędzał ani nazwisk, ani postępów; przeprowadził Robespierre'a przez Jakobinów, przez komunę, przez Zgromadzenie wyborcze, ukazując go wszędzie jako „spotwarzającego najlepszych patryotów, szafującego najnikczemniejszym pochlebstwem dla kilku setek obywateli, ochrzczonych zrazu mianem ludu paryskiego, później bezwzględnie ludem, w końcu władcą; powtarzającego bezustannie listę swych zasług, zalet i cnót, niezaniebawającego nigdy, po stwierdzeniu siły, wielkości i zwierzchnictwa ludu, oświadczyć, że i on jest ludem.“ Ukazał go ukrywającego się 10 sierpnia, a potem opanowującego sprzysiężonych komuny. Doszedł następnie do rzezi wrześniowych i zawołał: „Rewolucya z dnia 10 sierpnia do wszystkich należy!“ — i dodał, zwracając się do kilku członków gminy ze stronnictwa Góry: „Ale rewolucya z dnia 2 września do was należy, do was wyłącznie! I czyż sami nie chępiłście się nią? Oni sami z dziką pogardą nazywali nas jedynie patryotami 10 sierpnia, mianując siebie z dziką dumą patryotami 2 września! Ah! niech zostaną z tem wyróżnieniem, godnem odwagi im właściwej; niech z niem zostaną na nasze trwale usprawiedliwienie i na ich wieczną hańbę! Ci rzekomi przyjaciele ludu chcieli zrzucić na lud paryski ohydę, którą się pokalał pierwszy tydzień września... Spotwarzyli go niegodnie. On umie walczyć, ten lud paryski; ale nie umie bynajmniej mordować! Prawdą jest, że go widziano przed pałacem Tuileryjskim we wspaniałym dniu 10 sierpnia; ale fałszem jest, że go widziano przed więzieniami w dniu potwornym 2 września. We wnętrzu tych więzień iluż było tych katów? Może dwustu, może i nie dwustu; a na zewnątrz, iluż można było naliczyć widzów, pociągniętych ciekawością, zaiste niepojętą? Drugie tyle — co najwięcej. Lecz — pytam — jeśli lud nie uczestniczył w tych mordach, dlaczego im nie przeszkodził? Dlaczego? Dlatego, że władza opiekuńcza Pétiona była skrepowaną, dlatego, że Roland mówił nadaremnie, dlatego, że minister sprawiedliwości, Danton, nie mówił wcale... dlatego, że prezydenci czterdziestu ośmiu sekcij czekali wezwania, którego nie wydał im

komendant główny, dlatego, że urzędnicy municypalni, przepasani szarfami, stali na czele tych wstrętnych egzekucyj. — A Zgromadzenie prawodawcze? — Zgromadzenie prawodawcze! Przedstawiciele ludu, wy je pomściciel Obezwładnienie, do jakiego wasi poprzednicy byli doprowadzeni, jest po za tyloma zbrodniami największą, więc trzeba za nią ukarać tych wściekłych szaleńców, których wam wskazuje. “ I wracając do Robespierre’a, Louvet przedstawił jego ambicje, jego intrygi, jego nadzwyczajny wpływ na pospólstwo, kończąc tę wrzącą filipikę wyliczeniem całego szeregu faktów, z których każdy był poprzedzony tą groźnie brzmiącą formułką: „Robespierze, ja cię oskarżam!“

Louvet zszedł z trybuny wśród oklasków: Robespierre błady wstąpił na nią śród szemrań, chcąc się usprawiedliwić. Czy to skutkiem zamieszania, czy z obawy przed uprzedzeniem, prosił o osiem dni zwłoki. Po upływie tego czasu powrócił, stając nie jako oskarżony, ale jako tryumfator; z ironią odparł zarzuty Louveta i zapuścił się w długą apologię swojej osoby. Trzeba przyznać, że ponieważ fakty były nieokreślone, z trudnością przyszło mu osłabiać je lub też unicestwiać. Łoże zajęli jego chwalecy; sama Konwencya, widząc w tem oskarżeniu grę miłości własnej, a nie obawiając się wcale, według Barrière’a, „człowieka jednodniowego, drobnego przedsiębiorcy zaburzeń,“ okazywała skłonność do przecięcia tych rozpraw. To też gdy Robespierre rzekł na zakończenie: „Co do mnie, nie wyprowadzam żadnych wniosków osobistych; zrzekłem się łatwego zwycięstwa, odpierania potwarzy moich przeciwników denuncyacjami bardziej groźnemi; chciałem pominąć część zaczeptą mojego usprawiedliwienia. Zrzekam się słusznej zemsty, którą miałbym prawo wyrzucić na moich potwarcach; nie żądam innej, nad powrót pokoju i tryumf wolności“ — okryto go oklaskami i Konwencya przeszła do porządku dziennego. Napróżno Louvet usiłował odpowiedzieć, nie mógł przyjść do słowa; Barbaroux również nadaremnie przedstawiał się jako oskarżyciel, a Lanjuinais powstał przeciw porządkowi dziennemu, do dyskusji już nie powró-

eono. Popierali go sami Żyromdyści; popełnili oni jeden błąd, wnosząc to oskarżenie, a drugi — nie podtrzymując go wcale. Góra, nie zostawszy zwyciężoną, wzięła przewagę, a Robespierre zbliżył się do roli, od której był tak oddalonym. W rewolucyi prędko można zostać tem, czem się być mniema; stronnictwo Góry uczyniło go swym wodzem, dlatego, że Żyromdyści prześladowali go jako takiego.

Ale daleko ważniejszemi, niż napaści osobiste, były rozprawy publiczne o ustanowieniu i zachowaniu się władz i stronnictw. Żyromdytom nie powiodło się, nietylko z jednostkami, ale i z gminą (komuną). Żaden z ich projektów nie przeszedł; były albo źle przedstawiane, albo źle podtrzymywane. Powinni byli wzmocnić rząd, zastąpić muni-cypalność, utrzymać się w klubie Jakobinów i zyskać tam przewagę, zjednać sobie masy lub zapobiedz ich działaniu; a tymczasem nie uczynili tego wszystkiego. Jeden zpośród nich, Buzot, zaproponował, aby dać Konwencyi gwardyę, złożoną z trzech tysięcy ludzi, ściągniętych z departamentów. Środek ten, który mógł przynajmniej utrzymać Zgromadzenie w niezależności, nie był dość silnie zalecany, aby został przyjętym. To też Żyromdyści napastowali Górę, ale nie osłabili jej; napastowali gminę, której nie ujarzмили i przedmieścia, których nie zniesli. Rozdrażnili Paryż, wzywając pomocy departamentów, czego wcale nie uzyskali; słowem, działali wbrew wszelkim regułom najpospolitszej przeczności; bezpieczniej bowiem jest coś zrobić, niż czemś grozić.

Przeciwnicy ich skorzystali z ręcznie z tej okoliczności. Roznieśli głucho opinię, która mogła tylko skompromitować Żyromdytów, rozpowiadając, że oni chcieli przenieść rzeczpospolitą na Południe, a resztę państwa opuścić. Wtedy wystąpił ów zarzut federalizmu, tak zgubny następnie. Żyromdyści lekceważyli go, bo nie przewidywali niebezpieczeństwa; lecz wzmagał on się w miarę, jak oni słabnąć zaczęli, a ich nieprzyjaciele stawali się zuchwalszymi. Wyrósł zaś na tle projektu przeniesienia obrony po za Loarę i rząd na Południe, w razie gdyby Północ została zajęta,

a Paryż zdobytym; następnie predylekcyą Żyrodystów dla prowincyj i ich zaciekłość przeciw agitatorom stolicy. Nie trudno było ich przeciwnikom przeistoczyć ów projekt obrony, zmieniając tylko epokę, w której został powzięty, i odkryć w naganie dla rozpasanego miasta zamiar sprzymierzenia przeciwko niemu wszystkich miast państwa. Wskazywano też pospółstwu Żyrodystów jako federalistów. Podczas kiedy oni denuncywali gminę, oskarżali Robespierre'a i Marata, Góra głosiła *jedność i niepodzielność Rzeczypospolitej*. Był to sposób atakowania ich i podania w podejrzenie, chociaż oni sami godzili się na te mniemania tak pochopnie, jak gdyby żalowali, że nie byli ich twórcami.

Pewien wypadek smutny, na pozór obcy walkom tych dwóch stronnictw, przysłużył się jeszcze lepiej Górze. Ośmielona fałszywemi usiłowaniami, skierowanemi przeciwko niej, czekała tylko sposobności, aby z kolei stać się napaśtującą. Konwencya była znużona temi długimi rozprawami: ci z jej członków, których to nie nie obchodziło, jak i ci, którzy w obu stronnictwach nie stali w pierwszych szeregach, odczuwali potrzebę zgody i chcieli raz już zająć się Rzeczpospolitą. Nastąpił pozorny rozejm i zgromadzenie przeniosło chwilowo uwagę na nową konstytucyę, którą stronnictwo Góry kazało zawiesić, dla zajęcia się postanowieniem o losie strąconego monarchy. Przywódców skrajnej lewicy skłoniło do tego kilka powodów: nie chcieli oni, aby Żyrodysty i umiarkowani z Płaszczyny, kierujący komitetem konstytucyjnym, jedni przez Pétiona, Condorceta, Brissota, Vergniauda, Gensonné'a, drudzy przez Barrière'a, Sieyesa, Tomasza Payne'a, organizowali Rzeczpospolitę. Ci byliby wskrzesili rząd z mieszczan, czyniąc ich bardziej demokratycznymi, niż w roku 1791, wówczas kiedy tamci wzdychali do ukonstytuowania pospółstwa. Ale nie mogli dojść do swego celu inaczej, jak po uzyskaniu przewagi, a do przewagi nie mogli dobić się inaczej, jak przewlekając stan rewolucyjny we Francyi. Oprócz tej potrzeby przeszkadzania w zaprowadzeniu porządku prawnego, za

pomocą tak straszliwego zamachu stanu, jak skazanie Ludwika XVI, który wstrząsnął wszystkimi namiętnościami i na nowo z nimi połączył stronnictwa gwałtowne, dopatrujące w nich nieprzejednanych stróżów Rzeczypospolitej, spodziewali się oni nadto wyprowadzić na jaw uczucia Żyrodystów, niekryjących się z chęcią wybawienia Ludwika XVI i tym sposobem zgubić ich w oczach popółstwa. Nie ulega wątpliwości, że znajdowała się pewna liczba członków Góry, którzy w tym wypadku działali z dobrą wiarą i jako republikanie wyłącznie, wobec których Ludwik XVI był winowajcą; zresztą król zdetronizowany był niebezpiecznym dla budzącej się demokracji. Z tem wszystkiem stronnictwo to okazałoby się niezawodnie mniej nieubłaganem, gdyby nie miało jednocześnie z Ludwikiem XVI do stracenia Żyrondy.

Od niejakiego czasu przysposabiano na zewnątrz umyślnie do sądu nad nim. Klub Jakobinów grzmiał obelgami przeciwko niemu; rozpuszczono najbardziej krzywdzące pogłoski o jego charakterze; żądano skazania go dla utrwalenia wolności. Stowarzyszenia ludowe z departamentów piisały do Konwencji adresy w tym samym duchu; sekcyje występowały przed Zgromadzenie; obnoszono na targach w jego obrębie rannych w dniu 10 sierpnia, którzy wołali o zemstę przeciw *Ludwikowi Kapetowi*. Nie nazywano już inaczej Ludwika XVI, jak tem mianem dawnej głowy jego rodu, sądząc, że nazwiskiem rodzinnem zastąpią jego tytuł królewski.

Pobudki stronnictwa i niechęć ludu zjednoczyły się przeciw temu nieszczęśliwemu monarsze. Ci, którzy dwa miesiące przedtem byliby odepchnęli myśl innej kary, nad strącenie go z tronu, wpadli w osłupienie: tak szybko, w czasach przewrotów, traci się prawo do obrony własnego przekonania. Zwłaszcza odkrycie szafy żelaznej podwoiło fanatyzm popółstwa i ostudziło obrońców króla. Po 10 sierpnia znaleziono w biurach listy cywilnej papiery, dowodzące stosunków tajnych Ludwika XVI z księżętami niezadowolonymi, z emigracją i z Europą. W raporcie, wydanym

przez Zgromadzenie prawodawcze, oskarżono go o zamiar zdrady stanu i obalenia Rewolucyi. Zarzucano mu, że pisał 16 kwietnia 1791 r. do biskupa z Clermont, *iz jeśli odzyska władzę, przywróci dawny rząd i duchowieństwo do stanu takiego, w jakim były dawniej*; że potem dlatego tylko proponował wojnę, aby przyspieszyć pochód swych oswobodzicieli; że utrzymywał stosunki z ludźmi, którzy pisali do niego: „Wojna zmusi wszystkie mocarstwa do połączenia się przeciwko buntownikom i łotrom tyranizującym Francję, aby kara, jaka ich spotka, posłużyła za przykład wszystkim tym, którzyby się pokusić chcieli o wicherzenie pokoju państw... Możecie liczyć na sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, tak prusaków, jak austryaków i cesarskich oraz na armię dwudziestu tysięcy emigrantów“; że był w zмовie z braćmi, których publicznie potępił; wreszcie, że nie przestawał walczyć z Rewolucją.

Przybyły nowe dowody na poparcie tych wszystkich oskarżeń. Znajdował się w Tuileryach, za ścianą z płyt kamiennych, otwór w murze, zamykający się żelaznymi drzwiami. Kryjówka ta została wskazaną ministrowi Rolandowi i w niej to znaleziono dowody wszystkich spisków i intryg dworu przeciw Rewolucyi: knowania, prowadzone z przywódcami ludowymi o wzmocnienie władzy konstytucyjnej króla, a z arystokracją — o przywrócenie dawnego porządku, manewry Talona, układy z Mirabeau, propozycje Bouillégo przyjęte za Konstytuanty i kilka nowych spisków za Ciałą prawodawczego. Odkrycie to wzmogło strasznie wzburzenie przeciw Ludwikowi XVI. U Jakobińców potłuczono popiersie Mirabeau'a, a Konwencya zasłoniła to, które się znajdowało w sali posiedzeń.

Od niejakiego czasu poruszano w Zgromadzeniu kwestję procesu tego nieszczęśliwego monarchy, który, jako z tronu złożony, nie mógł już być prześladowanym. Nie było trybunału odpowiedniego do wydania wyroku przeciwko niemu; nie było kary stosownej dla niego: to też uciekano się do fałszywych objaśnień nietykalności przyznanej Ludwikowi XVI, szukając środka skazania go sposobem le-

galnym. Największą wadą stronnictw jest to, że dopuściwszy się niesprawiedliwości, nie chcą uchodzić za niesprawiedliwe. Komitet prawodawczy, zobowiązany do rozstrzygnięcia kwestyi, czy Ludwik XVI mógł być sądzonym i to przez Konwencyę, dał odpowiedź twierdzącą. Deputowany Mailhe powstał w jego imieniu przeciw dogmatowi nietykalności; utrzymywał on, że ponieważ ten dogmat rządził epoką poprzedzającą Rewolucyę, zatem Ludwik XVI był nietykalnym jako król, ale nie jako osoba prywatna. Dowodził, że naród, nie mogąc tracić rękojmi dotyczącej czynów władzy, zastąpił nietykalność monarchy odpowiedzialnością jego ministrów; że zatem tam, gdzie Ludwik XVI działał jako człowiek prywatny, osoba jego przestawała być nietykalną, ponieważ odpowiedzialność za jego postęпки nie spadała na nikogo. Mailhe ograniczał w ten sposób opiekę konstytucyjną, przyznaną Ludwikowi XVI, do czynności królewskich. Zakończył tem, że Ludwik XVI ma być sądzonym, ponieważ złożenie z tronu nie jest karą, tylko zmianą rządu, że powinien być sądzonym na mocy artykułu Kodeksu karnego, odnoszącego się do *zdrajców i spiskowców*; że nareszcie sądzić go może Konwencya, nie przeprowadzając procedury przez inne trybunały, albowiem ona przedstawia lud, a w ludzie zbiegają się wszelkie sprawy, wszelkie zaś sprawy są związane ze sprawiedliwością, a ponieważ jest niepodobiestwem, aby trybunał narodowy pogwałcił sprawiedliwość, za zbytęczne więc uważać należy poddawanie się formom. Takim był łańcuch straszliwych sofizmatów, na mocy których komitet zamienił Konwencyę na trybunał. Stronnictwo Robespierre'a okazało się daleko konsekwentniejszym: odrzuciło ono formy jako kłamliwe, kładąc nacisk na interes państwa.

Zagajono rozprawę 13 listopada, w sześć dni po raporcie komitetu. Stronnicy nietykalności, jakkolwiek uznawali winnym Ludwika XVI, twierdzili, że nie powinien być sądzonym. Najgłówniejszym między nimi był Morisson; utrzymywał on, że nietykalność jest ogólną, że konstytucya przewidziała o wiele więcej, niż tajemne intrygi Ludwika XVI

gdyż atak otwarty z jego strony, a przecie i w tym wypadku orzekła tylko złożenie z tronu; że naród poręczył to swoim zwierzchnictwem, że Konwencya miała od niego zlecenie zmienić rząd, nie zaś sądzić Ludwika XVI; że powinny ją od tego powstrzymać nietylko zasady sprawiedliwości, ale zwyczaj wojny, jedynie w czasie bitwy pozwalające pozbyć się nieprzyjaciela, który po zwycięstwie wraca pod opiekę prawa; że zresztą Rzeczpospolita niema żadnego interesu skazywać Ludwika XVI; że dostatecznem będzie, gdy się ograniczy co do niego na środkach bezpieczeństwa ogólnego, zatrzymując go w niewoli lub skazując na wygnanie z Francyi. Taką była opinia prawicy w Konwencyi. Płaszczynna (Plaine) podzielała zdanie komitetu, a Góra (Montagnards) odrzucała i nietykalność i sąd nad Ludwikiem XVI.

„Obywatele — mówił Saint-Just — zamierzam dowieść, że zarówno przekonanie Morissona, który zachowuje nietykalność królowi, jak i komitetu, który chce, aby go sądzono jako obywatela, są jednako fałszywe. Według mnie, król powinien być sądzony jako nieprzyjaciel; naszym zadaniem, nie jest sądzić go, ale raczej zwalczyć; formy proceduralne nie mając żadnego znaczenia w umowie łączącej francuzów, nie mieszczą się wcale w prawie cywilnem, lecz w kodeksie praw ludzkich; odwłoki i namysły byłyby tu istotną nieroztropnością, a po za tą, która opóźnia chwilę nadania nam praw, najgubniejszą byłaby ta, któraby nam kazała zwlekać z królem.“ Sprowadzając wszystko do względów nieprzyjaźni i polityki, Saint-Just dodał: „Ci sami ludzie, którzy będą sądzić Ludwika, mają również ugruntować Rzeczpospolitę; ci zaś, którzy robią wielką sprawę ze słusznego ukarania jakiegoś króla, nie ugruntuja nigdy Rzeczypospolitej. Obywatele, jeśli lud rzymski, po sześciuset latach cnoty i nienawidzenia królów; jeśli Wielka Brytania po śmierci Kromwela, mimo swej energii, ujrzała odrodzenie się królów, czyż nie muszą się obawiać wśród nas dobrzy obywatele, przyjaciele wolności, patrząc na topór drżący w ręku waszym i na lud szanujący pamięć swych więźów od pier-

wszej chwili oswobodzenia?" To stronnictwo gwałtowne, które chciało zastąpić wyrok zamachem stanu, nie trzymało się żadnego prawa, żadnej formy, ale ugodzić w Ludwika XVI jako w zwyciężonego jeńca, pozwalając niechęciom przetrwać po zwycięstwie, przedstawiało bardzo słabą mniejszość w Konwencji, ale na zewnątrz silnie było popierane przez Jakobinów i przez komunę. Pomimo trwogi, jaką już wzniecało, Konwencya odrzuciła jego mordercze odezwy a zwolennicy nietykalności wystąpili odważnie z obroną powodów interesu publicznego, zarówno jak zasad sprawiedliwości i ludzkości. Utrzymywali oni, że ciż sami ludzie nie mogą być sędziami i prawodawcami, oskarżycielami i przysięgłymi. Pragnęli zresztą, aby rodzącej się Rzeczypospolitej nadano blask wielkich cnót, wspaniałomyślności i przebaczenia; chcieli, aby naśladowano przykład ludu rzymskiego, który zdobył swą wolność i zachował ją przez pięćset lat dlatego, że się okazał wspaniałomyślnym, dlatego, że nie kazał stracić Tarkwiniuszów, ale ich z kraju wygnął. Pod względem politycznym wykazywali następstwa ze skazania, odnośnie anarchistów, których uzuchwali, odnośnie Europy, która nawet i neutralne dotąd państwa wciągnie do koalicji przeciw Rzeczypospolitej.

Ale Robespierre, który podczas tego długiego procesu okazał odwagę i zaciętość, zapowiadające jego potęgę w przyszłości, wstąpił na trybunę dla poparcia zdania Saint Justa. Czynił wyrzuty Konwencji, że podaje w wątpliwość to, co powstanie rozstrzygnęło i że przez litość i jawność obrony podnosi upadłe stronnictwo królewskie. „Zgromadzenie — rzekł — pociągniętem zostało bezwiednie daleko po za rzeczywistą kwestyę. Niema tu procesów do wytaczania; Ludwik nie jest oskarżonym, a wy nie jesteście sędziami: nie jesteście i nie możecie być czem innem, tylko mężami stanu. Nie macie wcale wydać wyroku za lub przeciw jakiemuś człowiekowi, lecz przedsięwziąć środek ocalenia publicznego, odegrać rolę opatrznosci narodowej. Zdezonizowany król może tylko posłużyć do dwóch użytków: albo do zakłócenia spokoju w państwie i naruszania wolno-

ści, albo też do wzmocnienia pierwszego i drugiej. Ludwik był królem: Rzeczpospolita jest założona; sławna kwestya, która was zajmuje, jest rozstrzygniętą przez same te słowa. Ludwik nie może być sądzonym; on już jest osądzonym, skazanym, albo Rzeczpospolita nie jest uwolnioną.“
Zażądał, aby Konwencya ogłaszając Ludwika XVI za zdrajcę względem francuzów, przestępcę względem ludzkości, skazała go natychmiast na śmierć, mocą powstania.

Góra (Montagnards) przez swe krańcowe wnioski, przez przewagę, jaką jej na zewnątrz dawało poparcie fanatycznego i okrutnego pospólstwa, chciała tak kwestyę postawić, aby skazanie uczynić nieodzownem. Prześcigając nadmiernie wszystkie inne stronnictwa, zmuszała je do posuwania się za sobą, choćby zdala. Większość konwencyonistów, złożona w znacznej części z Żyryndystów, którzy nie śmieli przyznać nietykalności Ludwikowi XVI i z Płaszczyny, uchwaliła, na wniosek Pétiona, wbrew opinii Góry i stronników nietykalności, że Ludwik XVI będzie sądzony przez Konwencyę. Wtedy Robert Lindet przedstawił w imieniu Komisyi Dwudziestu i jednego swój raport o Ludwiku XVI. Spisano akt wyrażający fakty, o które go pomawiano i Konwencya wezwała więźnia przed swe kratki.

Ludwik od czterech miesięcy siedział zamknięty w Temple; nie był tam wcale wolnym, jak tego sobie życzyło zrazu Zgromadzenie prawodawcze, przeznaczając mu Luksemburg na mieszkanie. Podejrzliwa komuna strzegła go ściśle; ale godząc się z przeznaczeniem, oczekując wszystkiego, nie okazywał ani żalu, ani urazy. Miał przy sobie jednego tylko służącego, Cléry, który był zarazem służącym całej jego rodziny. Podczas pierwszych miesięcy więzienia nie rozłączono go z nią wcale, co mu przynosiło pewną ulgę; pocieszał się i krzepił dwie towarzyszki niedoli, swoją żonę i swoją siostrę; był nauczycielem młodego Delfina, wskazując mu, jak żyć powinien człowiek nieszczęśliwy i król więzień. Czytał wiele, powracając często do historii Anglii Hume'a; spotykał tam dużo królów straconych, a między nimi jednego skazanego przez lud. Każdy szuka

zwykle przeznaczeń zgodnych ze swoim. Ale niedługo cieszył się widokiem swojej rodziny; rozdzielono go z nią, jak tylko zaczęła być mowa o jego sądzie. Komuna chciała zapobiedz, aby więźniowie nie porozumiowali się w swej obronie; nadzór, jaki rozciągano nad Ludwikiem XVI, stawał się codziem drobiazgowszym, surowszym.

Tymczasem Santerre otrzymał rozkaz zaprowadzenia Ludwika XVI przed Konwencyę. Udał się do Temple w towarzystwie mera, który oznajmił królowi o swej misyi i który go zapytał, czy zechce zejść. Ludwik zawałał się chwilę, poczem rzekł: „Wszak i to jest gwałtem; trzeba ustąpić.“ I zdecydował się stanąć przed Konwencyą, jak to uczynił Karol I ze swymi sędziami. A skoro oznajmiono, że nadchodzi, Barrère rzekł: „Przedstawiciele, macie wykonać prawo sprawiedliwości narodowej. Niech wasza postawa będzie zgodną z waszymi nowymi obowiązkami.“ A zwracając się do łóż: „Obywatele, przypomnijcie sobie groźne milczenie, które towarzyszyło Ludwikowi odprowadzanemu z Varennes, milczenie, zwiastujące sąd na królów przez narody.“ Ludwik XVI, wchodząc do sali, zachował postawę śmiałą, powiódł po zgromadzeniu wzrokiem pewnym. Gdy przed kratkami stanął, prezydent przemówił do niego głosem wrzuszonym: „Ludwiku, naród francuski cię oskarża. Masz wysłuchać aktu, przedstawiającego fakty. Ludwiku, usiądź.“ Krzesło było przygotowane dla niego; usiadł na niem. Podczas długiego badania okazał wiele spokoju i przytomności umysłu; na każde pytanie dawał odpowiedź właściwą, mówił najczęściej w sposób rozrzewniający i zwycięzki. Odparł zarzuty czynione jego postępowaniu przed 14 lipca, przypominając, że władza jego nie była jeszcze wówczas ograniczoną; z czynów przed podróżą do Varennes tłumaczył się dekretem zgromadzenia Konstytuanty, które było zadowolone z jego odpowiedzi; nareszcie co do zachowania się przed 10 sierpnia, zwałił wszystkie akty publiczne na odpowiedzialność ministrów, zaprzeczając wszystkim krokom tajemnym, które mu przypisywano osobiście. To zapieranie się Ludwika XVI nie niszczyło w oczach konwencynistów

faktów, po większej części skonstatowanych przez papiery, bądź pisane, bądź podpisane jego ręką; używał on prawa służącego każdemu oskarżonemu. Broniąc się tym sposobem, nie uznał ani istnienia szafy żelaznej, ani autentyczności papierów, które mu przedstawiono. Ludwik XVI odwoływał się do prawa obrony, której Konwencya nie dopuszczała, a Konwencya starała się dowieść zamachów przeciwn rewolucyjnym, do których Ludwik XVI nie chciał się przyznać.

Kiedy Ludwik powrócił do Temple, Konwencya zajęła się wyrażeniem przez niego żądaniem obrońcy. Napróżno kilku z Góry sprzeciwiało się temu, Konwencya postanowiła, że Ludwik będzie miał radę. Wyznaczyła Targeta i Troncheta; pierwszy odmówił. Wtedy czcigodny Malesherbes ofiarował się Konwencyi z obroną Ludwika XVI. „Dwa razy — pisał on — powoływano mnie do rady tego, który był moim panem w czasie, kiedy o tę rolę ubiegali się wszyscy; winienem mu oddać tę samą usługę, gdy chodzi o rolę którą wielu uważa za niebezpieczną.“ Prośbie jego żadosyć uczyniono. Ludwik XVI, w swoim opuszczeniu, rozrzewnił się tym dowodem poświęcenia. Kiedy Malesherbes ukazał się w jego pokoju, podszedł ku niemu, objął go, uściśnął i z załzawionemi oczami rzekł; „Twoja ofiara jest tem więcej wspaniałomyślną, że życie swoje narażasz, a mojego nie uratujesz.“ Malesherbes i Tronchet zajmowali się bez przerwy jego obroną, przybrawszy sobie do pomocy Desèze'a; starali się obudzić ufność w królu, ale nie dawał się uwodzić nadziei. „Oni mnie stracą, jestem tego pewnym; lecz mniejsza o to, zajmujmy się moim procesem, jak gdybym miał go wygrać; w istocie, ja go wygram, gdyż zostawię po sobie pamięć bez skazy.“

Nareszcie nadszedł dzień obrony. Wypowiedział ją Desèze; Ludwik był obecnym; cisza zupełna panowała w zgromadzeniu i w łóżach. Desèze poruszył na korzyść oskarżonego króla wszystkie względy sprawiedliwości i niewinności. Powoływał się na nietykalność, którą mu przyznano; powiedział, że on, jako król, nie powinien być sądo-

nym; że przedstawiciele ludu, jako oskarżający, nie powinni być jego sędziami. W tych twierdzeniach nie posunął on się dalej od pewnej części Zgromadzenia, która toż samo utrzymywała. Nadewszystko jednakże zajął on się usprawiedliwieniem postępowania Ludwika XVI, przypisując mu stale intencje czyste i nienaganne. Zakończył temi ostatniemi i uroczystemi słowy: „Posłuchajcie naprzód Historji, która powie Sławie: Ludwik, wstąpiwszy na tron w dwudziestym roku życia, wniósł przykład dobrych obyczajów, sprawiedliwości i oszczędności; nie wniósł natomiast żadnej słabości, żadnej namiętności szerzącej zepsucie: był stałym przyjacielem ludu. Lud zażądał zniesienia rujnującego podatku, Ludwik zniósł; lud zażądał wyzwolenia z niewoli—Ludwik wyzwolił go; lud prosił o reformy—poczynił je; lud chciał zmienić swe ustawy — zgodził się na to; lud zapragnął, aby miliony francuzów odzyskały swe prawa—przywrócił im je; lud upomniął się o wolność—i tę mu dał. Niepodobna odjąć Ludwikowi chwały uprzedzania żądań ludu kosztem swych ofiar — i jego to radzą wam... Obywatele, nie kończę, zatrzymuję się przed Historją; pomyślcie, że ona osądzi wasz sąd, a sąd jej będzie sądem wieków!“ Lecz namiętności były głuche i niezdolne zdobyć się zarówno na przezorność, jak na sprawiedliwość.

Żyromdyści pragnęli ocalenia Ludwika XVI, ale obawiali się pomówienia ich o rojalizm, z którym już wystąpiła Góra. W ciągu całego procesu postępowanie ich było dość dwuznaczne: nie śmieli się oświadczyć ani za, ani przeciw oskarżonemu królowi więźniowi, a ta ich powściągliwość pełna niepewności, zamiast im dopomódz, zgubiła ich. W obecnej chwili sprawa jego, już nie sprawa jego tronu, ale jego życia, była ich sprawą. Akt ścisłej sprawiedliwości lub też morderczy zamach stanu miały rozstrzygnąć, czy Francya powróci do legalnego porządku, czy też przedłuży gospodarkę rewolucyjną. Tryumf Żyromdyistów albo Montagnardów (Góry) zależał od takiego lub innego rozwiązania. Ostatni miotali się straszliwie. Utrzymywali, że w takim przestrzeganiu zapomniano o energii republi-

kańskiej i że obrona Ludwika XVI była wykładem monarchii dla ludu. Jakobini wspierali ich potężnie, to też przybywały wciąż deputacje, upominające się o śmierć króla.

Jednakże Żyrodyscy, którzy nie śmieli podtrzymać nietykalności, zaproponowali użycie zręcznego środka dla ocalenia Ludwika XVI od śmierci, a mianowicie: odwołanie się od wyroku Konwencyi do ludu. Skrajna prawica protestowała jeszcze przeciw zamianie Zgromadzenia na trybunał. Ale ponieważ kompetencya Konwencyi była już przedtem orzeczoną, wszystkie usiłowania zwróciły się w innym kierunku. Salles wniósł projekt, aby uznać Ludwika XVI winnym i pozostawić wymiar kary zgromadzeniu obywateli wyborców (*assemblées primaires*). Buzot, lękając się, aby Konwencya nie ściągnęła przez to samo na siebie zarzutu słabości, mniemał, że ona powinna wydać wyrok i sama od swego sądu odwołać się do ludu. To zdanie było silnie zbijane przez Górę, a nawet przez znaczną liczbę konwencyonistów umiarkowanych, którzy w zwolaniu zgromadzeń wyborczych upatrywali niebezpieczeństwo wojny domowej. Zgromadzenie uchwaliło jednozgodnie, że Ludwik był winnym, kiedy postawioną została kwestya odwołania się do ludu. Dwieście osiemdziesiąt cztery głosy oświadczyło się za, czterysta dwadzieścia cztery przeciw, dziesięć wycofało się. Pozostawała już tylko straszna kwestya oznaczenia kary. Paryż dochodził do ostatecznego wzburzenia: wygrażano deputowanym u samych podwojów sal Zgromadzenia; obawiano się nowych gwałtów ze strony ludu; klub Jakobinów miotał wściekle obelgi na Ludwika XVI i na prawicę. Stronnictwo Góry, dotychczas najślabsze w Konwencyi, starało się postrachem zdobyć większość głosów, zdecydowane, mimo niepowodzenia, w każdym razie poświęcić Ludwika XVI. Nareszcie po czterogodzinnem wywoływaniu imiennem prezydent Vergniaud rzekł: „Obywatele, ogłaszam rezultat głosowania. Sprawiedliwość już przemówiła, teraz kolej na uczucie ludzkości.“ Było siedmuset dwudziestu jeden głosujących. Większość absolutną stanowiło trzysta sześćdziesiąt jeden głosów.

Śmierć zawotowano większością dwudziestu sześciu. Zdania były pomieszane: Żyrondyści głosowali za śmiercią, z odroczeniem, co prawda; największa liczba członków prawicy głosowała za uwięzieniem lub wygnaniem; kilku z Góry głosowało tak, jak Żyrondyści. Skoro rezultat głosowania był wiadomy, prezydent odezwał się z wyrazem boleści: „Oznajmiam w imieniu Konwencji, że karą, jaką ona orzeka przeciw Ludwikowi Kapetowi, jest śmierć.“ Obroncy stanęli przed kratkami, wielce poruszeni. Próbowali sprowadzić Zgromadzenie do uczuć miłosierdzia, ze względu na małą liczbę głosów, która wydała wyrok. Ale ta kwestya była już poprzednio rozbieganą i rozstrzygniętą. „Prawa tworzą się prostą większością głosów“ — rzekł ktoś z Góry. „Tak — odpowiedział mu ktoś — ale dekreta się odwołują, a życie człowieka nie odwołuje się.“ Malesherbes chciał mówić, lecz nie mógł. Łkania tłumily mu głos, zaledwie wykrztusił kilka słów błagalnych, przerywanych. Bolesć jego rozrzewniła Zgromadzenie. Żądanie odroczenia zostało przyjętem przez Żyrondyistów, jako ostatni środek ocalenia, ale znowu im się nie powiodło i fatalny wyrok zapadł.

Ludwik był do niego przygotowanym. Kiedy Malesherbes przyszedł zalany łzami oznajmić mu o wyroku śmierci, zastał go siedzącego po ciemku, z łokciami opartymi na stole, z twarzą ukrytą w dłoniach i pogrążonego w głębokiej zadumie. Na odgłos jego kroków Ludwik XVI wstał i rzekł do niego: „Od dwu godzin zajęty jestem rozmyślaniem, czy podczas mego panowania mogłem zasłużyć na najmniejszą wymówkę ze strony moich poddanych. Otóż, panie Malesherbes, przypominam ci z całą prawdą w sercu, jak człowiek, który ma stanąć przed Bogiem, że nieustannie pragnąłem szczęścia ludu i nie powziąłem nigdy postanowienia, które byłoby dlań wrogiem.“ Malesherbes robił mu nadzieję, że odroczenie nie zostanie odrzuconem, czemu Ludwik nie wierzył wcale. Prosił Malesherbesa, towarzysząc mu przy wyjściu, aby go nie opuszczał w ostatnich chwilach. Malesherbes przyrzekł powrócić, ale przychodził na-

próżno i nie mógł nigdy dostać się do niego. Ludwik dopytywał się często o niego i był zasmucony, nie widząc go. Wysłuchał bez zmieszania zapowiedzi wyroku, o którym przyszedł go zawiadomić minister sprawiedliwości. Prosił o trzy dni zwłoki, chcąc godnie stanąć przed Bogiem; prosił nadto, aby mu dodano księdza, którego on wskaże i aby mógł swobodnie obcować z żoną i dziećmi. Tylko te dwie ostatnie prośby zostały uwzględnione.

Chwila spotkania się była rozdzierającą dla tej straszkanej rodziny; chwila rozłąki stokroć bolesniejszą. Ludwik, rozstając się, przyrzekł powrócić nazajutrz, ale znalazłszy się w swoim pokoju, uczuł, że ta próba będzie nad jego siły i przechadzając się wielkimi krokami, mówił: „Nie, ja nie pójdę.“ Była to ostatnia jego walka; zaczął gotować się na śmierć. W nocy poprzedzającej jego niecną mękę miał sen spokojny. Obudzony przez Cléry'ego, któremu polecił to uczynić, o godzinie piątej rano, zajął się ostatniem przygotowaniem. Przyjął komunię, powierzył Cléry'emu swe ostatnie słowa i wszystko, co mu wolno było przekazać, to jest pierścień, pieczęć i promień włosów. Bicie w bębny już się rozległo; głuchy łoskot prowadzonych dział i głosy pomieszane dawały się słyszeć. Nareszcie ukazał się Santerre. „Przychodzisz pan po mnie — rzekł Ludwik — proszę cię o jedną chwilkę.“ Doręczył swój testament urzędnikowi municypalnemu, kazał sobie podać kapelusze i powiedział głosem stanowczym: „Jedźmy.“

Powóz potrzebował godziny czasu do przebycia drogi z Temple na plac Rewolucyi. Podwójny szpaler żołnierzy stał rozciągnięty na całej przestrzeni, więcej niż czterdzięści tysięcy ludzi było pod bronią; Paryż wyglądał ponuro. Na twarzach obywateli, towarzyszących tej oplakanej egzekucyi, nie widać było ani zadowolenia, ani żalu; wszyscy zachowywali milczenie. Przybywszy na miejsce kaźni, Ludwik wysiadł z powozu. Wszedł krokiem pewnym po stopniach rusztowania, otrzymał na klęczkach błogosławieństwo księdza, który, jak zapewniają, miał mu powiedzieć: „Synu świętego Ludwika, wstąp do niebios!“ Pozwolił so-

bie związać ręce, chociaż ze wstrętem; poczem zwracając się żywo w lewą stronę rusztowania, rzekł: „Umieram niewinny; przebaczam moim nieprzyjaciółom; a ty ludu nie-szczęśny...” W tej chwili dano hasło, bębny zagłuszyły jego głos, trzech katów schwyciło go. O dziesiątej minut dziesięć żyć przestał.

Tak zginął, licząc trzydzieści dziewięć lat, po szesnastu i pół leciech panowania, spędzonych na poszukiwaniu dobra, najlepszemu, ale najsłabszemu z monarchów. Przodkowie jego zostawili mu w spuściznie Rewolucję. Bardziej, niż którykolwiek z nich, mógł ją uprzędzić lub zakończyć, ponieważ był zdolnym zostać królem reformatorem przed jej wybuchem, albo też królem konstytucyjnym następnie. Jest może jedynym władcą, który nie posiadając żadnej namiętności, nie miał namiętności władzy i który łączył dwa przymioty, odznaczające dobrych królów, to jest bojaźń boską i miłość ludzką. Padł ofiarą namiętności, których nie podzielał, namiętności swego otoczenia, które mu było obcem, współstwa, którego nie podniecał. Mało jest królów o pamięci tak chwalebnej. Historia powie o nim, że przy większej sile charakteru byłby królem wyjątkowym.

ROZDZIAŁ VII.

Od 21 stycznia 1793 r. do 2 czerwca.

Położenie polityczne i wojskowe Francyi. — Anglia, Holandya, Hiszpania, Neapol i cała rzesza Cesarstwa przystępują do koalicji. — Dumouriez po zdobyciu Belgii projektuje wyprawę na Holandję. — Chce przywrócić monarchję konstytucyjną. — Niepowodzenia naszych wojsk. — Walka Góry z Żyrondą; spisek z 10 marca. — Powstanie Wandei; jego postępy. — Zdrada Dumourieza. — Żyromdyści oskarżeni o współnictwo z nim; nowe sprzyśiężenia przeciwko nim. — Ustanowienie Komisji Dwunastu dla zniweczenia spiskowców. — Powstanie z 27 i 31 maja przeciw Komisji Dwunastu; zniesienie jej. — Powstanie z 2 czerwca przeciwko dwudziestu dwu głównym Żyromdycom, osadzenie ich w areszcie. — Zupełna porażka tego stronnictwa.

Śmierć Ludwika XVI poróżniła stronnictwa i powiększyła liczbę nieprzyjaciół Rewolucyi na zewnątrz. Republikańskie musieli wystąpić do walki przeciw Europie, przeciw całym zastępom malkontentów i sami przeciwko sobie. Ale Góra, sterująca podówczas ruchem ludowym, zaszła za daleko, aby nie miała posuwać rzeczy do ostatecznych krańców. Straszyc nieprzyjaciół Rewolucyi, podniecać fanatyzm ludu zapomocą mów, przedstawiania niebezpieczeństw, powstań, odnoszenia wszystkiego do siebie, zarówno rządu, jak i zbawienia Rzeczypospolitej, zapomocą przelewania w lud najgorętszego zapалу w imię *wolności, równości i braterstwa*, zapomocą utrzymywania go ciągle w stanie gwałtownego przesilenia dlatego, aby wyzyskać jego namiętności i jego siłę — takim był plan Dantona i Góry, która go okrzyknęła swym wodzem. On to powiększył wrzenie ludu

wraz z rosnącymi niebezpieczeństwami Rzeczypospolitej i zaprowadził pod nazwą rządu rewolucyjnego despotyzm popółstwa, zamiast prawnej swobody. Robespierre i Marat posuwali się znacznie dalej od niego; chcieli oni utworzyć rząd stały z tego, co Danton uważał za środek przejściowy. On był tylko przywódcą politycznym, wówczas kiedy tamci byli prawdziwymi sekciarzami, pierwszy bardziej ambitny, drugi większy fanatyk.

Góra, skutkiem katastrofy 21 stycznia, odniosła wielkie zwycięstwo nad Żyromdystami, których polityka była znacznie moralniejszą i którzy pragnęli uratować Rewolucję bez rozlewu krwi. Ale ich uczucia ludzkości, z początku zbyt lękliwe, oraz ich zbyt opieszale pojmowanie sprawiedliwości—nie posłużyły im do niczego, owszem, zwróciły się przeciwko nim. Oskarżono ich o nieprzyjaźń dla ludu, ponieważ piorunowali na jego nadużycia, o *wspólnictwo z tyranem*, ponieważ chcieli uratować Ludwika XVI i o zdradę Rzeczypospolitej, ponieważ zalocali umiarkowanie. Takimi to zarzutami przesładowała ich Góra, od 21 stycznia do 31 maja i 2 czerwca, z niepohamowaną gwałtownością w łonie samej Konwencji. Żyromdystów długo podtrzymywał środek, który wraz z prawicą oświadczał się przeciw mordom i przeciw anarchii, a z lewicą za środkami ocalenia publicznego. Masa ta, która, właściwie mówiąc, tworzyła niejako duszę Konwencji, okazywała pewną odwagę, równoważyła potęgę Góry i potęgę komuny, póki liczyła w swem gronie tych Żyromdystów, niekiedy nieustraszonych, a zawsze wymownych, którzy unieśli wraz z sobą do więzień i na rusztowanie całą moc i wszystkie wspaniałe uchwały Zgromadzenia.

Była chwila zupełnej zgody pomiędzy różnorodnemi stronnictwami Zgromadzenia. Lepelletier Saint-Fargeau został zasztyletowany przez dawnego gwardzistę nazwiskiem Páris, za to, że miał głosować za śmiercią Ludwika XVI. Konwencyoniści, złączeni wspólnem niebezpieczeństwem, przysięgli na jego grobie, że zapomną wspólnych uraz; ale powrócili do nich bardzo szybko. W Meaux ścigano kilku

siepaczy wrześniowych, o ukaranie których upominali się uczciwi republikanie. Góra, obawiając się, aby przy tej sposobności nie roztrząsano jej przeszłego postępowania i aby jej przeciwnicy nie wzięli przewagi po wyroku, coby ich ośmieliło do otwartego atakowania jej, postarała się o zaniechanie śledztwa. Taka bezkarność rozzuchwiała bardziej jeszcze przywódców pospólstwa, a Marat, który pod ten czas właśnie miał niesłychany wpływ nad niem, podmówił je do zrabowania kupców, których oskarżył o wykupienie żywności. Powstawał gwałtownie w swych artykułach oraz u Jakobinów przeciw arystokracji mieszczańskiej, przemysłowcom i *mężom stanu* (tak nazywał Żyryndystów), to jest przeciwko wszystkim tym, którzy w narodzie lub w Zgromadzeniu opierali się jeszcze panowaniu *Sankiulotów* i Góry. Było coś przerażającego w fanatyzmie i w nieprzepartej zaciętości tych sekciarzy. Zaraz z rozpoczęciem się Konwencji dali oni Żyryndystom nazwę „intrygantów,” wskutek władzy, jaką ci zdobyli i środków trochę krętych, jakimi zwalczali w departamentach zuchwałe i publiczne postępowanie Jakobinów.

To też denuncyowali ich systematycznie w klubie. „W Rzymie pewien mówca powtarzał codziennie: *trzeba zniszczyć Kartaginę*. Niech więc jeden z Jakobinów wstępuje codzien na tę trybunę, aby powiedzieć te jedynie słowa: *trzeba zniszczyć intrygantów*. Ach, któżby mógł się nam oprzeć! My walczymy z występkiem i ze znikomą władzą bogactw; ale mamy za sobą prawdę, sprawiedliwość, ubóstwo, cnotę... Z taką bronią Jakobini wkrótce wyrzekną: zaledwieśmy przeszli, już ich nie było.“ Marat o wiele śmielszy od Robespierre'a, który swą nienawiść i swe projekty okrywał jeszcze pewnemi formami, był orędownikiem wszystkich denuncyantów i wszystkich anarchistów. Wielu z Góry oskarżało go, że kompromituje ich sprawę zapalczywością swych rad i niewczesnymi wybrykami; ale ludność jakobińska podtrzymywała go nawet przeciw Robespierre'owi, który w swych z nim zatargach rzadko otrzymywał przewagę. Zalecony w lutym, w *Przyjacielu ludu*, ra-

bunek względem kilku kupców, dla przykładu, przyszedł do skutku i Marat został oskarżony przed Konwencyą, która go postawiła pod sądem po bardzo burzliwym posiedzeniu. Ale ten dekret przeszedł bez następstw, ponieważ zwykle trybunały nie posiadały żadnej władzy. Ta podwójna próba, siły z jednej strony, a słabości — z drugiej, odbyła się w ciągu lutego. Wkrótce wypadki jeszcze bardziej stanowcze poprowadziły Żyrodystów do zguby.

Położenie wojskowe Francji było dotąd zadawalające. Dumouriez uwieńczył świetną kampanię argońską zdobyciem Belgii. Po odwróceniu prusaków udał się do Paryża, dla porozumienia się w sprawie wtargnięcia do Niderlandów austriackich. Powróciwszy do armii 20 października 1792 r., rozpoczął atak 28. Plan, zamierzony tak niewłaściwie, przy braku odpowiednich sił i powodzenia na początku wojny, został na nowo podjęty i wykonany ze środkami znacznie szerszymi. Dumouriez na czele *armii belgijskiej*, złożonej z czterdziestu tysięcy ludzi, wyruszył z Valenciennes ku Mons, wsparty z prawej strony przez *armię ardeńską*, około szesnastu tysięcy ludzi liczącą, pod generałem Valence, który z Givet szedł na Namur, a z lewej przez *armię północną*, składającą się z osiemnastu tysięcy ludzi, pod generałem Labourdonnaie, który posuwał się z Lille do Tournai. Wojsko austriackie, rozłożone przed Mons, oczekiwało bitwy pośród swych szanów. Dumouriez pobił je całkowicie, a zwycięstwo pod Jemmapes otworzyło francuzom wstęp do Belgii i rozpoczęło w Europie tryumf naszego oręża. Zwycięzca w dniu 6 listopada, Dumouriez, wszedł 7 do Mons, 14 do Brukselli, 28 do Liège. Valence wziął Namur; Labourdonnaie zajął Antwerpię i w połowie grudnia zdobycie Niderlandów było już dokonane. Armia francuska, po opanowaniu Mouzy i Skaldy, rozlokowała się na zimowe leże odrzuciwszy po za Roër austriaków, których mogła była wyprzeć aż po za dolny Ren.

Od tej chwili rozpoczęły się złe stosunki pomiędzy Dumouriezem a Jakobinami. Dekret Konwencyi z dnia 15 września znosił prawa kraju zawojowanego i nadawał mu,

ustrój demokratyczny. Jakobini ze swej strony wysłali agentów do Belgii, aby tam szerzyli zasady rewolucyjne i pozaprowadzali kluby, na wzór stowarzyszenia głównego; ale flamandzcy, którzy przyjęli nas zrazu z zapalem, strasznie ostygli wskutek ściąganych rekwizycyj, ogólnego rabunku i nieznośnej anarchii, którą wprowadzili Jakobini. Całe stronnictwo, które walczyło z panowaniem austriackim i które oczekiwało wolności pod opieką Francji, pozostawiając twarżość naszego panowania, żalowało, że nas przywołało i podtrzymało. Dumouriez, noszący się z projektami niezaleźności względem flamandów i swojej własnej ambicji, przybył do Paryża ze skargą na to tak niepolityczne postępowanie w krajach zdobytych. Zmienił on swoją postawę dotychczas dwuznaczną. Nie zaniebwał niczego w celu pozyskania sobie obu partyj, nie stając pod sztandarem żadnej, ale mając nadzieję posługiwać się prawicą przez swego przyjaciela Gensonné, Górą zaś przez Dantona i Lacroix, a zwycięztwami nakazać sobie poszanowanie obu. Podczas jednak tej drugiej podróży próbował powstrzymać Jakobinów i uratować Ludwika XVI; nie mogąc tego dokonać, powrócił do armii z zamiarem rozpoczęcia drugiej kampanii, bardzo niezadowolony i zdecydowany z pomocą nowych zwycięztw zatamować Rewolucję i zmienić jej rząd.

Wszystkie granice Francji miały być tym razem zaatakowane przez mocarstwa europejskie. Powodzenie wojenne Rewolucji i katastrofa 21 stycznia, wciągnęły do koalicji większą część rządów, dotychczas niezdecydowanych lub neutralnych.

Dowiedziawszy się o śmierci Ludwika XVI, gabinet Saint-Jamesa odesłał ambasadora Chauvelin, którego już był przestał uznawać po wypadkach 10 sierpnia i po złożeniu króla z tronu. Konwencya, widząc Anglię związaną z koalicją, skutkiem czego upadły wszelkie jej zapewnienia o neutralności, dnia 1 lutego 1793 r. wypowiedziała wojnę królowi Wielkiej Brytanii, jako też i stathuderowi Holandji, który od r. 1780 podlegał całkiem gabinetowi londyńskiemu. Anglia, zachowująca dotychczas pozory pokoju, sko-

rzystała z tej sposobności, aby wystąpić na widownię wojny. Pitt, od dawna już do zerwania skłonny, rozwinął cały zasób swych środków i zawarł w przeciągu sześciu miesięcy siedem traktatów o przymierza, oraz sześć o posiłki *). Tym sposobem Anglia stała się duszą koalicji przeciw Francji; okręty jej były gotowe do rozwinięcia żagli; ministerium otrzymało osiemdziesiąt milionów funduszu nadzwyczajnego, a Pitt zamierzał kosztem naszej Rewolucji zapewnić przewagę Wielkiej Brytanii, jak Richelieu i Mazarini, korzystając z przesilenia w Anglii 1640 r., rozszerzyli wpływ Francji nad Europą. Gabinetem londyńskim kierowały głównie pobudki interesu angielskiego; chciał on za jakąś cenę umocnić władzę arystokratyczną w swoim własnym kraju, zapanować wyłącznie w obu Indyach i na morzach.

Gabinet londyński dokonał wtedy drugiego zebrania się koalicji. Hiszpania przeszła tylko co zmianę ministerjalną: sławny Godoi, książę d'Alcudia, a w końcu książę de la Paix, postawiony został na czele rządu wskutek intryg Anglii i emigracji. Mocarstwo to zerwało z Rzeczpospolitą, widząc, iż daremne było jego wstawianie się za Ludwikiem XVI, któremu chciało ocalić życie za cenę swojej neutralności. Całe cesarstwo niemieckie przystąpiło do wojny: Bawarya i elektor Palatynatu połączyli się też do księstw wojujących cesarstwa. Neapol poszedł za przykładem Stolicy Świętej, która się już zdecydowała; z państw

*) Oto jest wykaz tych traktatów: 4 marca umowa pomiędzy Wielką Brytanią i Hanowerem; 25 marca, traktat londyński o przymierze pomiędzy Rosją i Wielką Brytanią; 10 kwietnia traktat o posiłki z landgrafem hessen-kasselskim; 25 kwietnia, traktat o posiłki z Sycylią; 25 maja, traktat madrycki o przymierze z Hiszpanią; 12 lipca, traktat neapolitański o przymierze z królestwem Obojga-Sycylii; 14 lipca, traktat przymierza zawarty z Prusami w obozie pod Moguncją; 30 sierpnia, traktat przymierza zawarty w Londynie z cesarzem; 21 września, traktat o posiłki z margrafem badenskim; 26 września, traktat przymierza w Londynie z Portugalią. Tymi traktatami Anglia zapewniła, zwłaszcza Austrii i Prusom, znaczne posiłki.

neutralnych pozostała tylko Wenecya, Szwajcarya, Szwecya, Dania i Turcya. Rosya była jeszcze zajęta drugim podziałem Polski.

Rzeczpospolita ujrzała granice swe zagrożone przez wojska najbardziej wyćwiczone w Europie. Wypadało wkrótce wystąpić do walki z czterdziestu pięciu tysiącami austro-sardów w Alpach, z pięćdziesięciu tysiącami hiszpanów w Pirenejach, z siedemdziesięciu tysiącami austryaków czyli cesarskich, posiłkowanych przez trzydzieści osiem tysięcy anglo-batawów nad dolnym Renem i w Belgii; z trzydziestu trzema tysiącami czterystu austryaków pomiędzy Meuzą i Mozellą; ze stu dwunastu tysiącami sześciuset prusaków, austryaków i cesarskich nad średnim i wyższym Renem. Aby stawić czoło tylu nieprzyjaciółom, Konwencya nakazała pobór trzystu tysięcy ludzi. Z tym środkiem obrony zewnętrznej połączono środki stronnictwa wewnątrz. Kiedy nowe bataliony stawily się przed Zgromadzeniem, zanim wyruszyły z Paryża, Góra zażądała ustanowienia trybunału nadzwyczajnego, mającego podtrzymywać wewnątrz Rewolucyę, której bataliony miały bronić na granicach. Trybunał ten, złożony z dziewięciu członków, miał sądzić bez przysięgłych i bez apelacyi. Żyrodycy powstali całą siłą, przeciw instytucyi tak groźnej i tak samowolnej, ale nadaremnie: mniemano bowiem, że sprzyjają nieprzyjaciółom, odrzucając trybunał przeznaczony do wymierzania kary na nich. Wszystko, co osiągnąć zdołali, ograniczało się na tem, że wprowadzili doń przysięgłych, że usunęli ludzi gwałtownych i paraliżowali jego działalność, póki zachowali jakikolwiek wpływ.

Główne usiłowania koalicji były skierowane przeciw rozległej granicy od Antwerpii i Ruremonde do Huningue. Książę Koburski, stojący na czele austryaków, miał zaatakować armię francuską nad Boërem i Meuzą i wtargnąć do Belgii, a na drugim punkcie prusacy mieli wyruszyć przeciwko Custine'owi, wydać mu bitwę, obsaczyć Moguncyę i po zdobyciu jej powtórzyć najście poprzednie. Te dwie armie głównie działające były podtrzymywane na stanowi-

skach pośrednich przez znaczne siły. Dumouriez, uniesiony ambycją i zamiarami reakcyjnymi, w chwili, kiedy powinien był myśleć wyłącznie o niebezpieczeństwie Francji, zajmował się projektem wskrzeszenia władzy królewskiej z 1791 r., wbrew Konwencji i wbrew Europie. Czego Bouillé nie mógł skutecznie dla starej monarchii, ani Lafayette dla tronu konstytucyjnego, w czasie daleko przyjaźniejszym, Dumouriez zamierzał dokonać sam jeden, na rzecz konstytucyi zniszczonej i władzy królewskiej, pozabawionej opieki stronnictwa.

Zamiast pozostać neutralnym pomiędzy partjami, co mu nakazywało położenie jako generałowi, a nawet jako człowiekowi ambitnemu, Dumouriez wołał z niemi zerwać, aby je opanować. Powziął on myśl stworzenia sobie stronnictwa po za obrębem Francji, wtargnięcia do Holandji z pomocą republikanów batawskich, przeciwnych stathederatowi i wpływow angielskim, oswobodzenia Belgii od Jakobinów, połączenia tych dwu krajów w jedno państwo niezależne, nad którem chciał przywłaszczyć sobie protektorjat polityczny, okrywszy się wprzód chwałą zdobywcy. Dla zastraszenia stronnictw, miał zamiar ująć sobie wojsko, pójść na stolicę, rozwiązać Konwencyę, pozamykać stowarzyszenia ludowe, przywrócić Konwencyę z 1791 roku i dać króla Francji.

Projekt ten, niemożliwy do wykonania podczas wielkiego starcia Rewolucyi z Europą, wydał się łatwym wręczemu i awanturniczemu Dumouriezowi. Zamiast bronić linii zagrożonej pomiędzy Moguncją a Boërem, przerzucił się na prawą stronę operacyj wojennych i wkroczył do Holandji na czele dwudziestu tysięcy ludzi. Szybkim marszem chciał się przedostać do samego środka Prowincyj Zjednoczonych, zajmując z tyłu fortece i połączyć się w Nimmedze z dwudziestoma pięćmi tysiącami ludzi pod generałem Miranda, który, według przypuszczenia, powinien był stać się panem Maëstrichtu. Armia, złożona z czterdziestu tysięcy ludzi, miała obserwować austryaków i osłaniać go z prawej strony.

Dumouriez prowadził sprężysto swoją wyprawę do Holandyi; wziął Bredeę i Gertruydenburg i gotował się do przejścia Bies-Boschy i do zajęcia Dortrechtu. Ale w tym czasie armia działająca po prawej stronie doznała strasznych niepowodzeń nad dolną Meuzą. Austriacy zajęli stanowisko zaczepne; przeszli Boër, pobili Miączyńskiego pod Akwizgranem, zmusili Mirandę do odstąpienia od blokady Maëstrichtu, który napróżno bombardował, przebyli Meuzę i pod Liège pobili ze szczętem naszą armię, która się cofnęła pomiędzy Tirlemont i Louvain. Dumouriez otrzymał od rady wykonawczej rozkaz opuszczenia Holandyi jaknajspieszniej i objęcia dowództwa nad wojskami w Belgii; zmuszony był usłuchać i wyrzec się w części swoich najszaleńszych, ale też i najdroższych nadziei.

Jakobini na wieść o tych wszystkich niepowodzeniach stali się jeszcze bardziej niewyrozumiałymi. Nie przypuszczając porażki bez zdrady, zwłaszcza po tak świetnych a nieoczekiwanych zwycięztwach ostatniej kampanii, przypisywali te klęski wojenne kombinacyom stronnicy. Oskarżali Żyryndystów, ministrów i generałów, posądzając ich o znowę i chęć wydania Rzeczypospolitej w ręce nieprzyjaciół i zaprzysięgli ich zgubę. Do podejrzeń przyłączyła się rywalizacya: pragnęli oni niemniej gorąco zdobyć sobie wyłączne panowanie, jak bronić zagrożonej ziemi; rozpoczęli zaś od Żyryndystów. Ponieważ nie oswoili jeszcze ludu z myślą tępienia jego przedstawicieli, uciekli się więc naprzód do spisku, żeby się ich pozbyć; postanowili wymierzyć przeciwko nim cios w Konwencyi, gdzie ich znajdowali wszystkich zebranych i oznaczyli noc 10 marca na wykonanie spisku. Zgromadzenie postanowiło nie przerywać swoich posiedzeń z powodu groźnego stanu spraw publicznych. W wigilię ułożono się u Jakobinów i Kordelierów, aby pozamykać roгатki, uderzyć w dzwon na trwogę i dwiema gromadami pójść jednocześnie na Konwencyę i do ministrów. O umówionej godzinie wyruszono, ale kilka okoliczności stanęło na przeszkodzie spiskowcom. Żyryndyści, uprzedzeni, nie stawili się wcale na posiedzenie nocne; sek-

cy nie chciały wejść do spisku, a minister wojny, Beurnonville, wystąpił przeciw nim na czele batalionu federatów z Brestu; wszystkie te nieprzewidziane przeszkody i deszcz ulewny rozproszyły sprzysiężonych. Nazajutrz Vergniaud zaskarżył komitet powstańczy, który zaprojektował te mordy, zażądał, aby rada wykonawcza zajęła się wykryciem spisku z dnia 10 marca, przejrzała listę klubów i zaarrestowała członków komitetu powstańczego. „Przechodzimy — zawołał — od zbrodni do przebaczenia, a od przebaczenia do zbrodni. Wielka liczba obywateli doszła do tego punktu, że nie umie odróżnić buntu wicherzycieli od wielkiego buntu wolności, zapatruje się na zaczepki rozbójników, jak na porwy dusz energicznych, a na rozboje jako na środki bezpieczeństwa powszechnego. Widzieliśmy rozwijanie się tego dziwnego systemu wolności, według którego powiadają wam: Jesteście wolni, ale myślcie tak, jak my, inaczej wydamy was na pomstę ludu; jesteście wolni, ale schylajcie głowy przed bożyszczem, któremu my się kłaniamy, inaczej wydamy was na pomstę ludu; jesteście wolni, ale prześladowajcie wraz z nami ludzi, których uczciwości i światła my się lękamy, inaczej wydamy was na pomstę ludu. Obywatele, obawiać się należy, aby Rewolucya jak Saturn nie pożarła kolejno wszystkich dzieci swoich i nie wydała następnie na świat despotyzmu oraz klęsk, które mu towarzyszą.“ Te prorocze słowa wywołały wrażenie pośród Zgromadzenia, ale środki proponowane przez Vergniauda nie doprowadziły do niczego.

Jakobini zostali chwilowo powstrzymani niepowodzeniem w swych pierwszych zamysłach przeciw nieprzyjaciółom; wkrótce jednak powstanie w Wandei przywróciło im odwagę. Wojna wandejska była nieuniknionym wypadkiem Rewolucyi. Ta część kraju, położona pomiędzy morzem a Loarą, nielicznie poprzecinana drogami, usiana wioskami, osadami, kasztelaniami, utrzymała się w dawnym stanie feudalizmu. Do Wandei nowe idee słabo się przedostały, ponieważ stan średni był tam nieliczny, a miast nie było wcale lub mało. Klasa włościańska nie posiadała żadnych

innych idei prócz tych, jakie w nią wpoili księża i nie odzierała swoich interesów od interesów szlachty. Naród ten prostoduszny, silny, pobożny i wierny dawnemu rządowi, nie mógł zgola pojąć Rewolucyi, wzrosłej na tle przekonań i potrzeb, całkiem obcych jego położeniu. Szlachta i duchowieństwo, czując swą moc, nie wyemigrowały wcale i tam to istniało rzeczywiste stronnictwo dawnego porządku, bo tam się przechowały jego zasady i jego społeczeństwo. Było więc wprost niemożliwem, aby Francya i Wandea, kraje różniące się tak dalece pomiędzy sobą przekonaniami i organizacją, nie miały prędzej lub później uwikłać się w wojnę, aby oba te fanatyzmy władzy monarchicznej i zwierzchnictwa ludowego pod przeciwnymi wpływami duchowieństwa i Rewolucyi nie miały pochwyć swych sztandarów dla zapewnienia tryumfu dawnemu lub nowemu ustrojowi społecznemu.

Częściowe zamieszki wydarzyły się już kilkakrotnie w Wandei. W 1792 r. margrabia de Larouarie przygotował ogólne powstanie, które się nie udało z powodu, że go zaarrestowano; ale ogólne usposobienie do buntu istniało. Kiedy nakazano pobór do wojska trzystu tysięcy ludzi, który stał się hasłem, rekruci pobili zandarmeryę w Saint-Florent i zrazu obrali swymi wodzami w rozmaitych punktach: furmana Cathelineau, oficera marynarki Charette'a i leśnika Stoffleta. Z zasilkami broni i pieniędzy, dostarczonymi przez Anglię, powstanie w krótkim czasie zajęło cały kraj; dziewięćset gmin stanęło w pogotowiu na odgłos dzwonu alarmowego i wówczas wodzowie ze szlachty, Bonchamps, Lescaure, Larochejaquelein, d'Elbée, Talmont przyłączyli się do innych. Wojska liniowe i bataliony gwardyj narodowych, wysłane przeciw powstańcom, zostały pobite. Generała Marcé zwyciężył w Saint-Vincent Stofflet; generała Gauvilliers w Baupréau — d'Elbée i Bonchamps; generała Quetineau w Aubiers — Larochejaquelein, a także generała Ligonier w Cholet.

Wandejczycy, zostawszy panami Chatillonu, Bressuire, Vihiers, zanim posunęli dalej swe zwycięstwa, pomysłili

wprzód o pewnej organizacyi. Utworzyli trzy korpusy po dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, rozdzielone stosownie do położenia terytoryalnego Wandei na trzy dowództwa: pierwszy, pod Bonchamps'em, trzymał się brzegów Loary i dostał nazwę *armii andegaweńskiej*; drugi, położony w środku, tworzył *wielką armię* pod d'Elbée; trzeci, jako *armia bagna* (marais), zajął dolną Wandęę pod Charettem. Powstańcy ustanowili radę kierującą ruchami wojsk, zamianowawszy naczelnym wodzem Cathelineau'a. Takie urządzenia i taki podział kraju dozwoliły swobodnie formować szeregi powstańców, odsyłać ich do robót na pola lub ściągać pod sztandary.

Więść o tem groźnem powstaniu popchnęła Konwencyę do chwycenia się jeszcze surowszych środków przeciwko księżom i emigrantom. Wyjęła ona z pod prawa wszystkich księży i szlachtę, którzyby wzięli udział w jakim zbrojnym zebraniu i odebrała broń wszystkim należącym do klasy uprzywilejowanej. Dawni emigranci zostali skazani na wieczne wygnanie; pod karą śmierci nie wolno im było powracać; dobra ich skonfiskowano. Na drzwiach każdego domu musiały być wypisane nazwiska jego mieszkańców, a trybunał rewolucyjny, odroczonej tymczasowo, rozpoczął swoją straszną działalność.

Tymczasem przybywały jedna po drugiej wieści o strasznych klęskach wojennych. Dumouriez, po powrocie do armii belgijskiej, skupił swoje siły, chcąc stawić czoło generałowi austriackiemu, księciu Koburgowi. Wojska jego były zniechęcone i cierpiały niedostatek wszystkiego; napisał więc do Konwencyi list pełen groźby przeciw Jakobinom, którzy go zaskarżyli. Po kilku drobnych zwycięztwach, przywróciwszy w swej armii nieco dawnej otuchy, poważał się na ogólne spotkanie pod Nerwindem, ale przegrał bitwę. Po wyjściu z Belgii, Dumouriez, postawiony między austriakami i Jakobinami, pobity przez jednych, prześladowany przez drugich, dla urzeczywistnienia swoich dawnych zamiarów uciekł się do zbrodniczego środka — zdrady. Porozumiał się z pułkownikiem Mack i zawarł

układ z austryakami, że pójdzie na Paryż dla przywrócenia tam monarchii, oni zaś, którym obiecał dać w zastaw kilka fortec, mieli pozostać na granicy. Prawdopodobnie Dumouriez chciał osadzić na tronie konstytucyjnym młodego księcia de Chartres, który odznaczył się świetnie w ciągu całej tej kampanii, przeciwnie zaś księżę Koburg miał nadzieję, że jeśli przeciw-rewolucya dojdzie do tego punktu, posunie się i dalej, przywracając na tron syna Ludwika XVI z dawną monarchią. Przeciw-rewolucya, zarówno jak i rewolucya, nie zatrzymuje się: raz rozpoczęta, musi się wyczerpać. Jakobini dowiedzieli się wkrótce o zamiarach Dumourieza; nie bardzo on je ukrywał, bądź to że chciał wypróbować wojsko, bądź też z lekkomyślności swego charakteru. Dla upewnienia się bardziej jeszcze, klub Jakobinów posłał do niego w deputacyi trzech zpośród siebie, a mianowicie Proly'ego, Péreire i Dubuissona. Wprowadzeni do Dumourieza, usłyszeli z ust jego szczerze wyznanie, niż się tego spodziewali. „Konwencya — rzekł on — jest zgromadzeniem siedmiuset trzydziestu pięciu tyranów. Dopóki będę w posiadaniu choćby tylko czterech cali żelaza, nie ścierpię, aby panowała i rozlewała krew wraz z trybunałem rewolucyjnym, który stworzyła. Co się tyczy Rzeczypospolitej — dodał — jest to czcze słowo; wierzyłem w nią tylko trzy dni: począwszy od Jemmapes, żal mi było wszystkich zwycięztw odniesionych na korzyść tak złej sprawy. Jeden jest tylko środek uratowania ojczyzny — przywrócenie konstytucyi z 1791 r. i króla.“ — „Czyż możesz o tem myśleć generale? — odezwał się Dubuisson — francuzi mają wstręt do władzy królewskiej, a samo imię Ludwika...“ — „Eh! mniej-sza o to, czy ten król nazywa się Ludwik, Jakób albo Filip!“ — „A jakież są środki twoje?“ — „Moja armia... tak jest, moja armia; ona tego dokona i bądź z mego obozu, bądź z łona twierdzy zapowie, że chce mieć króla.“ — „Ale projekt twój naraża los więźniów z Temple.“ — „Choćby ostatni z Bourbonów zginął, nawet tamci w Koblencyi, nie-mniej Francya mieć będzie króla, a gdyby Paryż dodał tę zbrodnię do tych, któremi się już splamił, ruszyłbym w tej

chwili na Paryż. “ Odkrywszy swe plany w sposób tak nieo-
ględny, Dumouriez zajął się wykonaniem swego niemożeb-
nego zamiaru. Znajdował się w położeniu istotnie trudnem:
żołnierze jego mieli do niego wiele przywiązania, ale nie-
mniej szczerze oddani byli ojczyźnie. Musiał rozdawać posa-
dy, których nie był panem; a można było przypuszczać, że
generałowie zostający pod jego rozkazami, tak przez wier-
ność dla Rzeczypospolitej, jak i przez ambycję, postąpią
tak, jak on postąpił względem Lafayette’a. Pierwsza próba
nie była zachęcającą. Rozłokowawszy się w Saint-Amaud,
chciał zająć Lille, Condé, Valenciennes; ale nie udało mu się
to przedsięwzięcie. Zaczął się wahać po tem niepowodzeniu
i nie śmiał porwać się na atak.

Nie tak rzeczy stały w Konwencji; działała ona z szyb-
kością, śmiałością i stanowczością, a zwłaszcza z dokładno-
ścią, które musiały jej zapewnić zwycięstwo. Skoro się wie,
czego się żąda, a żąda się prędko i dobrze, dochodzi się do
celu prawie zawsze; tego właśnie brakowało Dumouriezowi,
to wstrzymało jego odwagę i zachwiało jego stronników.
Konwencya, zawiadomiona o jego projektach, zawezwała go
natychmiast przed siebie; odmówił posłuszeństwa, chociaż
nie podniósł jeszcze sztandaru buntu. Wtedy wydelegowała
czterech przedstawicieli: Camusa, Quinette’a, Lamarque’a,
Bencala i ministra wojny Beurnonville’a, aby go zapoznawali
przed jej sąd lub zaaresztowali wpośród jego armii. Du-
mouriez przyjął komisarzy na czele swego generalnego szta-
bu; przedstawili mu dekret Konwencji; przeczytał go i zwró-
cił im, mówiąc, że stan jego armii nie pozwala mu jej opu-
ścić. Oświadczył gotowość wzięcia dymisji i zapewnił, że
w czasach spokojniejszych zażąda sam sędziów na siebie
i zda rachunek ze swych zamysłów i swego postępowania.
Komisarze nakładali go, aby się poddał, cytując mu przy-
kład dawnych generałów rzymskich. „My zawsze źle rozu-
miemy nasze cytaty — odpowiedział im — i zmieniamy hi-
storyę rzymską, usprawiedliwiając nasze zbrodnie przykła-
dami jej cnót. Rzymianie nie zamordowali Tarkwiniusza;
rzymianie mieli rzeczpospolitą uregulowaną i dobre prawa;

oni nie posiadali ani klubu Jakobinów, ani trybunału rewolucyjnego. My żyjemy w czasach anarchii; tygrysy pożądają mojej głowy, a ja im dać jej nie chcę.“ — „Obywatelu generale — rzekł wówczas Camus — czy chcesz być posłusznym dekretowi Konwencji narodowej i udać się do Paryża?“ — „Nie w tej chwili.“ — „A więc, oznajmiam ci, że cię zawieszam w urzędowaniu; przestajesz być generałem, rozkazuję, aby cię pochwycono. — „Tego już za wiele!“ — odparł Dumouriez i kazał huzarom niemieckim aresztować komisarzy, których wydał austryakom jako zakładników.

Dokonawszy takiego dzieła buntu, nie można się już było wahać. Dumouriez powtórzył atak na Condé, ale nie z lepszym powodzeniem; usiłował wciągnąć armię do swojej zdrady, lecz ona opuściła go. Żołnierze mieli długo jeszcze przekładać Rzeczpospolitą nad swego generała; przywiązanie do Rewolucyi przejawiało się z całą żarliwością, a władza cywilna uwydatniała się z całą siłą. Dumouriez, występując przeciw Konwencji, doznał tego samego losu, co Lafayette, który się poważył wystąpić przeciw Zgromadzeniu prawodawczemu i co Bouillé, który wystąpił przeciw Konstytucji. W tej epoce, gdyby nawet jakiś generał do zwycięstw i zdolności Dumourieza dołączył był stałość charakteru Bouillégo, oraz patriotyzm i popularność Lafayette'a, byłby niemniej upadł. Rewolucya z nadanym jej rozpędem miała się okazać silniejszą nad stronnicztwo, nad generałów i nad Europę. Dumouriez przeszedł do obozu austryaków z księciem de Chartres, z pułkownikiem Thouvenat i dwoma szwadronami Berchiny'ego; reszta jego wojska udała się do obozu w Famars, gdzie się połączyła z armią zostającą pod dowództwem Dampierre'a.

Konwencya, dowiedziawszy się o zaaresztowaniu komisarzy, uznała się nieustającą, ogłosiła Dumourieza za zdrajcę ojczyzny, upoważniła każdego obywatela do ściągania go, naczynając cenę na jego głowę, ustanowiła słynny Komitet ocalenia publicznego i skazała na wygnanie księcia Orleańskiego i wszystkich Bourbonów. Chociaż Żyrodyci

powstawali tym razem na Dumourieza również żywo, jak i Góra, oskarżono ich o współnictwo zdrady z nim; był to nowy zarzut dodany do tylu innych. Nieprzyjaciele ich stawali się z dniem każdym potężniejsi, a zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństwa publicznego przybierali tem groźniejszą postawę. Dotychczas w walce, która się zawiązała pomiędzy temi dwoma stronnictwami, odnieśli zwycięstwo na wszystkich punktach. Wstrzymali zamierzone śledztwo w sprawie rzezi wrześniowych; podtrzymali uzurpacyę komuny; sprowadzili najprzód sąd, a następnie śmierć Ludwika XVI; skutkiem ich intryg, rabunki dokonane w lutym i spisek z 10 marca przeszły bezkarnie; oni to uchwalili trybunał rewolucyjny wbrew woli Żyrodystów; póty obmierzali Rollanda, aż go wygnali z ministryum; a w końcu odnieśli tryumf nad Dumouriezem. Pozostawało już im tylko pozbawić Żyrodystów ostatecznej ucieczki, to jest Zgromadzenia: rozpoczęli to 10 kwietnia, a zakończyli 2 marca.

Robespierre przesładował osobiście w Konwencji Brissota, Guadeta, Vergniauda, Petiona, Gensonnó'a; Marat oskarżał ich w stowarzyszeniach ludowych. Jako prezydent Jakobinów napisał adres do departamentów, w którym wyzywał „gromy petycyj i oskarżeń przeciw zdrajcom i wiarolomnym delegowanym, pragnącym ocalić tyrana, przez głosowanie za odwołaniem się do ludu, albo za osadzeniem w więzieniu.“ Prawica i Płaszczyzna Konwencji uczuły potrzebę połączenia się. Marat został odesłany przed trybunał rewolucyjny. Wiadomość ta podniosła wrzawę w klubach, pomiędzy pospółstwem i w komunie. Naodwet mer Pache przyszedł w imieniu trzydziestu pięciu sekcji i rady generalnej z żądaniem wydalenia przedniejszych Żyrodystów. Młody Boyer-Fronfrède prosił, aby i jego umieszczono na liście proskrypcyi, poczem członkowie prawicy i Płaszczyzny powstawszy, zawołali: „Wszystkich! wszystkich!“ Petycja ta, jakkolwiek uznana za niegodną, była pierwszym atakiem z zewnątrz na Konwencyę i przygotowała umysły do upadku Żyrody. Oskarżenie Marata nie zatrwożyło bynajmniej Jakobinów, którzy towarzyszyli mu przed trybu-

nał rewolucyjny. Uniewinniono odniesiono w tryumfie do Zgromadzenia. Po tym wypadku wejścia do sali zapełniły się zuchwałymi Sankiulotami, a łoże Konwencyi poplecznikami Jakobinów. Klubisci i *pończoszniczki* (*tricoteuses*) *Robespierre'a* nie dopuszczali do słowa mówców prawicy, przerywając bezustannie obrady, podczas gdy zewnątrz wyszukiwano wszelkich możebnych sposobności pozbycia się Żyrodystów. Henriot, komendant oddziału Sankiulotów, podburzył swoje bataliony, gotowe do wymaszerowania przeciw Wandei. Wtedy Guadet widząc, że nie czas już zajmować się żałami i mowami, wstąpił na trybunę: „Obywatele — rzekł — podczas kiedy ludzie cnotliwi utyskują nad nieszczęściami ojczyzny, spiskowcy miotają się na wsze strony, gotując jej zgubę. Wraz z Cezarem powiadają: *Pozwólmymy im mówić, a my działajmy!* Działajcież i wy! Złe miesi się w bezkarności przysiężenia z d. 10 marca, w anarchii, w istnieniu władz Paryża, żądnych zarazem pieniędzy i panowania. Obywatele, jeszcze czas, jeszcze możecie zbawić Rzeczpospolitą i waszą skompromitowaną sławę. Wnoszę, aby obalić władze paryskie, aby w ciągu dwudziestu czterech godzin na miejsce urzędników municypalnych wprowadzić prezydentów sekcyj, zgromadzić co prędzej zastępców Konwencyi w Bourges i zawiadomienie o tem rozporządzeniu rozesłać do departamentów przez kuryerów nadzwyczajnych.“ Projekt Guadeta wprowadził chwilowo Góregę w zdumienie. Gdyby środki proponowane przez niego zostały bezzwłocznie przyjęte, skończyłoby się panowanie komuny i zamiary spiskowców poszłyby w niwecz; ale przypuszczać też można było, że stronnictwa się wzburzą, że wojna domowa się rozszerzy, że Zgromadzenie z Bourges rozwiąże Konwencyę i że ognisko działań ulegnie zniszczeniu, oraz że Rewolucya nie będzie miała siły odpowiedniej do wytrzymania walki wewnętrznej i najścia Europy: tego właśnie obawiało się stronnictwo umiarkowane Zgromadzenia. Lękając się anarchii, jeśli komuna nie zostanie powstrzymana, przeciw-rewolucyi — jeśli lud zanadto zostanie okiełznany, chciało ono utrzymać równowagę pomiędzy

dwoma krańcami Konwencji. Stronnictwo to wchodziło w skład komitetów bezpieczeństwa ogólnego i ocalenia publicznego; na czele jego stał Barrère, który, jak wszystkie umysły sprawiedliwe i charaktery słabe, okazywał się umiarkowanym póty, póki strach nie przeistoczył go w narzędzie okrucieństwa i tyranii. Zamiast zgodzić się na środki stanowcze Guadeta, zaprojektował ustanowienie komisji nadzwyczajnej z dwunastu członków, któraby była upoważnioną do kontrolowania postępów municypalności, do wyszukiwania sprawców przysiężeń przeciw reprezentacji narodowej i obezwładniania tych osobistości. Ten półśrodek został przyjęty; ale on nie usuwał komuny, a komuna miała odnieść tryumf nad Konwencją.

Komisja Dwunastu swem śledztwem rzuciła postrach pomiędzy członków komuny; odkryła nowe przysiężenie, mające wybuchnąć 22 maja; kazała uwięzić kilku spiskowców, a między innymi zastępcę prokuratora komuny, Héberta, autora *Ojca Duchesne*, którego pochwycono w samej municypalności. Komuna, zrazu przerażona, zaczęła gotować się do walki. Odtąd nie myślano już o spiskach, lecz o powstaniu. Rada generalna, ośmielona przez Górę, otoczyła się wichrzycielami stolicy; rozpuściła pogłoskę, że Komisja Dwunastu chciała oczyścić Konwencję i zastąpić trybunał, który uniewinnił Marata, trybunałem przeciw-rewolucyjnym. Jakobini, Kordelierzy, sekeye nie przerywały swych posiedzeń. Dnia 26 maja pewien ruch dawał się już uczuć; 27 — wzmógł się do tyła, że komuna mogła rozpocząć atak. Zgłosiła się do Konwencji i zażądała uwolnienia Héberta oraz usunięcia Dwunastu; towarzyszyli jej deputowani sekcji, wyrażający toż samo życzenie, a sala była otoczona tłumem zbiegowiskiem. Sekcya Cite ośmieliła się nawet zaproponować, aby Dwunastu stawiono przed trybunał rewolucyjny. Isnard, prezydent Zgromadzenia, odpowiedział im tonem uroczystym: „Słuchajcie, co wam powiem. Jeśliby kiedykolwiek jedno z tych powstań, które się ponawiają od 10 marca, a o których urzędy nie uprzedzały Zgromadzenia, śmiało targnąć się na reprezentację narodo-

wą, Paryż zostanie zburzonym; oznajmiam wam o tem w imieniu Francyi całej; tak, Francya cała pomściłaby ten zamach i wkrótce trzeba byłoby szukać, nad którym brzegiem Sekwany leżał Paryż.“ Taka odpowiedź dała hasło do niesłychanej wrzawy. „I ja wam również oznajmiam — zawołał Danton — że taka bezczelność zaczyna nam już ciążyć; będziemy się bronić.“ A zwracając się do prawicy, dodał: „Skończył się rozejm pomiędzy Górą i nędznikami, którzy chcieli ocalić tyrana.“

Straszne zamieszanie zapanowało wtedy w sali: z łóż wykrzykiwano na prawicę, Góra zasypywała salę pogródkami, deputacye z zewnątrz tłoczyły się co chwila, Konwencyę otoczył tłum olbrzymi. Sekcyoniści z Mail i z Butte-des-Moulins, pod dowództwem Raffeta, zajęli korytarze i wejścia, aby ją bronić. Żyrodyscy, o ile to było w ich mocy, opierali się deputacyom i Górze. Zagrożeni wewnątrz, obleżeni zewnątrz, powoływali się na ten gwałt, aby wywołać oburzenie w Zgromadzeniu. Lecz minister spraw wewnętrznych Garat pozbawił ich ucieczki. Powołany do zdania sprawy ze stanu Paryża, zapewnił, że Konwencya nie miała się czego obawiać; zdanie zaś Garata, który uchodził za bezstronnego, ale którego umysł pojednawczy wprowadzał go często na manowce dwulicowości, uzuchwaliło członków Góry. Isnard był zmuszonym opuścić prezydenturę; zastąpił go Hérault de Séchelles; dla Góry stało się to hasłem zwycięstwa. Nowy prezydent odpowiedział petycyonistom, których Isnard dotąd hamował: „Siła rozumu i siła ludu są jednym i tem samym. Chcecie od nas urzędnika i sprawiedliwości; przedstawiciele ludu wam ją powrócą.“ Było już bardzo późno, prawica upadła całkiem na duchu, niektórzy z jej członków odeszli; petycyoniści z przed krzeseł przeszli do krzeseł przedstawicieli i tam, pomieszani z członkami Góry, wśród wrzawy i bezładu głosowali wszyscy razem za zniesieniem Komisji Dwunastu i wypuszczeniem więźniów. O godzinie wpół do pierwszej burza oklasków, która zawrzała w lożach i pomiędzy ludem, oznajmiła uchwalenie dekretu.

Ponieważ w gruncie rzeczy Żyronda była słabszą, postąpiłaby była roztropniej, nie powracając do tej rozprawy. Ruch z dnia poprzedniego nie miałby innego następstwa, jak tylko zniesienie Komisji Dwunastu, gdyby inne przyczyny nie przedłużyły go dalej. Ale doszedłszy do tego punktu gwałtowności, oba stronnictwa musiały zakończyć swoje zatargi; ponieważ nie mogły się już ścierpieć, zmuszone były z sobą walczyć, przechodząc od porażek do zwycięstw i od zwycięstw do porażek, podniecając się z dniem każdym silniej, póki mocniejsze nie zapanowało stanowczo nad słabszym. Nazajutrz członkowie prawicy odzyskali pole bitwy w Konwencji; kazali odwołać dekret wczorajszy, jako nielegalnie przyznany wśród zamieszania i pod naciskiem a Komisja została przywróconą. „Dokonałście wczoraj — powiedział im Danton — wielkiego aktu sprawiedliwości. Ale zapowiadam wam, że jeśli Komisja zachowa tyrańską władzę, którą wykonywała, jeśli urzędnicy ludowi nie będą przywrócenii do swych obowiązków, jeśli dobrzy obywatele mają w dalszym ciągu obawiać się samowolnych aresztowań, wówczas dowiodłszy wam, że przewyższymi nieprzyjaciół naszych przezornością i mądrością, przewyższymi ich również odwagą i mężstwem rewolucyjnym.“ Danton nie chciał rozpoczynać walki, gdyż lękał się zarówno tryumfu Góry, jak i Żyrondy: to też pragnął kolejno uprzedzić dzień 31 maja i powściągnąć jego skutki; ujrzał się wszakże zmuszonym podczas walki połączyć się ze swoimi, a po zwycięstwie umilknąć.

Wzburzenie, które nieco uspokoiło się po zniesieniu Komisji Dwunastu, na wieść o przywróceniu jej przybrało groźny charakter. Trybuna sekcji i stowarzyszeń ludowych zabrzmiały obelgami, obwoływaniem niebezpieczeństwa, wzywaniem do powstania. Hébert, wypuszczony z więzienia, ukazał się w komunie. Włożono mu na skronie wieńiec, którym on ukoronował czoło Brutusa i pobiegł do Jakobinów z okrzykiem zemsty przeciw Komisji Dwunastu. Robespierre, Marat, Danton, Chaumette i Pache połączyli się z nim, aby zorganizować nowy ruch. Plan powstania

ułożono na wzór 10 sierpnia: 29 maja przygotowano doń umysły; 30 — członkowie kolegium wyborczego, komisarze klubów, deputowani sekcij, zebrawszy się w Biskupstwie (Eveché), obwieścili powstanie, obalili radę generalną komuny, następnie przywrócili ją, zniewalając do nowej przysięgi; Henriot otrzymał tytuł głównego komendanta siły zbrojnej, a Sankiulotom wyznaczono czterdzieści sous dziennie, póki będą pod bronią. Powziąwszy te postanowienia, dnia 31 wczesnym rankiem uderzono w dzwon i bęben na trwogę, zebrano wojska i wyruszone przeciw Konwencyi, która od niejakiemu czasu obradowała w Tuileryach.

Zgromadzenie zagaiło sesję już od dawna; zebrało się na odgłos dzwonu. Minister spraw wewnętrznych, administratorzy departamentu i mer Paryża byli kolejno wzywani przed kratki. Garat, zdając sprawę z ruchu paryskiego, zdawał się nie przypuszczać żadnych złych następstw. Lhuillier zapewnił w imieniu departamentu, że było to tylko *powstanie moralne*. Mer Pache przybył ostatni i w sposób obłudny przedstawił działalność powstańców: zaręczał, że użył wszelkich usiłowań dla utrzymania porządku, że podwoił straż przy Konwencyi i że wzbronil strzelania z armat na trwogę. Tymczasem w tejże chwili głos ich rozległ się zdala. Zapłonowało wielkie zdumienie i wzruszenie. Cambon wezwał Zgromadzenie do jedności, a galeryom nakazał spokój. „W tych nadzwyczajnych okolicznościach — rzekł on — jedynym środkiem zniweczenia malkontentów jest nakazanie szacunku dla Konwencyi narodowej.“ — „Żądam — powiedział Thuriot — aby Komisję Dwunastu zniesiono natychmiast.“ — „A ja — odezwał się Tallien — aby miecz prawa ugodził w spiskowców, mieszczących się w łonie samejże Konwencyi.“ Żyryndyści ze swej strony upominają o wezwanie przed kratki zuchwałego Henriota za to, że dał rozkaz strzelania z armat na trwogę bez upoważnienia Konwencyi. „Jeśli nastąpi walka — przemówił Vergniaud — jakimkolwiek będzie jej rezultat, skończy się zgubą Rzeczypospolitej. Niech wszyscy członkowie przysięgną, że zginą na swem stanowisku.“ Zgromadzenie całe powstaje na znak

zgody. Danton wskakuje na trybunę: „Znieść Komisję Dwunastu — woła; działo zagrzmiało. Jeśli jesteście prawodawcami politycznymi, zamiast ganić wybuch Paryża, wyciągnijcie z niego korzyść dla Rzeczypospolitej, reformując wasze błędy, znosząc waszą Komisję.“ A usłyszawszy szemrania, dodał: „Zwracam się do tych, co posiadają jakieś uzdolnienia polityczne, nie zaś do ludzi ograniczonych, którzy słuchają tylko głosu swych namiętności. Do nich to mówię: rozważcie wielkość waszego celu; polega on na wyzwoleniu ludu od jego nieprzyjaciół, arystokratów i jego własnej zapamiętałości. Gdyby kilku ludzi istotnie niebezpiecznych, mniejsza o to do jakiego stronnictwa należących, chciało potem przedłużać ruch już zbyt długi, skoro uczynimy zadość sprawiedliwości, Paryż sam ich unicestwi. Żądam chłodno zupełnego zniesienia Komisji ze względów politycznych.“ Komisja była gwałtownie napastowana z jednej strony, słabo broniona z drugiej; Barrère i Komitet ocalenia publicznego, główni jej twórcy, sami proponowali zniesienie jej dla przywrócenia pokoju i dlatego, aby nie pozostawiać Zgromadzenia na łasce pospólstwa. Bardziej umiarkowani z Góry chcieli na tem poprzestać, kiedy nadeszły deputacye. Członkowie departamentu, municypalności i komisarze sekcij, dopuszczeni przed kratki, upominali się nietylko o usunięcie Dwunastu, ale oraz o ukaranie członków tej Komisji i wszystkich przywódców żyrondistowskich.

Tuilerie były wtedy osaczone przez powstańców, a obecność ich komisarzów w łonie Konwencji osmieliła krańcową Górę, która chciała zniszczyć stronnictwo żyrondistowskie. Robespierre, ich wódz i mówca, zabrał głos, mówiąc: „Obywatele, nie traćmy dnia tego na próżną wrzawę i na mizerne przedsięwzięcia; dzień ten jest może ostatnim, w którym patryotyzm walczyć będzie z tyranją! Niech wierni przedstawiciele ludu zjednoczą się dla zapewnienia mu szczęścia!“ Nalegał na Konwencyę, aby raczej wstąpiła na drogę wskazaną przez petycyonistów, niż na zalecaną przez Komitet ocalenia publicznego. A ponieważ wdał się w długie deklamacye o swych przeciwnikach: „Zakończ naresz-

ciel“ — krzyknął na niego Vergniaud. „Tak, zaraz zakończę i to przeciwko wam! — przeciwko wam, którzy po rewolucyi 10 sierpnia chcieliście zaprowadzić na rusztowanie tych, co jej dokonali; przeciwko wam, którzyście nie przestawali wyzywać zburzenia Paryża; przeciwko wam, którzy pragnęliście ocalić tyrana; przeciwko wam, którzy spiskowaliście z Dumouriezem; przeciwko wam, zajadłym prześladowcom tychże samych patriotów, których głów zażądał Dumouriez; przeciwko wam, których mściwość występna wydarła ten sam okrzyk oburzenia, jaki poczytujecie za zbrodnię tym, co są waszemi ofiarami! A więc moje zakończenie jest aktem oskarżenia wszystkich współników Dumourieza i tych, którzy są wymienieni przez petycyonistów!“ Pomimo całej gwałtowności tego wystąpienia, stronnictwo Robespierre'a nie odniosło zwycięstwa. Powstanie skierowane było wyłącznie przeciw Dwunastu; Komitet ocalenia publicznego, który proponował usunięcie ich, tryumfował nad komuną. Zgromadzenie przyjęło dekret Barrère'a, który zniósł Komisję Dwunastu, stawiał się narodu w ciągłym pogotowiu i dla zadowolenia petycyonistów polecił Komitetowi ocalenia publicznego śledzić spiski, o których oni mu donoszą. Skoro tylko pospólstwo otaczające Zgromadzenie zostało powiadomione o tych rozporządzeniach, powitało je oklaskami i rozproszyło się.

Ale spiskowcy nie myśleli wcale poprzestać na tym połowicznym tryumfie: posunęli się oni 30 maja dalej, niż 29, a 2 czerwca dalej, niż 31 maja. Powstanie przeistoczyło się z *moralnego* — jak je nazywali — na osobiste, to znaczy, że nie było już wymierzone przeciw jakiejś władzy, ale przeciw deputowanym; wysliznęło się Dantonowi i Górze, a przypadło w udziale Robespierre'owi, Maratowi i komunie. Dnia 31 wieczorem jeden z deputowanych jakobińskich powiedział już, „że zaledwie połowa była zrobioną, że należało dokończyć, nie pozwalając ludziom ochłonać.“ Henriot ofiarował się zbrojną na usługi klubu. Powstańcy założyli swój komitet całkiem otwarcie obok Konwencji. Cały dzień 1 czerwca poświęcono przygotowaniom do wielkiego ruchu.

Komuna pisała do sekcji: *Obywatele, czuwajcie; niebezpieczeństwa ojczyzny nakazują wam to, jako najwyższe prawo.* Wieczorem Marat, który był głównym sprawcą 2 czerwca, udał się do ratusza, wszedł sam na wieżę i uderzył w dzwon; polecił członkom rady, aby się nie ruszali z miejsc, póki nie otrzymają aktu oskarżenia przeciw *zdrajcom i mężom stanu.* Zaledwie kilku deputowanych zebrało się w Konwencji, kiedy spiskowcy przyszli, żądając dekretu przeciw prześladowanym (proscrits); ale nie byli jeszcze dość silni, aby go wydrzeć Konwencji.

Cała noc zeszła na przygotowaniach; uderzono w dzwon i bębny, zaczęły się tworzyć zbiegowiska. W niedzielę rano około ósmej Henriot stawił się przed radą generalną i oświadczył swoim sprzymierzeńcom, *w imieniu ludu zbuntowanego*, że ten broni nie złoży, póki nie otrzyma zezwolenia na aresztowanie deputowanych spiskowców. Następnie stanął na czele olbrzymiej masy, zebranej na placu przed ratuszem, przemawiał do niej i dał znak do ruszenia w pochód. Około dziesiątej powstańcy przybyli na plac Karuzelu; Henriot otoczył zamek bandami najbardziej sobie oddanymi i wkrótce Konwencya została obsadzona przez osiemdziesiąt tysięcy ludzi, z których przeważna część zupełnie nie wiedziała, czego od niej wymagają i bardziej skłonna była bronić, niż napadać deputację.

Większość prześladowanych (proscrits) nie pokazała się wcale w Zgromadzeniu. Niektórzy, nieustraszeni aż do końca, przyszli stawić czoło burzy po raz ostatni. Po otwarciu posiedzenia śmiały Lanjuinais wstępuje na trybunę: „Chcę mówić — rzecze — o tem biciu w bębny, trwożącym cały Paryż.“ Wnet przerywają mu wołania: „Precz z nim! precz z nim! on chce wojny domowej! przeciw-rewolucyj! oczernia Paryż! znieważa lud!“ Mimo pogrózek, obelg, wraszków Góry i galerij, Lanjuinais zdradza zamiary komuny i buntowników; odwaga jego wzrasta wraz z niebezpieczeństwem. „Oskarżacie nas — powiada, że oczerniamy Paryż! Paryż jest czysty, Paryż jest uczciwy, Paryż jest uciśniony przez tyranów chciwych krwi i panowania.“ Te słowa stają

się hasłem najgwałtowniejszej wrzawy; kilku deputowanych z Góry rzuca się na trybunę, chcąc z niej ściągnąć Lanjuinais'a, który trzyma się mocno i z wyrazem najszlachetniejszej odwagi woła jeszcze: „Żądam zniesienia wszystkich władz rewolucyjnych w Paryżu; żądam unieważnienia wszystkiego, czego dokonano w ciągu ostatnich trzech dni; żądam, aby wszyscy ci, którzy zechcą przywłaszczać sobie nową władzę, przeciwną prawu, zostali wyjęci z pod prawa i aby każdemu z obywateli wolno było ścigać ich.“ Zaledwie dokończył, kiedy weszli petycyoniści od powstańców, domagający się aresztowania jego i jego towarzyszków. Kończąc przemowę, odezwali się w te słowa: „Obywatele, lud jest znużony patrzeniem na odwołkę szczęścia swojego; pozostawia je jeszcze przez chwilę w rękach waszych; zbawcie go, lub też zapowiadamy wam, on się zbawi sam!“

Prawica żąda przejścia do porządku dziennego nad petycją powstańców. Konwencya przechodzi do porządku dziennego. Natychmiast petycyoniści, przybrawszy groźną postawę, wychodzą, widzowie opuszczają galerie, rozlega się okrzyk „do bronil“ a z zewnątrz dolatuje wrzawa. „Zbawcie lud — przemawia jeden z Góry — zbawcie waszych towarzyszków, zezwalając na tymczasowe ich uwięzienie.“ — „Nie, nie!“ — odpowiada prawica, a nawet i część lewicy. — „My wszyscy ich los podzielimy“ — woła la Réveillère-Lépaux. Komitet ocalenia publicznego, mający polecenie zdać raport, przerażony wielkością niebezpieczeństwa, proponuje, jak w dniu 31 maja, użycie środka pozornie pojednawczego, któryby powstańców zadowolił, a proskrypcyonistów nie całkiem poświęcił. „Komitet zwraca się — rzekł Barrère — do patryotyzmu, do wspaniałomyślnych członków oskarżonych: prosi ich, aby zawiesili swą władzę, przedstawiając im, że jest to jedyny możliwy sposób usunięcia zatargów, które trapią Rzeczpospolitą i przywrócenia spokoju.“ Niektórzy z nich zgodzili się na ten projekt. Isnard ustąpił pierwszy; za jego przykładem poszli Lanthénas, Dussaulx i Fauchet; Lanjuinais nie chciał ustąpić. „Dalem, zdaje się, dotychczas dowody pewnej odwagi — po-

wiedział — nie spodziewajcie się po mnie ani zawieszenia moich praw, ani dymisyi.“ A gdy mu gwałtownie przerwano, dał: „Kiedy starożytni przygotowywali całopalenie, ofiarę prowadzoną na ołtarz zdobili kwiatami i wstęgami: kapłan ją zabijał, ale jej nie znieważał.“ Barbaroux był równie stanowczym, jak i Lanjuinais. „Przysiągłem, że umrę na mojem stanowisku — rzekł — i dotrzymam przysięgi.“ Spiskowcy Góry obruszyli się sami przeciw projektowi komitetu. Marat utrzymywał, że potrzeba być czystym na to, aby móżdż składać ofiary, a Billaud-Varennes żądał na Żyrodystów sądu, a nie zawieszenia ich w sprawowaniu obowiązków.

Podczas gdy to się dzieje, deputowany z Góry, Lacroix, wpada do sali, rzuca się na trybunę i oznajmia, że go przed chwilą znieważono tuż u progu, nie pozwalając mu wejść, że zatem Konwencya nie jest wolną. Znaczna liczba członków Góry oburza się na Henriota i jego oddziały. Danton mówi, że trzeba surowo pomścić znieważony majestat narodowy. Barrère radzi, aby Konwencya ukazała się ludowi: „Przedstawiciele — rzecze — nakażcie sobie swobodę, zawieście wasze posiedzenie i zniewólcie bagnety, które was otaczają, aby się przed wami zniżyły.“ Cała Konwencya powstaje i wyrusza; poprzedzają ją woźni, na czele postępuje prezydent z nakrytą głową na znak smutku. Przybywa do przejścia prowadzącego na plac Karuzelu i spotyka się z Henriotem, siedzącym na koniu z szablą w ręku. „Czego lud żąda?—pyta go prezydent Hérault de Séchelles. Wszak Konwencya zajęta jest tylko jego szczęściem.“ — „Héraulcie — odpowiada Henriot — lud nie po to powstał, aby słuchać frazesów: on chce, aby mu wydano dwudziestu czterech winnych.“ — „Niech nas wszystkich wydadzą!“ — wołają ci, którzy otaczają prezydenta. Henriot zwraca się wówczas do swoich i komenderuje: „Kanonierzy, do dział!“ Dwie armaty wycelowano na Konwencyę, która się cofa, idzie do ogrodu, przechodzi przezeń, zatrzymuje się kolejno przy kilku przejściach, ale zastaje wszystkie zamknięte. Żołnierze stoją wszędzie pod bronią; Marat przebiega sze-

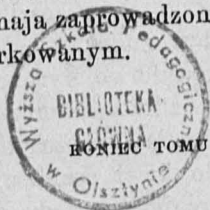
regi, podbudza i zachęca powstańców: „Żadnej słabości — przekłada im — nie opuszczajcie waszych stanowisk, pokąd wam winnych nie wydadzą.“ Konwencya tedy powraca do sali swoich posiedzeń, zgnębiona bezsilnością, przekonana o bezużyteczności swoich usiłowań, słowem, zupełnie ujarzmiona. Nikt już nie protestuje przeciw uwięzieniu oskarżonych. Marat, istotny dyktator Zgromadzenia, rozporządza samowładnie losem jego członków. „Dussaulx — powiada — to stary gaduła, niezdolny zostać przywódcą stronnictwa; Lanthénas, ubogi umysłem, nie zasługuje na to, aby się nim zajmowano; Ducos miał tylko parę zdań błędnych, ale nie potrafi stanąć na czele przeciw-rewolucyi. Proszę o wykreślenie ich i o zastąpienie przez Valazégo.“ I wykreślają z listy Dussaulxa, Lanténasa, Ducosa, a zapisują Valazégo. Lista w taki sposób zostaje uchwaloną, chociaż połowa Zgromadzenia nie wzięła w tem udziału.

Oto są nazwiska tych znakomitych, na proskrypcyę skazanych Żyryndystów, których kazano aresztować: Gen-sonné, Guadet, Brissot, Gorsas, Pétion, Vergniaud, Salles, Barbaroux, Chambon, Buzot, Birotteau, Lidon, Rabaud, La-source, Lanjuinais, Grangeneuve, Lehardy, Lesage, Louvet, Valazé, minister spraw zagranicznych Lebrun, minister podatków Clavières i członkowie Komisji Dwunastu: Ker-velagan, Gardien, Rabaud Saint-Etienne, Boileau, Bertrand, Vigée, Molleveau, Henri la Rivière, Gomaire, Ber-going. Konwencya uwięziła ich we własnych mieszkaniach i oddała pod straż ludu. Z tą chwilą wydano rozkaz oswobodzenia Konwencyi i pospólstwo się rozeszło, ale też z tą chwilą Konwencya przestała być wolną.

W taki sposób upadło stronnictwo Żyryndy, stronnictwo, odznaczające się wielkimi zdolnościami i szlachetnymi ideami, stronnictwo, które przyniosło zaszczyt powstającej Rzeczypospolitej, wstrętem do krwi rozlewu, odrazą do zbrodni, obrzydzeniem do anarchii, zamięłowaniem porządku, sprawiedliwości i wolności; stronnictwo źle postawione pomiędzy klasą średnią, z której rewolucyą musiało się ściierać i klasą niższą, której rządów nie uznawało. Skazane

na niemożność działania, mogło ono tylko wsławić swą nieuchronną porażkę przez śmiałą walkę i piękną śmierć. W tej epoce koniec jego można było przewidzieć na pewno: pędzano je ze stanowiska na stanowisko: od Jakobinów zostało wyparte przez Górę, która opanowała ten klub; z komuny — skutkiem wyjścia Pétiona; z ministeryum — skutkiem usunięcia się Rolanda i jego towarzyszków; z armii — przez zdradę Dumourieza. Pozostała mu tylko Konwencya; na niej się ograniczyło, tam walczyło i tam upadło. Nieprzyjacielem jego próbowali kolejno to spisków, to powstań przeciwko niemu. Spiski sprowadziły Komisję Dwunastu, która chwilowo zdawała się zapewniać przewagę Żyrondzie, ale która podnieciła tem gwałtowniej jej przeciwników. Oni to wywołali ruch ludowy i pozbawili Żyrondystów najprzód władzy, znosząc Dwunastu, a następnie bytu politycznego, skazując na proskrypcję ich przywódców.

Skutki tego nieszczęsnego wydarzenia wzięły obrót nieprzewidywany. Dantoniści sądzili, że rozterki stronnictw się zakończą; tymczasem wojna domowa wybuchła. Umiarkowani z Komitetu ocalenia publicznego sądzili, że Konwencya odzyska całą swoją potęgę, tymczasem ona została ujażdżoną: Komuna sądziła, że 31 maja zapewni jej panowanie, tymczasem ono się dostało Robespierre'owi i kilku ludziom jemu oddanym, czyli raczej krańcowej demokracji. W końcu należało dołączyć jedno więcej do stronnictw zwyciężonych, odtąd nieprzyjaznych i tak samo, jak po 10 sierpnia, zaprowadzono rzeczpospolitą przeciw konstytucjonistom, po 31 maja zaprowadzono *teroryzm* przeciw republikanom umiarkowanym.



63481

S P I S

ROZDZIAŁÓW TOMU PIERWSZEGO.

Wstęp	Str.	1
Rewolucya francuska.		
ROZDZIAŁ I. Od dnia 5 maja 1789 roku, aż do nocy 4 sierpnia	„	21
ROZDZIAŁ II. Od nocy 4 sierpnia do dnia 5 i 6 paź- dziernika 1789 roku	„	58
ROZDZIAŁ III. Od 6 października 1789 r. do śmier- ci Mirabeau w kwietniu 1791 r.	„	78
ROZDZIAŁ IV. Od kwietnia 1791 roku do 30 wrze- śnia, kresu Konstytuanty	„	105
Zgromadzenie narodowe prawodawcze.		
ROZDZIAŁ V. Od 2 października 1791 roku do 21 września 1792 roku	„	122
Konwencya narodowa.		
ROZDZIAŁ VI. Od 21 września 1792 roku do 21 sty- cznia 1793 roku	„	181
ROZDZIAŁ VII. Od 21 stycznia 1793 r. do 2 czerwca	„	207

Omyłki dostrzeżone.

Str. 62, w. 5 od dołu, zamiast: „po ucieczce *Varennesa*,” powinno być: „po ucieczce vareńskiej.”

Str. 91, w. 5 od dołu, zamiast: „Girondini,” powinno być: „Żyrondyści.”
